

DORZECZE

Nr 10

Sławno 2000

D O R Z E C Z E

Nr 10

Sławno 2000

Redaktor: Jan Sroka

Na okładce:

Str. 1. Sławno - winieta z mapy Lubinusa (1618 r.)

Str. ostatnia: Brama Koszalińska od strony polnej (zdjęcie z lat 30-tych).

Wykorzystanie materiałów zamieszczonych w publikacji bez zgody wydawcy jest zabronione.

Wydawca: Sławieński Dom Kultury

76-100 Sławno, ul. A. Cieszkowskiego 2, tel./fax. 0-59 810 76 70

Druk: BOXPOL, 76-100 Słupsk, ul. Wiejska 28, tel. 0-59 842 43 71

ISSN 1429 - 9399

Spis treści

Józef Lindmajer - Sławieńskie szkolnictwo prywatne w XIX wieku	4
Jan Sroka – Günter Machemehl	20
Aleksanader Tarnowski: 12 lat na Zamku	24
Marek Żukowski – Konspiracja w powiecie sławieńskim w latach 1949-1952 (poza POW).	69
Materiały źródłowe do dziejów Sławna (opracowanie J. Lindmajer):	74
A. Duchowni (protestanccy) ewangelickiej parafii Sławno do I Wojny Światowej	
B. Statut lokalny miasta Sławna z 22 grudnia 1885 r. dotyczący bruku, naprawy nawierzchni ulic oraz zakładania i utrzymania chodników	
C. Rozporządzenie policji dla m. Sławna z dnia 22 grudnia 1885 r.	
Bibliografia wydawnictw dotyczących Sławna za lata 1997-2000 (wybór)	86
W numerze: spis zawartości numeru 10. w języku niemieckim	89

Józef Lindmajer

Sławieńskie szkolnictwo prywatne w XIX wieku .

1.Szkoły elementarne i placówki nauczania przedszkolnego

W Sławnie, przynajmniej od wprowadzenia reformacji (lata trzydzieste XVI wieku), główną rolę w kształceniu synów mieszczańskich odgrywała płatna 3-klasowa miejska szkoła łacińska (w Słupsku 4 klasy). W czwartym dziesięcioleciu XVIII wieku szkoła sławieńska, posiadając nadal 3 klasy, realizowała nauczanie wedle struktury 4-oddziałowej. W najniższym oddziale przeważała religia, nauka pisania i rachowania, w pozostałych trzech – zdecydowanie łacina.^{1/}

Dla dziewczynek była jedynie przeznaczona osobna jednoklasowa szkoła nauczania języka niemieckiego i religii.^{2/} W początkach XVIII wieku rozpoczęła działać w Sławnie koedukacyjna szkoła elementarna (tak zwana „niemiecka”), bezpłatna, utrzymywana z kasy miejskiej, przeznaczona dla dzieci biedniejszych mieszczan (w 1742 r. 4 klasy).^{3/}

Zadać można pytanie, kiedy pojawiła się w Sławnie tak zwana szkoła pokątna (Winkelschule) – jedna lub więcej – o charakterze prywatnym. Szkoły takie istniały w Prusach często nielegalnie, bez wymaganej zgody władz miejskich, a nauczano w nich odpłatnie podstawowych przedmiotów na poziomie elementarnym: religii, pisania, czytania, rachunków. Szkoły pokątne nie zawsze były prowadzone przez zawodowych nauczycieli, co jednak nie musiało warunkować niższego poziomu przekazywanej wiedzy; częściej raczej była ona zawężana, dostosowana do perspektywicznych a praktycznych potrzeb dnia codziennego – na przykład synów mieszczan-rzemieślników, którzy nie myśleli o studiach, dlatego omijali szkoły łacińskie.

Osobliwe szkoły pokątne zaczęto tolerować po wydaniu w 1738 roku specjalnego edyktu dla całego Pomorza, na podstawie którego władze przeprowadzały w nich wizytacje i dorywczo egzaminowały dzieci.^{4/}

Najstarsze potwierdzenie o istnieniu tego typu placówek szkolnych w Sławnie pochodzi z 1740 roku. Było ich wówczas trzy, w tym jedna bez formalnej akceptacji magistratu oraz pierwszego pastora sławieńskiej parafii ewangelickiej przy kościele Mariackim, będącego zarazem proboszczem (Praepositus) sławieńskiego synodu.^{5/} Nic więcej teraz na ich temat w późniejszym okresie nie da się napisać. Bardzo prawdopodobne, że i one – jak w innych miastach regionu – upadły, może na skutek konkurencji bezpłatnej szkoły elementarnej^{6/}, bądź zostały zlikwidowane pod naciskiem administracji świeckiej, kościoła i szkół oficjalnych.^{7/}

Wiemy o prywatnej szkole dla małych dzieci w Sławnie, którą w latach 1797 (?) – 1803 prowadził Carl Leonhard Mehring, syn świdwińskiego pastora i superintendenta.^{8/}

Kolejny w czasie zapis źródłowy, znany nam obecnie, o prywatnym szkolnictwie najniższego szczebla w Sławnie, które miało charakter publiczny, funkcjonującym na podstawie zezwolenia władz, pochodzi z 1840 roku. Można jednak z całym przekonaniem datę początków takiego szkolnictwa w Sławnie przesunąć na rok 1832-1833. Upoważniają do tego informacje o długości stażu pracy w szkolnictwie Sławna osób w szkołach takich nauczających, zwłaszcza daty otrzymania przez nie koncesji nauczycielskich.

W latach 1840-1845 są wymieniane dwie jednoklasowe, koedukacyjne szkoły prywatne. Prowadziły je: Carolina Wegner, lat 43, dawniej żona kupca (aktualnie rozwódka), urodzona w Słupsku, mająca za sobą 9-letni okres pracy nauczycielskiej tylko w Sławnie (koncesja wydana 31 stycznia 1833 r.); Ernestine Johanne Beeske, lat 54, urodzona w Sianowie, pracująca w szkolnictwie 19 lat i cały czas w Sławnie (ale koncesja wydana dopiero 4 kwietnia 1832 r.).^{9/}

Od początku roku szkolnego 1845-1846 (październik 1845 r) nie było już szkoły prowadzonej przez drugą z wymienionych nauczycielek. Pojawiła się taka sama jednoklasówka należąca do 35-letniej Henrietty Simon, wdowy po konduktorze pocztowym (Postschirrmeister), urodzonej w Choszczynie, która zamieszkała w Sławnie w okresie organizowania własnej szkoły – jesienią 1845 roku. Miała za sobą 3 lata pracy w zawodzie nauczycielskim.^{10/}

Z nieznanych powodów, przejściowo – na pewno w latach 1849-1850 (być może i w 1848 r.) – nie działała szkołka C. Wegner.^{11/} Ponownie znalazła się ona w rejestrze miejskim w 1852 roku^{12/}, i widnieje w sprawozdawczości przynajmniej do 1862 roku włącznie, kiedy to nauczycielka osiągnęła już wiek 66 lat.^{13/} W końcu lat pięćdziesiątych XIX wieku zaprzestała działać szkołka prywatna H. Simon; prawdopodobnie w 1857 roku.^{14/}

Wyżej wymienione placówki w okresie swego funkcjonowania, to tylko szkoły jednoklasowe (zapewne jednoroczne ?), a w zasadzie – biorąc za wskazówkę najczęściej używane określenia i nazewnictwo – rodzaj ochronek dla dzieci obu płci (Warteschule für Kinder beiderle Geschlechts), czy też przedwstępnych szkółek przygotowawczych i wychowawczych (Ersatz der Schule).^{15/} Były one przeznaczone dla dzieci, które nie osiągnęły jeszcze wieku obowiązku szkolnego^{16/}, a ten rozpoczął się w Prusach – od 1825 roku – po ukończeniu pięciu lat.^{17/} Zatem – do sławieńskich prywatnych jednoklasówek przyjmowane były dzieci przedszkolne już między czwartym a piątym rokiem życia.

Do wieku dzieci, ich ograniczonych możliwości poznawczych, a także zadań takich jednoklasówek przedszkolnych, był dostosowany profil pedagogiczno-wychowawczy i przedmiotowy. Lekcje nie odbywały się według jakiegoś ustalonego i szczegółowo rozpisanego planu. Wypełniano je wiadomościami z Biblii, nauką prostych zasad religijnych, z czasem (lata pięćdziesiąte) wprowadzono naukę śpiewu liturgicznego (Horalgesange). Dzieci zapoznawały się z literami (Buchstuben) i cyframi, z najprostszym liczeniem, poprzez zapisywanie na tabliczkach. W dowolnym okresie rozwijano umiejętność wyrecytowania z pamięci łatwych tekstów, sylabizowania i wstępnego czytania.^{18/}

Za nauczanie i opiekę nad dziećmi w tych przedszkolnych jednoklasówkach trzeba było płacić. Wysokość czesnego, jednakowa w obu placówkach, nie zmieniała się i od 1840 do 1851 roku wynosiła: tygodniowo 1 srebrny grosz, miesięcznie 4 srebrne grosze, rocznie 1 talar i 22 srebrne grosze^{19/}. W 1852 roku opłata tygodniowa w szkółce H. Simon wzrosła do 1 srebrnego grosza i 3 fenigów, w 1856 roku była wyższa o dalsze 2 fenigi^{20/}, i to być może – zdecydowało o mniejszym do niej naborze, wreszcie o jej zamknięciu w 1857 roku (?).

W koedukacyjnej klasie każdej z tych szkółek przebywało w latach czterdziestych od 14 do 26 dzieci. Początkowo więcej było dziewczynek, potem nastąpiło – mniej więcej – wyrównanie liczebności, niekiedy zaś przeważali chłopcy (zdecydowanie np. w 1849 r. – 12 do 2)^{21/}. W latach pięćdziesiątych klasy liczyły od 15 dzieci (1854 r.) do 35 dzieci (1852 r.). Po reaktywowaniu działalności szkołka C. Wegner stale gromadziła więcej dzieci niż druga, nieco droższa, szkołka H. Simon.^{22/}

Rozwiązanie jednej szkółki nauczania wstępnego w końcu lat pięćdziesiątych oraz coraz mniejszy lub stabilny na niższym poziomie nabór dzieci do jedynej tego profilu pozostałej na początku lat sześćdziesiątych (1858 r. – 11 chłopców i 14 dziewczynek; 1860 r. – odpowiednio 10 i 11; 1862 r. – odpowiednio 10 i 13)^{23/} było potwierdzeniem, że i w Sławnie już się one przeżywały. Jak długo jeszcze jednoklasówka prywatna typu elementarnego, dla „małych dzieci” utrzymywała się w Sławnie – nie można (aktualnie) uchwycić na podstawie zgromadzonych materiałów. Istniała ona w 1867 roku i jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych XIX wieku (nauczycielka i 20 dzieci, 1875 r.)^{24/}

Prywatne jednoklasówki podstawowego stopnia elementarnego ustępowały, i w Sławnie, nauczaniu indywidualnemu od podstaw, prowadzonemu przez lepiej już wyedukowane matki, względnie dochodzących nauczycieli w bogatszych domach mieszczańskich; ustępowały zwłaszcza przed konkurencją rozwijającej się miejskiej szkoły publicznej (nieodpłatnej na poziomie jednej klasy dla dzieci z rodzin biedniejszych), gdzie istniał podział na klasy żeńskie i męskie.

Dopełnienie całości obrazu niepublicznego szkolnictwa elementarnego /podstawowego w Sławnie w XIX stuleciu wymaga, poza dalszym wzbogaceniem wątków dotąd poruszonych, podjęcia odrębnych badań źródłowych dotyczących tutejszej szkoły gminy synagogenicznej. Powstała ona, zapewne, jak w wielu innych miastach o przybliżonej wielkości i podobnym wskaźniku ludności żydowskiej, w połowie lat dwudziestych XIX wieku^{25/}, po stworzeniu w Prusach prawnych podstaw do zakładania szkół wyłącznie dla dzieci żydowskich, które też zostały objęte ogólnie obowiązującymi w tym państwie przepisami o przymusie szkolnym.

2. Sławińska prywatna „wyższa szkoła dla dziewcząt”

W Sławnie po raz pierwszy starania o otwarcie prywatnej szkoły dla dziewcząt podjęły jesienią 1834 roku dwie siostry – Adelajda i Luiza v. Prondzinskie, pierwsza lat 24, druga 18; obie rodowite chojniczanki, córki wdowy po oficerze w randze kapitana. Do Sławna przyjechały ze Słupska, gdzie w okresie 1833 – do marca 1834 roku starsza z sióstr pracowała jako nauczycielka domowa, zajmując się edukacją czterech córek w rodzinie kapitana z tamtejszego garnizonu kawalerii (huzarzy). Pracę utraciła ponieważ wychowanki zostały zapisane przez rodziców do nowo powstałej w Słupsku, wiosną 1834 roku, prywatnej szkoły dla dziewcząt.^{26/}

Przebywając już w Sławnie siostry Prondzinskie wystosowały list do urzędu rejencyjnego w Koszalinie (datowany 28 VIII 1834 r.) z prośbą o zezwolenie na założenie prywatnej szkoły i pensji dla dziewcząt (Privat-Töchterschule und Pensions-Anstalt). Zaznaczyły, iż temu projektowi jest przychylny lokalny inspektor szkolny, kaznodzieja Thym z kościoła Mariackiego.^{27/}

Potwierdzenie sprzyjającego klimatu dla otwarcia w Sławnie takiej szkoły znajdujemy w piśmie miejskiej deputacji szkolnej do wydziału spraw wewnętrznych rejencji. Dowiadujemy się, że miasto nie będzie mogło udzielić wsparcia finansowego projektowanej „wyższej szkole dla dziewcząt” i pensji dla uczennic spoza miasta. Zapewniano, iż zgodnie z obowiązującym zarządzeniem deputacji do spraw kościelnych „rządu Pomorza” (Geistliche Deputation der Pommersche Regierung in Stargard) z 1812 roku – ostateczna decyzja o przyznaniu koncesji na otwarcie szkoły będzie zależała od wyniku egzaminu kwalifikacyjnego (Qualifications-Attest) przed wyznaczoną komisją w Sławnie. Miały taką próbę przejść obie siostry – starsza, która ukończyła w Chojnicach „wyższą szkołę dla dziewcząt” (höheren Töchter Unterrichts Anstalt) w 1832 roku, młodsza – mająca za sobą miejską szkołę podstawową i niepełną (wydaje się) chojnicką „szkołę dla dziewcząt” (dwa semestry).^{28/}

Poziom zaprezentowanej wiedzy, zwłaszcza filologicznej, czy umiejętności praktycznych (np. z rysunków) okazał się wysoki. Siostry Prondzinskie wiele w tym względzie zawdzięczały matce, która od najmłodszych lat przejęła na siebie dokształcanie córek w domu, do czasu otwarcia w Chojnicach wspomnianych szkół ponadelementarnych.^{29/}

Egzamin kwalifikacyjny przeprowadziła 27 listopada 1834 roku 3-osobowa komisja, w składzie której był diakon kościoła Mariackiego dr Albert Thym i jego żona. We wstępie protokołu komisja zawarła ogólną a pozytywną opinię o walorach moralnych i cechach osobowości egzaminowanych. Wiedzę kandydatek sprawdzono z następujących zakresów przedmiotowych i problematyki, które to miały się znaleźć w programie nauczania projektowanej szkoły „wyższej”: historia czasów biblijnych i nauka biblijna, wiedza katechetyczna, podstawowe dane z historii Kościoła chrześcijańskiego; gramatyka i literatura niemiecka; język francuski; rachunki; historia, geografia i przyroda; kaligrafia i rysunki; śpiew i muzyka; kobiece prace ręczne.^{30/}

Na sprawdzianie z języka niemieckiego Adelajda Prondzinska pisała na temat cech królowej Anglii – Elżbiety; Luiza opowiadanie, w formie listu, o przebiegu rodzinnego wieczoru wigilijnego. Po francusku pierwsza z sióstr pisała o cesarzu Fryderyku II (Hohenstaufie – przyp. J.L.), druga o wojnach grecko-perskich (o królu Dariuszu, bitwie pod Maratonem). Cześć następna tego sprawdzianu polegała na przetłumaczeniu tekstu z francuskiego na niemiecki.^{31/}

Pomimo formalnych zezwoleń władzy miejskiej i rejencyjnej, pozytywnych opinii lokalnej deputacji szkolnej (a więc i pastora), pomyślnego zaliczenia egzaminu kwalifikacyjnego, siostry Prondzinskie nie założyły w Sławnie swojej „wyższej szkoły dla dziewcząt”. O istotnych tego przyczynach dowiadujemy się z pisma magistratu skierowanego do urzędu rejencyjnego w kwietniu 1835 roku, kiedy upływał termin otwierania nowego roku szkolnego. Wskazywano na nikłe zainteresowanie wśród rodzin sławieńskich możliwością posyłania swych córek do projektowanej szkoły

płatnej. Z miasta zgłosiło się do zapisu zaledwie 8 dziewczynek w różnym wieku i stopniu wstępnego przygotowania. Przy tej liczebności klasy początkowej opłaty czesnego musiałyby zostać znacznie podniesione, bez możliwości jakiegokolwiek wsparcia (zrekompensowania) z budżetu Sławna, gdzie ujmowano corocznie dofinansowanie tylko miejskiej szkoły publicznej (Stadtschule)^{32/}, która na początku XIX wieku wyrosła na gruncie nowych potrzeb szerszego upowszechniania, w państwie pruskim, podstawowej edukacji – zastępując dawną „elitarną” szkołę łacińską.

Po 12 latach od starań sióstr Prondzinskih została w Sławnie założona w pełni profesjonalna niewielka szkoła tylko dla dziewcząt. W źródłach, a za nimi w literaturze, jest ona nazywana „szkołą dla dziewcząt”, od 1858 roku najczęściej „prywatną wyższą szkołą dla dziewcząt”. Przechodząc do odtworzenia fragmentów historii tej szkoły w XIX wieku autor chce sprostować dwie nieścisłości na temat jej początków, jakie zamieścił w „Dziejach Sławna”.^{33/} Nie była to (po pierwsze) szkoła szczebla ponadpodstawowego, tylko specyficzny rodzaj – z czasem kilkuoddziałowej – żeńskiej szkoły podstawowej, o zakresie i poziomie programowym (poszerzonym), uzasadniającym użycie przymiotnika „wyższa”, dla odróżnienia od ówczesnej publicznej miejskiej szkoły podstawowej. Błędem jest (po drugie) nazywanie jej „wyższą szkołą miejską”, była to bowiem od chwili założenia szkoła prywatna.

Szkoła powstała jesienią 1846 roku (pierwszy rok szkolny 1846-1847), dzięki zabiegom Marii Müller, lat 33, żony mistrza siodlarstwa. Założycielka szkoły urodziła się w Szczecinie (Alt Stettin). W stolicy prowincji pomorskiej przygotowywała się ona do zawodu nauczycielskiego pod okiem duchownego ewangelickiego (kaznodzieja), a następnie w Koszalinie u radcy kosystorialnego. Tam też zdała egzamin kwalifikacyjny przed odpowiednią komisją w październiku 1846 roku, a zatem w trakcie starań o uruchomienie własnej szkoły dla dziewcząt w Sławnie (o czym świadczy data opracowanego planu lekcyjnego; por. niżej), lub tuż przed rozpoczęciem pierwszego roku szkolnego, co miało nastąpić „przy końcu 1846 roku”.^{34/}

Do oddziału wstępnego (Abteilung) pierwszej klasy tej szkoły przyjęto 14 dziewczynek. W opracowanym przez M. Müller planie lekcyjnym, przyjętym w styczniu 1847 roku przez sławieńską (miejską) deputację szkolną, przewidziano już funkcjonowanie klasy drugiej od następnego roku szkolnego 1847-1848. Ten przedmiotowy tygodniowy plan lekcyjny, zawarty w tabeli 1, potwierdza zasadność podstawowego warunku uwzględnianego przy rekrutacji i zapisach. Do tej szkoły przyjmowano uczennice, które miały za sobą etap nauczania elementarnego i posiadały określony zasób wiedzy (höhere Bildung).^{35/}

Od roku szkolnego 1847-1848, gdy trzeba było prowadzić zajęcia lekcyjne w klasie drugiej, została zatrudniona 21-letnia nauczycielka Agnes Cron, urodzona w Drawsku, córka tamtejszego lekarza powiatowego, która na początku marca 1847 roku uzyskała zgodę urzędu rejencyjnego w Koszalinie na podjęcie takiej pracy.^{36/}

Więcej nauczycielek w tej szkole nie pracowało, mimo że od roku 1848-1849 weszła ze swoim programem klasa trzecia. Nie oznaczało to jednoczesnego wzrostu ogólnej liczby uczennic. Zauważamy raczej wyraźną fluktuację frekwencyjną, w sumie z coraz mniej licznymi klasami (por. dane poniżej), co dowodzi, że nie wszystkie „absolwentki” klasy pierwszej kończyły potem klasę drugą, tym bardziej trzecią. Regres szkoły, chyba z tego powodu, nastąpił szybko, a w ślad za nim

Tabela 1

Tygodniowy plan lekcyjny w dwóch oddziałach klasy początkowej sławieńskiej „wyższej szkoły dla dziewcząt” (Marii Müller). Rok szkolny 1846-1847

Godzi- na	Poniedziałek	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
8 - 9	1. Religia 2. ----	Ortografia Nauka pisania	Liczenie na tabl. Czytanie	Religia -----	Nauka pisania Język niemiecki	Liczenie na tabl. Nauka ortografii
9 – 10	1. Historia świata 2. Nauka pisania	Geografia -----	Język niemiecki Nauka pisania	Historia świata Nauka pisania	Geografia Liczenie na tabl.	Język niemiecki Liczenie na tabl.
10 - 11	1. Przyroda 2. Liczenie na tabl.	Język francuski ----	Liczenie z pamięci ----	Czytanie Liczenie na tabl.	Język francuski Prace ręczne	Nauka pisania Czytanie
11 - 12	1. Język francuski 2. Prace ręczne	Prace ręczne Nauka ortografii	---- ----	Język francuski Prace ręczne	Prace ręczne Język francuski	---- ----
12 - 13	1. Nauka rysunku 2. Czytanie	Prace ręczne Czytanie	---- ----	Nauka rysunku Czytanie	Prace ręczne Czytanie	---- ----

Uwaga: 1 oznacza oddział pierwszy; 2 oznacza oddział drugi

Źródło: AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Schlawe d. 27 ten März 1846

zawieszenie działalności, ale nie od 1 kwietnia 1851 roku (jak czytamy w opublikowanej kronice miasta z końca XIX wieku),³⁷ lecz najwcześniej u schyłku 1852 roku, względnie na początku 1853 roku.^{38/}

Rodzice uczennic w szkole M. Müller wpłacali czesne miesięczne: w klasie pierwszej 20 srebrnych groszy i 1 fenig, w klasie drugiej (i przypuszczalnie w trzeciej) 1 talar.^{39/} Do klasy pierwszej w roku otwarcia szkoły przyjęto 14 uczennic, w końcu 1849 roku (3 klasy) było 20 uczennic, w 1850 roku tylko 12, w 1852 roku 22 uczennice.^{40/}

Nowa prywatna „wyższa szkoła dla dziewcząt” została otwarta, po uzyskaniu koncesji 23 kwietnia 1858 roku z wydziału spraw wewnętrznych urzędu rejencyjnego, dnia 7 października 1858 roku.^{41/} Przyjmowano do niej uczennice w wieku 8 do 14 lat.^{42/} Placówkę tego typu można zaliczyć do ówczesnych szkół średnich niższego stopnia.^{43/}

Szkołę w Sławnie założyła, była jej przełożoną i podstawową siłą pedagogiczną, Julia Emilia Agaty Bertling, urodzona w październiku 1823 roku w Królewcu, posiadająca za sobą 17-letnią praktykę nauczycielską. Uczyła się w dzieciństwie pod

Tabela 2

Liczba godzin tygodniowo na poszczególne przedmioty w dwóch oddziałach klasy początkowej sławieńskiej prywatnej „wyższej szkoły dla dziewcząt” (Marii Müller) według planu z końca 1846 roku

Przedmiot	Od dział	
	1.	2.
1. Religia	2	2
2. Historia świata	2	-
3. Geografia	2	1
4. Przyroda	1	-
5. Język francuski	4	2
6. Język niemiecki	2	2
7. Ortografia	1	2
8. Nauka pisania (kaligrafia)	2	6
9. Nauka liczenia na tabliczkach	2	3
10. Liczenie pamięciowe	1	1
11. Nauka czytania	1	6
12. Nauka rysunku	2	-
13. Prace ręczne	4	2
Razem godzin tygodniowo	26	27

Źródło: AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Schlawe d. 27ten März 1846

okiem nauczycielki domowej, następnie ukończyła jedną z prywatnych „wyższych szkół żeńskich” w Królewcu. W kwietniu 1846 roku zdała egzamin przed królewskim (państwowym) kolegium szkolnym prowincji brandenburskiej w Berlinie, otrzymując świadectwo nauczycielki stopnia elementarnego w szkołach dla dziewcząt, w tym prawo do nauczania języka francuskiego. O przebiegu pracy zawodowej w latach 1846-1858 brak jest informacji.^{44/}

Przełożona szkoły zatrudniła dwie nauczycielki pomocnicze, które przepracowały w niej najwyżej rok lub dwa. Były to: 34-letnia Maria Gusen, córka radcy dworu (Hofrath) z Koszalina, która dotąd – po zdaniu w 1849 roku egzaminu przed królewską komisją rejencyjną – pracowała w jednej ze szkół prywatnych w Koszalinie; Ida Hase ze Sławna, córka zmarłego kupca, nauczająca tylko prac ręcznych.^{45/}

Cel generalny przyświecający właścicielce szkoły to – kształcenie chrześcijańskiej osobowości poprzez wdrażanie zasad prawości i prawdomówności oraz kształcenie umysłu. W osiągnięciu tych szczytnych zamierzeń miało też służyć, jako rodzaj zakładu wychowawczego, założenie przez przełożoną szkoły pensji dla swoich uczennic, z chwilą gdy pozwolą jej na to własne warunki mieszkaniowe.^{46/} Stało się tak z początkiem 1860 roku. Informując o utworzeniu pensji, J. Bertling podkreślała, mając na myśli (sądzić wypada) rodziców potencjalnych pensjonariuszek, że nauka i wychowanie będą przez nią prowadzone metodycznie. Dodatkowo oferowała ona udzielanie lekcji muzyki.^{47/}

Już po kilku pierwszych miesiącach działalności szkoły, w ocenie magistratu Sławna, na podstawie opinii miejskiej deputacji do spraw szkolnictwa, nauczanie z zakresu wiedzy biblijnej i zasad religijnych było prowadzone na poziomie bardzo dobrym, a na poziomie dobrym nauka śpiewu chorałowego. Również za bardzo dobre uważano lekcje z pozostałych przedmiotów, licząc i prace ręczne.^{48/}

Od roku 1860 – 1861 szkoła Agaty Bertling była już trzyklasowa. Biorąc pod uwagę strukturę organizacyjną podobnego typu szkół w innych miastach oraz informacje na ten temat pochodzące z lat nieco późniejszych (por. niżej), przyjmujemy, że pierwsze klasy dzieliły się na oddziały 2 i 1 (Abtheilungen). Od woli rodziców zależało czy córki miały uczęszczać do tej szkoły przechodząc cykl nauczania niższego rzędu (oddział 2), a więc tylko 3 lata, czy też w pełnym wymiarze programowym przez okres 5 lat, później przez 6 lat. W szkole pracowali dwaj nowi nauczyciele pomocniczy. Po raz pierwszy mężczyzna, lat 23, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Koszalinie, dającego uprawnienia nauczyciela „szkoły ludowej”, oraz 20-letnia absolwentka „wyższej szkoły dla dziewcząt” w Gdańsku (2,5-letni staż w zawodzie).^{49/} W 1862 roku grono pedagogiczne szkoły (wraz z przełożoną) liczyło 5 osób. Nadal pracowali – wspomniany nauczyciel po seminarium koszalińskim i miejscowa nauczycielka prac ręcznych, ponadto 19-letnia panna, o której wiadomo, że odpowiednie wykształcenie i przygotowanie zdobyła w Koszalinie. Zatrudniony był pochodzący z Anglii niejaki Frances Jones, lat 23, zaangażowany do prowadzenia lekcji języka angielskiego oraz muzyki dla uczennic mieszkających na pensji przełożonej szkoły.^{50/}

Z niewiadomych przyczyn w 1864 roku przełożona szkoły wyprowadziła się ze Sławna. Jej miejsce zajęła, od 7 kwietnia, 38-letnia panna Maria Arndt, urodzona w Bytowie, która przybyła z Mierosławca, a mieszkała w Sławnie już od 1861 roku. Wraz z przejściem szkoły rozpoczęła ona przyjmować zapisy uczennic w swoim mieszkaniu wynajętym w domu sławieńskiego rentiera, stojącym przy Rynku.^{51/}

Nowa przełożona i właścicielka miała za sobą 14-letni okres pracy w zawodzie, w tym prawie 3 lata w Sławnie. Skończyła „wyższą szkołę dla dziewcząt” o profilu francuskim w Królewcu, następnie seminarium dla nauczycielek w Berlinie. W 1855 roku (listopad) – czyli w wieku 17 lat – uzyskała atest po zdaniu w Berlinie egzaminu przed państwowym kolegium szkolnym prowincji brandenburskiej, uprawniający do nauczania w różnych typach „szkół żeńskich”, z zaznaczeniem – o szczególnej przydatności do prowadzenia lekcji języka francuskiego.^{52/}

Inni czterej pracownicy w 1866 roku to: panna Helene Schultze, lat 26, urodzona w Berlinie, gdzie – mając 19 lat – ukończyła państwową wyższą szkołę (Bildungsanstalt) dla nauczycielek (to zapewne seminarium nauczycielskie), co dało jej uprawnienia, zgodnie ze świadectwem królewskiego kolegium do spraw szkolnych prowincji brandenburskiej, nauczycielki w szkołach dla dziewcząt, zwłaszcza języka francuskiego. Przed zatrudnieniem w tej szkole przepracowała jako nauczycielka 7 lat, w tym ponad 2 lata w Sławnie (bez podania miejsca; może jako nauczycielka prywatna ?); panna Louise Arndt, lat 28, urodzona w Kołobrzegu. Skończyła w Królewcu prywatną „wyższą szkołę dla dziewcząt” i tamtejsze żeńskie seminarium nauczycielskie. Dwaj pozostali pedagodzy to mężczyźni, zatrudnieni (wydaje się) – używając współczesnego określenia – w niepełnym wymiarze godzin. Byli oni stałymi pracownikami tutejszej publicznej szkoły podstawowej, opłacanymi z kasy miejskiej (städtische Lehrer), a w szkole żeńskiej nauczali śpiewu.^{53/}

Od 1 maja 1867 roku miejsce H. Schultze zajęła panna Pauline Piatz, urodzona w Szczecinie w 1845 roku. Egzamin kwalifikacyjny, uprawniający do nauczania w „wyższych szkołach żeńskich”, zdała ona przy końcu marca 1866 roku w Stralsundzie.^{54/}

Do szkoły pod kierownictwem M. Arndt i jej następczyni (por. niżej) przyjmowane były uczennice w wieku 7-15 lat. Według ustalonego kryterium kwalifikacyjnego wpis do klasy początkowej (III) był poprzedzony sprawdzianem nabytej dotąd umiejętności czytania i pisania oraz znajomości podstawowego 4-rodzajowego liczenia od 1 do 20 (dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia).^{55/} Pełny kurs nauki dla każdej z trzech klas – podzielonych na oddziały 2 i 1 – miał trwać dwa do dwóch i pół lat.^{56/}

Zakres przedmiotowy obowiązujący w szkole w 1866 roku jest podany w tabeli 3. W porównaniu do planu nauczania w dwóch oddziałach klasy początkowej (III) sprzed 20 lat (tabela 2) różnice okazują się niewielkie, chociaż istotne (pomijając nauczanie języka angielskiego, które przewidziano dopiero od wyższego oddziału klasy II). I tak, w 1866 roku w klasie początkowej (licząc razem oba oddziały): więcej godzin przeznaczano na religię, geografię, historię, język niemiecki, rysunki, prace ręczne, rachunki; nieco mniej (o 1 godz.) na język francuski i kaligrafię; nie przewidywano nadal na tym etapie lekcji z przyrody; weszła do programu nauka śpiewu.

Nauczyciele prowadzili lekcje z kilku przedmiotów i we wszystkich klasach, za wyjątkiem nauczających śpiewu. Na przykład w 1867 roku (wiosna, początek semestru letniego roku szkolnego 1867-1868) M. Arndt nauczала religii, języka niemieckiego i francuskiego, historii, geografii i prac ręcznych; L. Arndt – przyrody, rysunku, historii, języka francuskiego, religii, rachunków i prac ręcznych; P. Piatz – języka angielskiego i niemieckiego, religii, geografii, rachunków, kaligrafii i prac ręcznych.^{57/}

Wykazany skład nauczycieli uległ całkowitej wymianie w tymże samym roku – od października (początek semestru zimowego) z chwilą przejęcia szkoły przez kolejną przełożoną (Vorsteherin) – pannę Albertinę Leistikow. Wprowadziła ona swój „autorski” program i nowy podział przedmiotowo-lekcyjny; jest on zawarty w tabeli 4. Zatrudniła już tylko kobiety – 3 panny. Wszystkie one, jak poprzedniczki, nauczały w każdej z trzech klas, również po kilka przedmiotów (październik 1869 r., tj. w połowie roku szkolnego 1869-1870) przełożona 6 – religia, przyroda, rachunki, geografia, język niemiecki, rysunki; Gertruda Farne 8 – języki: niemiecki, francuski, angielski, historia, geografia, rachunki, religia i śpiew; Valesca Goldscheider 6 – język niemiecki (gramatyka, literatura, recytacje), historia, geografia, rachunki, przyroda, religia; Johanne Getzschmann (nauczycielka pomocnicza) 2 – prace ręczne i język niemiecki (ortografia, doskonalenie czytania, kaligrafia), stylistyka.^{58/}

Odtworzenie dalszych dziejów sławieńskiej prywatnej wyższej szkoły dla dziewcząt w końcu XIX wieku nie jest jeszcze możliwe na takim, jak dotychczas zaprezentowano, poziomie nasycenia faktograficznego, ponieważ źródła są bardzo lakoniczne i rozproszone w czasie. Ciąg dalszy tych dziejów można rozpocząć od przełomu 1877-1878 roku. Szkołę prowadziła panna Hendess. Budynek trzyklasowej szkoły znajdował się na północno-wschodnim obrzeżu miasta, przy szosie do Słupska. Oprócz przełożonej szkoły, nauczającej (między innymi) języka angielskiego, pracowały jeszcze dwie nauczycielki przedmiotów ogólnych: panna Zelle (od listopada 1877 r. po zdaniu egzaminu kwalifikacyjnego przed komisją w Koszalinie);

Tabela 3

Zakres przedmiotowy i liczba godzin tygodniowo w sławieńskiej wyższej szkole dla dziewcząt (Marii Arndt). Rok szkolny 1866-1867

Klasa	III		II		I	
Oddział	2	1	2	1	2	1
1. Religia	3	3	2	2	3	3
2. Język niemiecki	7	7	6	6	4	4
3. Rachunki	3	2	2	2	2	2
4. Język francuski	2	3	5	5	5	5
5. Język angielski	-	-	-	2	3	3
6. Geografia	2	2	2	2	2	2
7. Historia	2	2	2	2	2	2
8. Przyroda	-	-	-	1	2	2
9. Nauka pisania (kaligrafia)	3	3	2	-	-	-
10. Rysunki	-	1	2	2	2	2
11. Śpiew	2	2	2	2	2	2
12. Prace ręczne	4	4	4	4	3	3
Liczba godzin tygodniowo	28	29	30	30	30	30

Źródło: AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Lehrplan der höheren Privat Töchterschule zu Schlawe. Tamże cały plan opisowy z elementami tematycznymi i podstawą podręcznikową (łącznie 11 stron rękopisu).

Tabela 4

Zakres przedmiotowy i liczba godzin tygodniowo w sławieńskiej wyższej szkole dla dziewcząt (Albertiny Leistikow). Nowy program od roku szkolnego 1867 – 1868

Klasa	III		II		I	
Oddział	2	1	2	1	2	1
1. Religia	4	4	4 ^a	4 ^a	3 ^g	3 ^g
2. Język niemiecki	5	5	4 ^b	4 ^b	4 ^h	4 ^h
3. Język francuski	3	3	4 ^c	4 ^c	4 ⁱ	4 ⁱ
4. Język angielski	-	-	3 ^d	3 ^d	4 ^j	4 ^j
5. Historia z geografą	3	3	-	-	-	-
6. Historia	-	-	3 ^e	3 ^e	3 ^k	3 ^k
7. Geografia	-	-	2 ^f	2 ^f	2 ^l	2 ^l
8. Rachunki	3	3	2	2	2	2
9. Przyroda	1	1	2	2	2	2
10. Nauka kaligrafii	2	2	1	1	1	1
11. Rysunki	2	2	2	2	2	2
12. Śpiew	1	1	1	1	1	1
13. Prace ręczne (kobiece)	2	2	2	2	2	2
Liczba godzin tygodniowo	26	26	30	30	30	30

Uwagi: a – w tym historia biblijna i katechizm po 2 godz.; b – w tym gramatyka 2 godz., przerabianie utworów poetyckich i recytowanie 1 godz., stylistyka (Stylübungen) 1 godz.; c – w tym gramatyka 2 godz. (nieco inny zakres przedmiotowy w 2 i 1 oddziale), lektury 2 godz. (nieco inny zakres materiałowy dla 2 i 1 oddziału); d – w tym gramatyka 2 godz. (inny zakres dla 2 i 1 oddziału), lektury 1 godz.; e – w tym historia starożytna i średniowieczna 2 godz., historia regionalna 1 godz.; f – wiadomości o wszystkich 5 kontynentach; g – po 1 godz. historia biblijna, nauka biblijna (Bibelkunde) i katechizm; h – po 1 godz. gramatyka, czytanie fragmentów z literatury, stylistyka, historia literatury; i – po 1 godz. gramatyka, lektury, stylistyka, konwersacja; j – w tym gramatyka 1 godz., lektury 2 godz., stylistyka i konwersacja 1 godz.; k – historia nowożytna 2 godz., historia regionalna 1 godz.; l – głównie geografia fizyczna.

Źródło: Opracowano na podstawie AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Grundlehrplan der Privat Töchterschule zu Schlawe. Schlawe den 25. Okt. 1867. Albertina Leistikow.

panna Sýring, znająca język francuski. Ponadto zatrudniona była nauczycielka pomocnicza, prowadząca lekcje z prac ręcznych, oraz (jak w latach sześćdziesiątych) dwaj nauczyciele z powszechnej szkoły miejskiej, zarekomentowani przez lokalnego inspektora szkolnego – pastora Wentzela.^{59/}

Tabela 5

Liczba uczennic w sławieńskiej wyższej szkole dla dziewcząt w latach 1858 – 1906

Rok	Liczba klas	Liczba kl IV	ba kl III	uc kl. II	ze kl. I	nic Ra- zem	Rok	Liczba klas	Li cz kl. IV	ba kl. III	ucz kl. II	eni kl. I	c Ra- zem
1859	2					25	1893	4					71
1860	3					49	1894	4					72
1862	3					47	1895	4					63
1866	3					40	1896	4	19	21	21	14	75
1869	3		14	14	6	34	1898	4	23	20	21	10	74
1875	3					81	1899	4					82
1877	3		28	25	12	65	1900	4	28	26	19	8	81
1878	3		32	24	22	78	1901	4	29	21	16	8	74
1883						75	1902	4	28	25	20	7	80
1884						75	1903	4					102
1888	4					67	1904	4	30	27	31	12	100
1890	4					70	1906	4	31	24	24	13	92
1891	4					76							

Źródło: AP Kosz. , Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht... 1858, 1860, 1862, 1866; tamże: Schlawe, den 12. October 1869; tamże: Coeslin, den 20. Februar 1878; tamże: Schlawe, den 29. November 1878; Verwaltungsbericht des Magistrats zu Schlawe über die städtischen

Verhältnisse pro 1883/84, s. 5; ...1884/85, s.6; ...1888/89, s. 16; ...1891/92, s. 13; ...1894/95, s. 17; ...1898/97, s. 15; Bericht des Magistrats zu Schlawe über die Verwaltungsverhältnisse der Stadt Schlawe für das Jahr: 1900/1901, s. 16; ...1901/1902, s. 16; ...1904/1905, s. 13; ...1906, s.22 ; A *Stoebbe, Chronik*, s. 168, 264; Siebenter Jahresbericht über das städtische Progymnasium zu Schlawe für das Schuljahr 1878/79, s. 8.

Następną przełożoną szkoły, przynajmniej od roku szkolnego 1880-1881, była panna C. Wendorff.^{60/} Pracowała ona w Sławnie do końca roku szkolnego 1888-1889 a następnie przeniosła się do Okonka. Prowadzenie szkoły przejęła po niej wdowa Maria Otto, nauczycielka z Elbląga.^{61/} Na tym stanowisku widzimy ją jeszcze w 1905 roku.^{62/}

Miarą rozwoju szkoły, poszerzania oraz pogłębiania programu przedmiotowego było przejście na 4-letni cykl nauczania. Nastąpiło to od kwietnia 1880 roku, gdy szkołą zarządzała już C. Wendorff. Do szkoły przyjmowano dziewczynki po ukończeniu 6-tego roku życia, nie wymagając od nich wstępnego, elementarnego przygotowania (ohne Vorkenntnisse).^{63/} W klasie czwartej (w ówczesnej nomenklaturze jest oznaczona jako klasa I) uczyło się znacznie mniej dziewcząt niż w pozostałych (por. tabela 5.). Grono pedagogiczne składało się z 4 nauczycielek (wliczając przełożoną), w pewnym okresie na początku XX wieku z 5 (np. w 1904 i 1905 r.), lecz później ponownie pracowały 4 (1907 i 1908 r.).^{64/}

Nie dysponujemy jeszcze konkretnymi co do ewentualnych dalszych zmian w programie nauczania, zwłaszcza od czasu przejścia na system 4-letni, z podziałem na dwa oddziały w poszczególnych klasach. Wiadomo, na przykład, że w 1890-1891 roku języka angielskiego uczono od drugiej klasy (III), języka francuskiego od trzeciej (II).^{65/} Od początku roku szkolnego 1902-1903 wprowadzono do planu obowiązkowe „lekcje gimnastyki”, które odbywały się na placu lub w sali sportowej sławieńskiego progimnazjum.^{66/}

Po kolejnej szczegółowej wizytacji szkoły w 1896 roku, dokonanej przed radcą rejencyjnego i inspektora z Koszalina , zostały wysoko ocenione zdolności pedagogiczne nauczycielek, zwłaszcza kierowniczeki. Podkreślano dobrą organizację zajęć i „wydajne” udzielanie nauki.^{67/}

Szkoła przeżywała jednak pod koniec XIX wieku swego rodzaju kryzys, a jej przyszłość na progu XX wieku stała pod wyraźnym znakiem zapytania, wywołując z troskanie władz miasta. Kryzys przejawiał się głównie pod postacią permanentnych trudności finansowych. Wskutek małej liczby uczennic (por. tabela 5) spadał podstawowy dochód z wpłat czesnego.^{68/} Pensje kierowniczeki i pozostałych nauczycielek^{69/} były niskie, „niewspółmiernie do nakładu pracy”. Obarczone były one wyższym pensum godzinnym w tygodniu niż nauczyciele w miejskiej publicznej szkole podstawowej. Wobec braku środków szkoła nie odprowadzała składek na fundusz emerytalny. Z budżetu miasta pochodziła coroczna kwota dotacji docelowej w wysokości tylko 500 marek, przeznaczona „na utrzymanie miejsc” w tej szkole. Lekcje odbywały się w wynajmowanych salach sławieńskiej podstawówki, za co – pomimo dotacji magistrackiej – kierowniczka szkoły żeńskiej musiała płacić czynsz.^{70/}

Nacisk władz Sławna, zwłaszcza starania miejskiej deputacji szkolnej, spowodował zainteresowanie się problemami szkoły koszalińskiego urzędu rejencyjnego, który rozpoczął w 1901 roku (?) starania o państwową dotację na podwyższenie uposażeń

dla kierowniczk i pozostałych nauczycielek.^{71/} Nie wiemy (na razie) jakie były efekty owych zabiegów – wydaje się, że pozytywne.

W sumie, od około 1902–1903 roku prywatna szkoła żeńska w Sławnie weszła w korzystniejszy okres funkcjonowania. Wyraźnie wzrosła liczba uczennic, zwłaszcza w dwóch najwyższych klasach (por. tabela 5). Zarysowały się nowe perspektywy. Władze miejskie rozważały zmianę statusu prawnego tej szkoły i radykalne poprawienie jej warunków lokalowych, poniesienie, w związku z tym, znaczących kosztów. Wśród priorytetowych obiektów miejskich, planowanych do zbudowania w możliwie jak najszybszym terminie, wymieniona została w 1903 roku „miejska wyższa szkoła dla dziewcząt” (einer städtischen höheren Töchterschule).^{72/}

Stojące aktualnie do dyspozycji zapiski źródłowe wskazują (pośrednio), że plany przejęcia przez miasto prywatnej sławieńskiej szkoły dla dziewcząt nie zostały jednak zrealizowane do wybuchu I wojny światowej.^{73/}

Dodatkowe penetracje kwerendalne winny wnieść zasadniczą faktografię celem dokładniejszego odtworzenia historii tej szkoły w początkowych latach XX wieku i w okresie międzywojennym. Po 1918 roku sławieńska prywatna szkoła żeńska nie istniała. Wymieniany jest odrębny zespół wyższych klas mieszczący się przy miejskiej szkole podstawowej, przeznaczony tylko dla dziewcząt (gehobene Mädchenklassen). Przekształcił się on po 1928 roku w samodzielną miejską średnią szkołę dla dziewcząt, którą przeniesiono do własnej siedziby, wybudowanej w północnej części miasta.^{74/}

Przypisy

1. *Von der mittelaterlichen Lateinschule zur modern Volksschule*, /w:/ Heimat – Beilage der „Schlawer Zeitung”. September 1931, s. 448. Liczba uczniów w tamtym okresie 32 – 38, w wieku 6 do 14/15 lat.
2. Więcej o szkolnictwie sławieńskim do połowy XVII wieku. A. Muszyński, /w:/ *Dzieje Sławna*, pod red. J. Lindmajera, Słupsk 1994, s. 125 – 128.
3. *Der Kreis Schlawe. Ein pommersches Heimatbuch. 1. Band – Der Kreis als Ganzes*. Hrsg. M. Vollack, Husum 1986, s. 357; Ostpommersche Heimat. Beilage der „Zeitung für Ostpommern”, 1931, Nr. 49.
4. D. Łukasiewicz, *Pruska szkoła na Pomorzu Zachodnim w XVII-XVIII w.*, „Przegląd Historyczny” 1966, z.1, s.7.
5. *Der Kreis Schlawe*, 1, s. 357; *Von der mittelalterlichen Lateinschule*, s. 448.
6. W pokątnych szkołach sławieńskich trzeba było wówczas płacić tygodniowo 6 do 8 fenigów.
7. D. Łukasiewicz, *Pruska szkoła*, s. 7.
8. J. Lindmajer, *Rzecz o Franzu Mehringu 1846 – 1919*, „Dorzecze” Nr 9, Sławno 1999, s. 13-14
9. Archiwum Państwowe w Koszalinie. Zespół: Regierung Köslin, Akcesja 69/40 (dalej: AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40. Nr 5221: Bericht über das Privat-Schulwesen zu Schlawe für das Jahr 1840 (bez daty szczegółowej).
10. Tamże: Bericht... 1846.

11. Por. tamże: Bericht... 1849 i 1850.
12. Tamże: Bericht... 1852.
13. Tamże: Bericht... 1854, 1856, 1858, 1860, 1862.
14. Por. tamże: Bericht... 1856 (jest wymieniona); tamże: Bericht... 1858 (nie jest wymieniona).
15. Tamże : Bericht... 1840, 1842, 1846, 1852, 1854, 1860, 1862.
16. Tamże: Bericht... 1846, 1854.
17. *M. Wehrmann, Geschichte von Pommern*, Bd. II, Gotha 1921, s. 274; *A. Wielopolski, Ustrój polityczny Pomorza Zachodniego w XIX wieku*, Poznań 1965, s. 63.
18. AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht ... 1840, 1844, 1846, 1852.
19. Tamże: Bericht... 1840, 1842, 1844, 1846, 1850, 1858. Jeden talar liczył 30 srebrnych groszy = 360 fenigów.
20. Tamże: Bericht ... 1852, 1856.
21. Tamże: Bericht ... 1840, 1844, 1846, 1849.
22. Tamże: Bericht ... 1852, 1854.
23. Tamże: Bericht: ... 1858, 1860, 1862.
24. *A. Stoebbe, Chronik der Stadtgemeinde Schlawe i. Pom.*, Schlawe 1898, s. 168. Uwaga. Wymienione w *Dziejach Sławna* (s.242) dwie szkoły prywatne to – uściślając teraz – 3 – klasowa szkoła żeńska, tak zwana „wyższa”, o której historii pisze się obszernie poniżej, i owa jednoklasówka.
25. Por. na przykładzie Bytowa. *J. Lindmajer, Bytów w okresie przemian ustrojowo-prawnych i społeczno-gospodarczych Prus (1815-1918)*, (w:) *Historia Bytowa*, pod red. Z. Szultki, Bytów 1998, s. 242-243.
26. AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5220: Schlawe, 20ten September 1834.
27. Tamże: Köslin, 4. September 1834. Doktor filozofii Albert H. T. Thym, diakon sławieńskiego kościoła Mariackiego w latach 1831-1835; ur. 1803 r., ukończył gimnazjum w Szczecinie, studia w Berlinie; święcenia luty 1831; w Sławnie od kwietnia 1831 r. W latach 1835-1870 pastor w Garczegorzu (pow. łęborski); od września 1835 r. także jako superintendent synody łęborskiej. Po przejściu na emeryturę (1 IV 1870 r.) wyjechał do Züllichau (Sulechów). *E. Müller, Die Evangelischen Geistlichen Pommerns von der Reformation bis zur Gegenwart, II. Teil*, Stettin 1921, s. 250, 429.
28. Tamże: Schlawe, den 24. September 1834; ... Schlawe, den 2. October 1834. Tamże potwierdzenia i odpisy świadectw ze szkół chojnickich.
29. Tamże: Schlawe, 20ten September 1834.
30. Tamże: protokół z egzaminu przeprowadzonego 27 XI 1834 r. Tekst protokołu liczy łącznie 12 stron rękopisu. Załączone są prace pisemne, rachunkowe, rysunkowe (dwa motywy kwiatowe wykonane ołówkiem oraz tuszem).
31. Tamże.
32. Tamże: Schlawe den 11. April 1835.
33. *J. Lindmajer*, (w:) *Dzieje Sławna*, s. 245.
34. AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht ... 1846.
35. Tamże.
36. Tamże: Bericht ... 1847.
37. *A. Stoebbe, Chronik*, s. 104.
38. Jeszcze w sprawozdaniu za 1852 r. trzyklasowa szkoła M. Müller jest ujęta. Najprawdopodobniej szkoła została rozwiązana wiosną 1853 r. AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht ... 1852.

39. Tamże: Bericht ... 1846, 1849, 1850, 1852.
40. Tamże: Bericht ... 1846, 1849, 1850, 1852.
41. A. Stoebe, *Chronik*, s. 104; AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht ... 1858.
42. Schlauer Kreisblatt, 1858, Nr 26.
43. Por. E. Włodarczyk, (w:) *Dzieje Szczecina 1806 – 1945*, pod red. B. Wachowiaka, Szczecin 1994, s. 487.
44. AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht ... 1858.
45. Tamże.
46. Tamże.
47. Schlauer Kreisblatt, 1860, Nr 5.
48. AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht ... 1858. Ocena lekcji religii i wiedzy biblijnej po wizytacji w 1866 r. wypadła na stopień dobry. Tamże: Bericht ... 1866.
49. Tamże: Bericht ... 1860.
50. Tamże: Bericht ... 1862.
51. Tamże: Bericht ... 1866; Schlauer Kreisblatt, 1864, Nr 11.
52. AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht ... 1866.
53. Tamże.
54. Tamże: Schlawe, den 6. Mai 1867 (pismo pastora sławieńskiego, Rotha, do wydziału spraw wewnętrznych urzędu rejencyjnego w Koszalinie).
55. Tamże: Lehrplan der höheren Privat-Töchterschule zu Schlawe; tamże : Grundlehrplan ... Schlawe, den 25. October 1867.
56. Tamże: Lehrplan ... (jw.).
57. Tamże: Schlawe, den 6. Mai 1867. Pismo pastora (jak przyp. 54).
58. Tamże: Schlawe, den 12. October 1869.
59. Tamże: Coeslin, den 20. Februar 1878.
60. Schlauer Kreisblatt, 1880, Nr 22.
61. Tamże, 1889, Nr 86; Verwaltungsbericht des Magistrats zu Schlawe über die städtischen Verhältnisse pro 1888/89, s. 16.
62. Schlauer Kreisblatt, 1905, Nr 23.
63. Tamże, 1880, Nr 22.
64. Verwaltungsbericht des Kreises Schlawe für das Jahr 1904, s. 16; ...für das Jahr 1905, s. 17; ...für das Jahr 1907, s. 2; ... für das Jahr 1908, s. 20.
65. Verwaltungsbericht des Magistrats, 1891/92, s. 13.
66. Bericht des Magistrats zu Schlawe über die Verwaltungsverhältnisse der Stadt Schlawe für das Jahr 1901/1902, s. 13.
67. Verwaltungsbericht des Magistrats, 1896/97, s. 15.
68. Tamże, 1896/97, s. 15; Bericht des Magistrats, 1900/1901, s. 16. Brak informacji o wysokości chesnego w końcu XIX wieku. Na przykład w 1858 r. wynosił on miesięcznie w klasie II 1,5 talara, w klasie I 2 talary; w 1860 i 1866 r., także miesięcznie, od 1 do 1,5 talara w oddziałach klasy początkowej (tj. III), do 2 talarów od oddziału wyższego (I) w klasie II i tyle samo w obu oddziałach klasy najwyższej (I). AP Kosz., Reg. K., Acc. 69/40, Nr 5221: Bericht ... 1858, 1860, 1866.
69. W 1898 r. zatrudnione były: pani Wagenknecht i dwie panny – van Alten i Hintze. A. Stoebe, *Chronik*, s. 267.
70. Verwaltungsbericht des Magistrats 1896/97, s. 15.
71. Bericht des Magistrats, 1901/1902, s. 13.

72. Archiwum Państwowe w Szczecinie. Zespół: Naczelne Prezydium Prowincji Pomorskiej, Nr 4134: Schlawe, den 22. Oktober 1903. Ówczśnie (1900 r.) takie szkoły posiadały w rejencji koszalińskiej tylko Kołobrzeg i Słupsk. *Verzeichniss sämtlicher Ortschaften der Provinz Pommern*, Berlin 1900, s. VI.
73. Najnowsze potwierdzenie, że jest to szkoła prywatna, nadal kierowana przez M. Otto, pochodzi z 1905 r. *Schlauer Kreisblatt*, 1905, Nr 23.
74. J. Lindmajer, (w:) *Dzieje Sławna*, s. 284, 286. Na planie miasta z 1939 r. zaznaczona jako „szkoła średnia” (Mittelschule). Grono pedagogiczne przed II wojną światową liczyło 7 osób: 3 nauczycieli (z rektorem) i 4 nauczycielki. *Der Kreis Schlawe*, 1, s. 380.

Günter Machemehl – malarz Pomorza

Günter Machemehl urodził się w Sławnie 22 lutego 1911 roku. Ojciec Paul był kupcem z rodziny urzędniczo-pastorskiej, matka Margarethe, z domu Weichelt pochodziła z rodziny prowadzącej farbiarnię.



Na zdjęciu: dom Machemehlów przy ówczesnej Stolperstr. (obecna Skłodowska) budynek stał na rogu dzisiejszych ulic Skłodowskiej i Lipowej. Zdjęcie ze zbiorów rodziny zamieszkającej w Oldenburgu i. H.

Przyszły artysta uczęszczał do sławieńskiego gimnazjum, gdzie w 1931 roku uzyskał maturę. Już wtedy myślał o artystycznej karierze. Będąc jeszcze uczniem gimnazjum jeździł do Berlina – do prof. Friedricha Dannenberga – by uczyć się malarstwa.

W 1931 roku został przyjęty do Berlińskiej Szkoły Sztuk Pięknych do pracowni prof. F. Dannenberga. Jednocześnie studiował na Uniwersytecie Berlińskim historię sztuki u Wilhelma Waetzolda. Uczęszczał też na wykłady filozofa Nicolaia Hartmanna. W 1934 roku kończy studia i wraca do Sławna.

Właściciele niemieckich galerii – Bucholtz, Möller i Nierendorf – chętnie wystawiają prace 23 letniego artysty. Wystawy miał m.in. Berlinie, Halle, Szczecinie, Górlitz i Koszalinie.

W 1936 roku artysta osiadł w Łabuszu (nad jeziorem Jamno), gdzie jego żona Anne Liese (z domu Spätzel) pracowała jako nauczycielka. Przebywa też w Jarosławcu, który odwiedzali także inni artyści, m.in. jeden z najwybitniejszych niemieckich ekspresjonistów Karl Schmidt – Rottulff (1884-1976) – współzałożyciel grupy ekspresjonistów „Die Brücke. Ta przyjaźń przetrwa do śmierci artysty.

W początkowym okresie tworzy akwarele przedstawiające krajobrazy, rysuje też portrety. Do 1945 roku powstało około 400 obrazów. Ocalało z nich zaledwie 30. Zasluga to prof. Waltera Krafta, który pod koniec 1944 roku przewiózł je do Lubeki, gdzie przetrwały czas wojny w podziemiach kościoła.

W 1937 roku dotyka go – jak wielu artystów - zakaz wykonywania zawodu. Nie może też wystawiać swoich prac. Pensja żony, która pracuje jako nauczycielka pozwala im przetrwać trudny okres. Malarz myśli o emigracji. Odradza mu to Hermann Hesse, sam emigrant w Szwajcarii, z którym artysta utrzymuje kontakt listowy od 1933 roku. To głównie decyduje, iż postanawia zostać na Pomorzu. Dalej tworzy. W sprzedaży obrazów pomaga mu Ernst Karl Röessler, którego plebania w Jamnie podczas wojny była centrum duchowym. Na plebani gościli: berliński organista prof. Fritz Heitmann, kompozytor Wolfgang Fortner, flecista Gus-



"Dom pradiadka", 1935, 60 x 57 cm, akwarela (u góry z lewej); Autoportret, rysunek tuszem, 36 x 48 cm 1964 (u góry z prawej), "Połów ryb przy brzegu", akwarela 75 x 55 cm, 1941 (u dołu).

tav Scheck i klawesynista prof. Fritz Neymeyer. G. Machemehl przyjaźni się z Fritzem Heitmannem, który w miejscowym kościele gra często na organach tylko dla niego. Artysta do końca wojny przebywa w Łubuszu. Dostaje się do niewoli rosyjskiej i kilka miesięcy spędza na robotach w okolicach Gdańska. Później udaje mu się odnaleźć żonę i oboje przez Danię wyjeżdżają do Niemiec. W 1946 roku osiadł w Sieksdorf. Poza kilkoma wyjazdami na południe Europy i do Danii tu mieszka do końca życia. Jego dom z czerwonej cegły stał niedaleko stromego wybrzeża, z widokiem na zatokę, w ogrodzie pełnym kwiatów i drzew. Maluje przede wszystkim krajobrazy, także portrety i autoportrety.



Dom w Łubuszu - szkic G. Machemehla (ze szkicownika będącego w posiadaniu rodziny)



Brama Słupska w Sławnie (ze szkicownika będącego w posiadaniu rodziny)

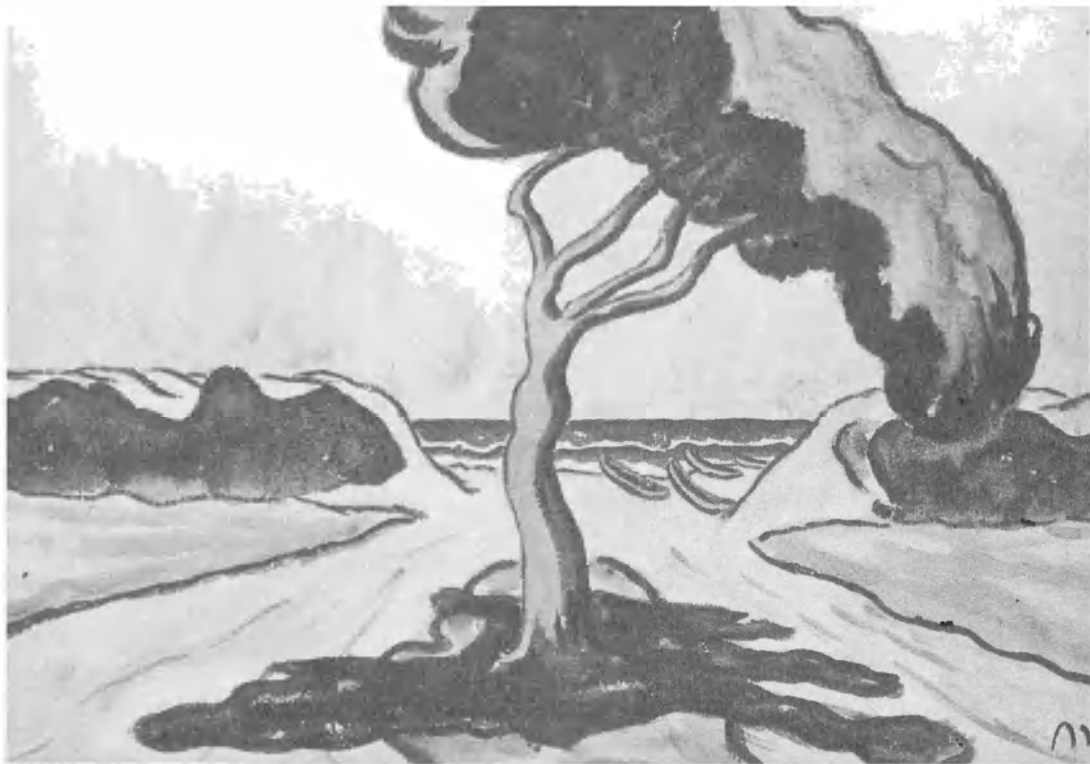
W początkowym okresie twórczości posługiwał się techniką akwarelową, później maluje też kredką świecową, farbami olejnymi, posługuje się technikami mieszanymi. Inspirował go krajobraz morski Bałtyku, a później wybrzeże holsteińskie. W ostatnich latach życia fascynował go też krajobraz Alp. Jego twórczość należy do późnego okresu ekspresjonizmu niemieckiego.

Kłopoty zdrowotne (dolegliwości sercowe) powodowały, że uczestniczył w niewielu wystawach – m.in. w Lubece (1946) czy w Oldenburgu/Helstein (w 1964 roku) wraz z Schmidtem – Rottlufem, z którym utrzymywał stały kontakt i który często bywała w jego domu w Sieksdorf.

Zmarł w Sieksdorf 3 lutego 1970 roku mając zaledwie 59 lat. Pochowany został na cmentarzu w Susel.

Po śmierci artysty żona Anne Liese zorganizowała kilka wystaw, m.in. : w Minden i Meran (1970), w Hamburgu (1971), w Sieksdorf i Kilonii (1973), w Monachium i Travermünde (1974), w Kassel (1976), w Bonn (1977), w Straubing (1978), Ennepetal (1979), ponownie w Travemünde i Sieksdorf (1981). W 1977 roku ukazał się przygotowany przez nią katalog artysty : „Der Maler Günter Machemehl”.

Prace G. Machemehla znajdują się w zbiorach prywatnych w Niemczech i za granicą m.in. w USA, Norwegii, Izraelu a także w muzeach w Kilonii, Regensburgu. Duży zbiór prac posiada córka artysty Ingrid Jenett- Machemehl mieszkająca w Sieksdorf i. H. W 2001 roku w galerii Sławieńskiego Domu Kultury eksponowana będzie wystawa prac artysty udostępnionych przez rodzinę Ingrid i Erwina Jenett.



"Sosna na wydmach", akwarela, 56 x 76 cm, 1941

Bibliografia:

Der Maler Günter Machemehl. Text: Dr Gudrun Quer. Barkelsby 1977.

Gudrun Quer: Günter Machemehl: Ein Maler aus Hinterpommern (w:) Der Kreis Schlawe. 1 Band. Husum 1986. s.442-448.

12 lat na Zamku w Darłowie

Dnia 15 maja 1946 roku przyjechałem z Warszawy do Gdyni. Mam dostać pracę w C.A.L., lecz muszę czekać 10 dni na dyrektora, który wyjechał na konferencję do Londynu. Miałem w kieszeni niecałe 3.000,- złotych. Po dwóch dniach suma ta zmniejszyła się o 1.500,- zł.

Szukając znajomych w Sopocie zauważyłem napis "PUR", wchodzę do kancelarii i proszę o zatrudnienie w tej instytucji w charakterze biuralisty. Zaproponowano mi wyjazd do "PUR" w Sławnie. Propozycję przyjąłem i pierwszym pociągiem odchodzącym w kierunku zachodnim wyruszyłem do Sławna. Kierownik "PUR" w Sławnie dowiedziawszy się, że przybywam z Warszawy via Gdynia zafrasował się, popatrzył nieufnie na moją, straszliwie wąsatą twarz i mówi:

- Panie, przecież pan jako były urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych zna chyba język angielski, a tu w gimnazjum potrzebują właśnie nauczyciela języka angielskiego. Po co masz pan użerać się z tym chamstwem, zapewniam pana, że mamy tu w PUR okropną pracę.

Wiedziałem, że pan kierownik PUR-u "zarabiał" dobrze i oczywiście chciał się pozbyć w jakiś sposób wąsatego jegomościa z Warszawy. Poszedłem mu na rękę udając się do dyrektora gimnazjum pana Krzywkowskiego, który po krótkiej rozmowie kazał mi złożyć podanie i zapewnił mnie, że po dwóch tygodniach mogę stawić się do pracy. Przenocowałem w hotelu Czerwonego Krzyża, nazajutrz skonstatowałem się, że mój kapitał zmniejszył się o 500,- złotych. Poszedłem do starostwa w sprawie mieszkania i tam w Oddziale Kultury spotkałem panią A. Łączyńską - naczelnika Oddziału i kustosa Muzeum w Darłowie. W toku rozmowy opowiedziałem jej o swoich trudnościach finansowych i braku mieszkania. Przeglądając mi się, pani Łączyńska powiedziała:

- Pan wygląda jak prawdziwy sienkiewiczowski latarnik, uważam, iż pana miejsce jest na zamku w Darłowie, lecz niestety na razie nie mam dla pana odpowiedniej pracy.

Pani Łączyńska zamilkła, a po chwili cicho i jakby nieśmiało zapytała:

- Czy nie mógłby pan prowizorycznie objąć posady odźwiernego w Muzeum? Dostałby pan mieszkanie i 900 złotych miesięcznie pensji.

Niedługo się zastanawiałem nad tą propozycją; „chodzi przecież tylko o jakiś tydzień” - myślę sobie - „a potem wyjadę do Gdyni, tam mam zapewnioną pracę (odpowiednią posadę)”. Więc odpowiadam:

- Przyjmuję propozycję pani, muszę jednak uprzedzić panią, że do ciężkiej, fizycznej pracy się nie nadaję, pracowałem ciężko za granicą, ale byłem wtedy znacznie młodszy.

- Nie będzie pan ciężko pracował, chodzi właściwie tylko o odkurzanie eksponatów i oprowadzanie zwiedzających. [...]

O godzinie 4. po południu pojechałem ze swoją chlebobawczynią do Darłowa. Przedstawiając mnie swym córkom pani Łączyńska dumnie powiedziała:

- Patrzcie, co za latarnika znalazłam! Będziemy z nim razem wyjeżdżać w teren i ratować zabytki.

Zjadłem kolację i przenocowałem u pani Łączyńskiej. Nazajutrz pokazała ona moje przyszłe mieszkanie; dwa pokoiki w ponurym, pozbawionym słońca, wilgotnym domku nad kanałem, szabrownicy już zdążyli zniszczyć instalację elektryczną, zlew i część podłogi. Po krótkim namyśle powiedziałem, że tu mieszkać nie będę, że w mieście jest setki wolnych, umeblowanych słonecznych mieszkań z ogródkami. Pani Łączyńska twierdziła, że tu długo mieszkać nie będę, że po wyjeździe woźnej Niemki dostanę ładne dwupokojowe mieszkanie w zamku.

- Proszę pani, możeby ta woźna zgodziła się odstąpić mi jeden pokój, rozmawiałem z Niemcami i wiem, że przyjmują oni chętnie Polaków na mieszkanie, zdają sobie bowiem sprawę, że mając przy sobie Polaka łatwiej jest bronić się przed złodziejami.

Pani Łączyńska rozmówiła się w sprawie mieszkania z Niemką - Anną Moczall woźna Moczall chętnie się zgodziła odstąpić jeden pokój, a więc zamieszkałem w zamku. [...]

Oprowadził mnie po raz pierwszy Karl Rosenow - były Museumleiter czyli kierownik Muzeum. Chodziłem po salach zamkowych i myślałem o dalekiej przeszłości, kiedy w tych murach i w mieście rozbrzmiewała mowa polska, jestem więc - myślę sobie - na obszarach "gdzie ziemia gromadzi prochy", na ziemi przesiąkniętej krwią naszych nieszczęśliwych przodków. "Komora sądowa" - mówi Rosenow - w tym miejscu sądzono kiedyś tzw. czarownice, pod bramą istniało 5 lochów, istniały również schody podziemne obecnie lochy i schody są zasypane, a dostęp do nich zamurowano".

Wchodzimy po wąskie!, krętych, słabo oświetlonych schodach na basztę zamkową, zwiedzamy była aptekę zamkową, były skarbcze i zbrojownię. Z poddasza baszty roztacza się piękny widok na miasto, okolice i morze: baszta jest najstarszą częścią zamku - liczy około 600 lat. "Dziedziniec - tłumaczy Rosenow - miał kształt czworoboku, tam gdzie mamy obecnie ogródek stała najokazalsza część zamku - tak zwany pałac, zburzono go w roku 1834". Zwiedzamy była "komorę tortur", która po kapitalnym remoncie zamku w latach 1929-1932 wcale nie przypomina mrocznej komory z zakratowanym okienkiem, jest to obecnie duży oświetlony pokój.

Wspaniałą "Salę Audiencjonalną" Niemcy nazywali "Brotesaal". Pytam się Rosenowa o to zagadkowe słowo "Bröte", Rosenow nie mógł mi dokładnie wytłumaczyć znaczenia tego słowa: przypuszczam, że Brote - znaczy "błazen", możliwe, że w tej sali błazni bawili pomorskich Boguszów, Warszków, Draniszków, Kasków etc, a może "Brote" jest zniekształconym "Braut", znaczyłoby więc tyle co "Salę Weselną".

Nad Salą Audiencjonalną znajduje się Sala Zielona: Pan Rosenow twierdzi, iż w tej sali bawili się książęta i ich goście po zakończeniu polowania, prawdopodobnie w myśliwskich strojach, tu za ostatnich książąt odbywały się trwające całymi tygodniami orgie.

Rozpocząłem pracę w Muzeum w dniu 24 maja 1946 roku, było wówczas w Muzeum sporo "reliktyw" hitlerowskich i kajzerowskich, na przykład: nade drzwiami w biurze wisiał portret admirała Raeder, na ścianie wieniec z napisem: "An unserem Hermann /Goering/ dankbare Bevölkerung von Hagen", fotokopie uniformów armii niemieckiej, portret Fryderyka Wielkiego i inne "drobiazgi"! Jedynie przedwojenne polskie godło państwowe świadczyło o pewnych zmianach. Po kilku dniach w porozumieniu z Panią Łączyńską te "relikty" usunąłem. Kierowniczką Muzeum była młodsza córka pani Łączyńskiej - dwudziestoletnia panna Jadzia. Współpraca z młodą i wesołą panną Jadzią układała się jak najlepiej. Przedwojenny woźny Muzeum Adolf Moczall otrzymał w czasie wojny wiadomość, że jego jedynak zaginał, od tej pory zastępuje go jego żona Anna. Jest ona bardzo pracowitą i uczciwą pracownicą, ma kłopot nieładna z Chorym nieodstępującym ją ani na krok mężem, biedaczka musi mu pomagać nawet przy załatwianiu się. Chwilowa nieobecność żony wprawia Adolfa w stan skrajnego zdenerwowania i strachu. Najlepiej czuje się on wieczorami kiedy jesteśmy wszyscy w domu» zadowolony mruczy stare wojskowe piosenki, albo z dobrotliwym uśmiechem na ustach spaceruje po moim pokoju, wskazuje kolejno na wszystkie obiekty i powtarza: "der Tisch ist aber mein", "die Stühle sind auch mein" itd.[...]

Stary Karl Rosenow - były kustosz muzeum - przy pierwszym spotkaniu się ze mną wyraził przypuszczenie, iż jestem ofiarą "barbarzyńców ze wschodu"; odpowiedziałem mu na to, że jest w błędzie: nie jestem ofiarą Rosjan, przeciwnie uważam ich za sprzymierzeńców Polskie tą wypowiedzią nie zyskałem sobie sympatii starego konserwatysty niemieckiego.

Po wyzwoleniu miasta Herr Rosenow, Moczall i owie i setki innych Niemców wysiedlono na trzy miesiące na wieś, po powrocie do miasta Rosenow miał sporo nieprzyjemności: jakiś pan inżynier pragnął posiadać bogaty zbiór filatelistyczny Rosenowa, a ponieważ ten ostatni już tego zbioru nie posiadał P. spowodował zamknięcie starego kustosa na trzy tygodnie... [...] ... był więc zgorzkniały, zrozpaczony, zrezygnowany, słusznie uważał nas z jego punktu widzenia, że rujnujemy jego pracę, której poświęcił on swe życie. W rzeczywistości zaś cała nasza "rujnacja" ograniczała się zmianą napisów, usunięciem z sal portretów cesarzy niemieckich i wyeliminowaniem z biblioteki dzieł "literatów niemieckich" Hitlera, Rosenberga, Goebelsa e tutti quanti. Usunęliśmy obiekty, które z muzealnictwem nic wspólnego nie miały.

Herr Rosenow uważał każdego inteligentnego, mówiącego po niemiecku Polaka za ofiarę "barbarzyńców ze wschodu", napróżno tłumaczyłem mu, że właśnie barbarzyńcy z zachodu, nie ze wschodu spustoszyli Europę, zamordowali miliony Rosjan, Polaków i Żydów.

Pani Łączyńska miała zamiar wydać monografię powiatu Sławno, zbierała materiały, wręczyła mi tę pracę Rosenowa, a moją pierwszą pracą w Muzeum było tłumaczenie broszur Rosenowa o powiecie sławieńskim.

Uważałem przekład tej broszury za mijający się z celem, albowiem praca Rosenowa była tendencyjna, odzwierciedlała ona nacjonalistyczne poglądy; sądzę, iż pani Łączyńska była tego samego zdania, bo wreszcie z wydania monografii zrezygnowała.

Artykuły w "Dzienniku Bałtyckim", "Odrze" i innych tygodnikach o zabytkach powiatu sławieńskiego były bardzo ciekawe i budujące, cechowała je erudycja w tej dziedzinie i piękna polszczyzna. Po przetłumaczeniu broszury Rosenowa przystąpiłem do pracy repolonizacyjnej. Pracę tę rozpoczęła panna Jadzia w zimie, niektóre działy już miały napisy polskie, najgorzej przedstawiała się sprawa ze spolszczeniem Działu Prehistorii, w którym część etykiet niemieckich zaginęła. Przy tej pracy popełniliśmy sporo błędów, tłumaczeń naszych nie można uważać za ścisłe i fachowe przecież ani ja, ani panna Jadzia nie jesteśmy archeologami, brak słownika niemiecko-polskiego utrudniał naszą pracę. Muszę powiedzieć prawdę, że czasem robiliśmy również błędy ortograficzne; panna Jadzia chyba przez nieuwagę, a ja przez swoją "przemądrzałość", a więc pewnego razu panienka się pyta jak będzie po polsku "Wetterfahne"?

- Nie wiem, zapomniałem, moja panienko! Ja tu mam kłopot z "Meissel" to chyba będzie dłuoto. Wie pani jak to się pisze?

- Nie wiem, zapomniałam - odpowiedziała panna Jadzia.

- Prasłowiańskie "dłoto", roś. "deloto", czeskie i południowosłowiańskie chyba "dlato", a po polsku znaczy się "dłuto" - mruczę sobie pod nosem - i napisałem po staropolsku przez o kreskowane.

- Wie pan - odzywa się panna Jadzia - napisałam "chorągiewka wietrzna" nie jestem pewna czy dobrze przełożyłam.

- Dobrze, dobrze, walmy dalej, czas nagli, za miesiąc musimy muzeum "in polnisches verwandeln".

Po kilku dniach zwiedzająca muzeum podstarzała nauczycielka wpadła jak bomba do biura ze słowami; "w napisach w prehistorii są błędy ortograficzne: "wietrzna" napisane przez "ż", "wiatr", "wiatrak" moi państwo!, a dłuoto pisze się przez "u", od dłuobać moi państwo ! [...]

Po jej odejściu zrobiło nam się bardzo wesoło, śmiejemy się do rozpuku. "Panie Tarnowski - woła Jadzia - "dłuto" od "dłuobać" "u", u, u, mój panie"!

-Pani Jadziu! "wiatr", "wiatrak", a nie "wiatzak"!

Zarabiałem tylko 900 złotych miesięcznie, ale praca w muzeum bardzo mi się podobała i z posady w Gdyni zrezygnowałem. Z początku chodziłem na obiady do magistrackiej stołówki; pracownicy magistratu płacili za skromny obiad 10 zł, ja zaś będąc pracownikiem muzeum a nie magistratu musiałem płacić 30 zł, co miesięcznie wyniosłoby 900 złotych, t.j. całą moją pensję; zrezygnowałem ze stołówki i zacząłem stołować się w domu; na śniadanie wypijałem kubek gorzkiej cykorii i konsumowałem pajdę razowca z solą. Przypomniły mi się słowa młodego Okołołukałowa z Dubrowniku: "jedz kochany panie chlebuś, a dla dodania mu smaku niech go pan posypie solą"! Na obiad i kolację jadłem dorsza, który w roku 1946 był bardzo tani. Pewnej niedzieli Anna Moczall zrobiła "święteczny obiad" - klopsy z mięsem, zjedliśmy je z apetytem, lecz niestety odchorowałem ten obiad: mój żołądek odzwyczaił się od mięsa.

Przez dziedziniec zamkowy przejeżdżały ciężarowe auta, wozy z sianem, gnojem itp., na części podwórza tam, gdzie stał zburzony w roku 1834 pałac pały się krowy i świny. Anna Moczall, a po jej wyjeździe moja żona musiały ciągle sprzątać zanieczyszczony dziedziniec. Letnimi wieczorami w południowej, przytulnej części podwórza zbierali się nasza młodzież i żołnierze radzieccy i polscy z niemieckimi i polskimi dziewczuchami i uprawiali harce do samego rana, gdy hałas był nie do wytrzymania próbowałem umitygować zakochane pary, lecz bezskutecznie.

Jedna rozwydrzona polska dziewczucha na moją reprimendę krzyknęła: "idź dziadku pod pierzynkę do swej starej i nie zavracaj nam głowy, zapomniałeś jak sam się kiedyś bawiłeś i kochałeś, zazdrościsz

nam boś stary, minęły młode latka, styrałeś się do reszty. Nie potrzebujesz tu odstawić dziedzic: dziedzic jest tak twój jak i nasz"!

Kiedyś znów zobaczyłem żołnierza radzieckiego łamiącego gałęzie bzu dla swych przygodnych wybranek; poprosiłem go grzecznie aby nie niszczył drzewa, a on wspiął się jeszcze wyżej łamia gałęzie buciorami, usiadł, spojrzał na mnie i mówi:

- Tak czysto mówisz po rosyjsku, a może jesteś burżujem, starym emigrantem; Stalin nas nauczył ja mamy rozprawiać się z burżujami!

- Szkoda, że ciebie Stalin nie nauczył grzeczności! A teraz słuchaj co ci powiem, jeżeli nie zleżesz natychmiast z drzewa to dam znać dowództwu twojej jednostki! Żołnierz zszedł z drzewa i zaszył się z swymi dziewczkami w najciemniejszym zakątku dziedzińca. Później udało mi się ogrodzić tę część dziedzińca w miejscu gdzie pasło się bydło, gdzie po nocach panoszyła się niepohamowana miłość kwitło zgorzsenie i rozpusta zrobiłem kwietniki i zieleńce.

Z mojego okienka z dumą spoglądałam na kwitnące kwiatki, a w nocy nikt nie zakłóca naszego spokoju. A jak wyglądało w roku 1946 nasze miasto? Darłowo, kiedyś znane uzdrowisko nad Bałtykiem zostało opuszczone przez Niemców bez walki, w roku 1946 zauważyłem tylko jeden spalony budynek, miast czyste, pełne zieleni, śliczne kamieniczki na rynku, bogate sklepy na głównej ulicy, piękne dobrze utrzymane parki.

W miesiąc po wyzwoleniu kupcy z poznańskiego i Pomorza, nowo upieczeni peperowcy i pesesowcy nabyli za minimalną opłatą sklepy niemieckie pełne towarów, miasto zaroilo się od tłumów, wśród którego nie brakowało spekulantów i szabrowników. Znaczniejsi obywatele zajęli piękne wille ogródkami na ulicy Morskiej i w Darłowie nad morzem. Miasto liczące w pierwszych latach po wyzwoleniu około 4000 mieszkańców posiadało około 10 knajp. Przybyli z różnych stron Polski chłopci, objęli w posiadanie bogate gospodarstwa niemieckie; chłopów, robotników, inteligentów niemieckich zaczęto wywozić za Odrę, hasłem naszych władz było: "niech się dorabiają Polacy, precz z Niemcami!" Wydalono w ten sposób z naszego miasta dobrego doktora, położną, dentystę, około 100 wysoko kwalifikowanych rzemieślników. Część naszych "gospodarzy" z Torunia, Bydgoszczy, Poznania, Łodzi itp. oczywiście nie miała zielonego pojęcia o rolnictwie, pracowali za nich Niemcy "gospodarze" zaś pili, bawili się, a potem zlikwidowali gospodarstwa i wynieśli się z powrotem do swych miast. Istniała jeszcze inna kategoria chłopów, lecz nie tych "z Marszałkowskiej" tylko "prawdziwych", pochodzących przeważnie z województw zachodnich, ci objęli gospodarstwa po niemieckie celem wzbogacenia się, swej ojcowizny gdzie w poznańskim lub na Pomorzu, uważa swój pobyt za tymczasowy, większość z nich po paru latach zlikwidowała gospodarstwa na zachodzie przeniosła się na swoją ojcowiznę, gdzie ich tymczasowo zastępował jakiś członek rodziny. [...]

Milicja Obywatelska i Urząd Bezpieczeństwa składały się w pierwszych latach po wyzwoleniu 1945-1946 z elementu przypadkowego, byli wśród nich ludzie oddani, ofiarni Polsce Ludowej, lecz wkradali się czasem do ich szeregów osobniki nieuczciwi, różni awanturnicy jak również prowokatorzy Volksdeutsche.

Pierwszym burmistrzem miasta, jak i pierwszym dyrektorem gimnazjum i liceum, i sekretarzem P.P.S. był pan Dulewicz. Zamieszkał on w pięknej, świetnie umeblowanej willi w dzielnicy willowej.

Działalność pierwszego burmistrza należy ocenić pozytywnie, pierwszy burmistrz zaprowadził porządek w mieście i w znacznym stopniu przyczynił się do rozwoju Darłowa.

Pierwszym stopniowo powstał przemysł; dzielny kapitan Juszcakiewicz zaczął budować kutr istniała już przetwórnia ryb, nieco później powstała: Fabryka Pieców, Fabryka Mebli "Weneda Fabryka Sieci i różne większe i mniejsze warsztaty pracy.

W przepełnionych knajpach darłowskich wynikały często kłótnie i bijatyki między pijakami polskimi i sowieckimi. Tutejsi Niemcy cieszyli się z tych stosunków między sojusznikami, nawet skrajny pesymista Kari Rosenow w swoim dzienniku wyraża nadzieję, iż dzięki tym polsko-rosyjskim niesnaskom Niemcy mogą z czasem odzyskać niepodległość i utracone tereny. [...]

W sierpniu 1946 roku przeglądając "dokumenty pomorskie" /Pommersche Urkunden przeczytałem ze wzruszeniem dokument z dnia 15 lipca 1304 roku. W dokumencie tym pan Wacek

Sulechowa /powiat sławieński/ potwierdza dotację swego ojca Lutomira 60 łanów gruntów dla klasztoru w Bukowie.[...]

Niestrudzona pani Łączyńska czasem wyjeżdża w teren i wraca z cennymi zabytkami, niestety środki nasze są bardzo ograniczone; władze powiatowe i miejskie nie okazują zainteresowania muzeum i nie udzielają nam tak potrzebnej pomocy finansowej, zaś subwencja Ministerstwa wynosiła w roku 1946 tylko 10.000 zł miesięcznie, połowa tej kwoty przeznaczona była na pobory pracowników muzeum.

Niestety część zabytków ruchomych znajdujących się w siedzibach magnatów niemieckich wpadła w łapy szabrowników i spekulantów grasujących z ciężarówkami po całym Pomorzu.

Z dniem 15 września 1946 roku zacząłem wykładać język angielski w 11-letniej ogólnokształcącej szkole, w czasie mojej nieobecności w muzeum zastępowała mnie żona i Kari Rosenow.

Dnia 1 października pani Łączyńska z córką odjechała na posadę do Gdańska, zostałem w muzeum sam z Niemcami.

W listopadzie 1946 roku przybyła do muzeum pani Quirini - delegat Ministerstwa Oświaty i poprosiła o posegregowanie i powiązanie w paczki liczącego 10000 tomów księgozbioru niemieckiego zgromadzonego przez kierownictwo muzeum w roku 1946. Pracowałem nad tym z Anną Moczall prawie dwa miesiące. W styczniu 1947 roku pani Quirini zabrała posegregowany zbiór /34 pozycji/ na dwa ciężarowe samochody. Zostawiłem w muzeum 280 tomów medycyny i kwartalniki "Nautilus", które przekazałem Uniwersytetowi Poznańskiemu.

Pani Quirini podziękowała za ofiarną pracę i opiekę nad księgozbiorem. Podobno na całym Pomorzu tylko Muzeum w Darłowie przekazało tak bogaty księgozbiór. P. Quirini mówiła z goryczą, że w jednym z pałaców, którego właścicielem był znany sinolog niemiecki znajdował się blisko 1000 tomów liczący zbiór chińszczyzny, więc pojechała tam i znalazła w otaczającym pałac parku zbutwiały i zgniły księgozbiór znakomitego sinologa...

Za swoją pracę otrzymałem od pani Quirini 3 tys. złotych, Anna Moczall 1.500 zł.

Zima w 1946-1947 była nadzwyczaj surowa i długotrwała. Karl Rosenow marzył okropnie w swoim letnim pałeczku, mieliśmy trudności z opałem, czasem brakowało chleba. [...]

Kilka razy odwiedzał muzeum Ob. Komendant Bezpieczeństwa, nigdy z nikim się nie witał, milcząc otwierał ponemieckie kufry. Jakby czegoś szukał, oglądał pospiesznie sale i nie przemówiwszy ani słowa wynosił się.

Przypuszczam, że wykonywał instrukcje władz wyższych. Wizyty te ustały po zwiedzeniu muzeum przez Szefa Bezpieczeństwa w Sławnie kulturalnego i grzecznego peperowca Ob. Z.

W zimie 1946-1947 ludność polska Darłowa urządzała ciągle zabawy; jeden pan dyrektor prosił mnie o zezwolenie na urządzenie zabawy tanecznej w sali Audiencjonalnej zamku. "Zrobiłby pan nam przyjemność, sam by pan zarobił na tej imprezie" - powiedział rozbawiony pan dyrektor. Przewracało się ludziom od dobrego życia w głowie... Odpowiedziałem lakonicznie: "nie zezwalam!".

W grudniu 1946 roku przed samym Bożym Narodzeniem w czasie pauzy podeszli do mnie dwaj uczniowie Liceum J. i Z. i grzecznie zapytali; - Panie profesorze, niech nam pan powie szczerze czy nastąpi u nas nareszcie jakaś zmiana?

- Nie będzie żadnej zmiany, ucicie się chłopcy!

- No to dobrze, bo widzi pan profesor byliśmy akowcami, a wczoraj wstąpiliśmy do KZPRK PPR. uważamy, że pomoże nam to w nauce i ułatwi handel śledziami, wysyłamy całe beczki tego towaru do Białegostoku, mamy morową, młodą kasjerkę na dworcu, załatwia nam wszystko bezpłatnie. A może pan profesor życzy sobie zrobić wycieczkę, dajmy na to do Warszawy, to moglibyśmy mu służyć bezpłatnym bilecikami.

- Dziękuję chłopcy - nie skorzystam! [...]

Dnia 2 stycznia 1947 roku rozmawiałem z jednym z czołowych pepesowców w naszym mieście - tow. profesorem Y.

- Panie Tarnowski - mówił kolega - niech pan wstąpi do PPS, będzie pan wtedy w porządku, bezpieczeństwo nie będzie się pana czepiać, radzę jeszcze dziś wypełnić deklarację.

- Dobrze panie, ale muszę się nad tym dobrze zastanowić, co prawda bezpieczeństwa się nie boję, nie mam powodu się bać. Więc chcę wstąpić do partii nie z powodu obawy, lecz z pobudek ideologicznych, przecież do roku 1914 należałem do PPS, znałem wielu bardzo porządných towarzyszy rewolucjonistów, zresztą i po 1914 roku sympatyzowałem z lewicą PPS, w okresie międzywojennym należałem we Francji do rewolucyjnych związków zawodowych - GGTU.

- My także jesteśmy rewolucjonistami. Wszyscy porządni ludzie w Darłowie należą do PPS, na przykład pan dyrektor Gimnazjum, pan inżynier Korycki, urzędnicy, kupcy a nawet robotnicy. My nie pozwolimy na kiereńszczyznę w Polsce, idziemy drogą wytkniętą przez marszałka Piłsudskiego; reszta partii liczy 50 lat walki o niepodległość, sprawiedliwość społeczną i socjalizm.

- A jak długo kolega jest w PPS?

- A już przeszło rok czasu, kochany kolego.

- A czy macie w partii towarzyszy z dłuższym stażem?

- Prawie wszyscy wstąpili do partii dopiero po wojnie, ale mamy dwóch czy trzech weteranów, na przykład restaurator Jędrychowski należał do PPS jeszcze za czasów caratu.

- Tak, partia stara, a członkowie młodzi, czy nie tak panie kolego?

Nazajutrz po tej rozmowie udałem się do Komitetu PPR, tam rozmawiałem z sekretarzem tow. M.

- Towarzyszu sekretarzu - zagadnąłem Maliszewskiego - proszę mi powiedzieć czy istnieje różnica w programie KPP i PPR, czy jesteście na przykład za uspołecznieniem gospodarki rolnej?

- Różnicy w programie KPP i PPR nie ma. Jesteśmy rewolucjonistami, uczniami tow. Wiesława i Józefa Stalina. Ja jeszcze przed wojną należałem do PPS, nie do prawicy, lecz do frakcji rewolucyjnej, panie obywatelu. Jestem robotnikiem z dziada pradziada; w 20 roku wszyscy pepesowcy z Warszawy, w tej liczbie i ja, wyruszyliśmy na wroga z pieśnią "O cześć wam panowie, magnaci...". Nasza partia PPR jest partią robotniczą, mamy w Komitecie tylko dwóch kupców, a reszta to chłopci i robotnicy, natomiast w PPS siedzą burżuje. A co do rolnictwa, to zapewniam was towarzyszu, u nas kołchozów nigdy nie będzie, dla komunistów i warchołów nie ma miejsca w naszej partii - zakończył stary M.

W kilka dni później spotkałem się z członkiem komitetu PPR - W.

- Powiedźcie towarzyszu W. dlaczego wybraliście na sekretarza tow. M., on chyba nie zna statutu PPR i słabo orientuje się w polityce.

- M. jest porządnym i uczciwym robotnikiem i dużo nad sobą pracuje; zresztą co chcecie, Darłowo nie jest Warszawą czy Łodzią, musimy pracować, uświadamiać ludzi, należy brać przykład od naszych komunistów i rosyjskich bolszewików, wprowadzać ich idee w życie, musimy walczyć o socjalizm tak, jak walczyli nasi radzieccy towarzysze.

Dnia 7 stycznia 1947 roku wstąpiłem do PPR.

W latach 1945-1946 niektórych członków partii cechowała pycha, ambicja i karierowiczostwo. Ci panowie zachowywali się arogancko, a jeśli ktoś ośmielił się zwrócić im uwagę na niewłaściwe zachowanie się, partyjniak wtedy z dumą pokazywał obecnym legitymację partyjną i butnie oświadczał; "Jestem peperowcem, ch... mnie zrobicie, mam was wszystkich w d...".

Niestety towarzysze z komitetu powiatowego patrzyli na te dzikie wybryki zdeprawowanych pseudopartyjniaków przez palce. Niektórzy członkowie partii popełniali małwersacje i oszustwa.

W końcu stycznia przyszła do muzeum młoda robotnica partyjna i skarży się na zachowanie swego dyrektora - członka komitetu i egzekutywy:

- Jak to jest towarzyszu kustoszu z tą naszą partią? Nasz dyrektor z awansu społecznego udaje wielkiego pana, na przykład pan towarzysz dyrektor nie raczy sam sięgnąć po suszkę, którą ma na swoim biurku, a zawsze zwraca się do mnie w tym wypadku, a ja przecież siedzę przy innym stole - ze słowami: "podajcie no mi suszkę towarzyszko!". Jak ja mam postępować w tym wypadku?

- Bardzo prosto! Kiedy dygnitarz poprosi o podanie suszki powiedźcie mu: "a weźcie se, panie towarzyszu dyrektorze!". Zobaczycie, że ta odpowiedź wyleczy go z manii wielkości.

W lutym 1947 roku partia liczyła około 200 członków, z tej liczby było około 20 prawdziwych peperowców. Byłem przyjemnie zaskoczony gdy na ogólnym zebraniu /obecność na tym zebraniu obowiązywała "pod rygorem partyjnym"/ zobaczyłem przepelnioną salę gimnastyczną Szkoły Podstawowej. Referat wygłosił aktywny i uczciwy Janek J. Po referacie zabierało głos wielu

towarzyszy, mówili rozsądnie z zapałem rewolucjonisty, byli to ludzie bezgranicznie oddani Polsce Ludowej i partii. Niestety karierowiczowska, chciwa mniejszość też "występowała", sypały się niesamowite pytania:

- A kiedy ja nareszcie dostanę konia z UNRRA?

- Towarzysze obiecaliście mi krówkę, ale widzę, że obiecanka cacanka. Przekonałem się, że nie można wam wierzyć, taka widać jest ta wasza partia!

- Towarzysze - mówi ochryplym głosem zapijaczony dryblas - chodzę i chodzę cały tydzień do Komitetu w sprawie obiecanego posady kierownika zakładu X, a tymczasem dowiaduję się, że posadę tę objął bezpartyjny i to akowiec; mówią, że on ma wykształcenie techniczne, coś robić, nie każdy mógł się kształcić, ja jestem proletariuszem z krwi i kości i uważam wasze postępowanie za oburzające.

Jeszcze kilku towarzyszy przemawiało w tymże duchu. Dali im należytą odprawę Urbaniak, Wachowiak, Jałoszyński i Konicz, poprosiłem i ja o głos i króciutko zaapelowałem do sumienia towarzyszy wysuwających co najmniej dziwne pretensje do Komitetu. [...]

W latach 1945, 1946 i w zimie 1946-1947 muzeum zwiedzali przeważnie mieszkańcy Ziemi Darłowskiej i Ziemi Sławneńskiej, turystów mieliśmy bardzo mało. Trzeba było pilnie baczyć na "parki"; zdarzało się bowiem, że kawaler wynosił z muzeum jakiś obiekt i obdarzał nim wspaniałomyślnie swoją oblubienicę, ofiarą tych parok padł piękny rozpylacz biedermeierowski, kilka ptaszków, egzotyczna figurka z drzewa i parę innych obiektów. Nie sposób było upilnować wszystkich zwiedzających z powodu szczupłego personelu /3 osoby razem z Rosenowem/. Inne parki uważały muzeum za miejsce dosyć odosobnione, nadające się par excellence do "załatwiania" spraw miłosnych; rzeczywiście tyle ciemnych średniowiecznych schodów, różnych zakamarków i zakątków !

W lutym 1947 roku muzeum zwiedziła grupa chłopców, dziwili się bardzo, że trzymam "stare rupiecie" zdatne tylko na opał.

- Ach, proszę pana - mówi pocziwa starowinka - mieliśmy cały strych zawałony starymi meblami i różnymi figurami i grubachne niepolskie księgi, nie można było z nich nic wyczytać, takie były grube, że trzeba było je porąbać zanim się wepchnęło do pieca.

Do Moczall'ów przychodziły wieczorami trzy panie; Oaske, Hoepke, Graunke: schon dobra ! Herr Tarnowski - witały się ze mną. Te panie narzekały na ciężkie czasy, najwięcej pokrzywdzoną czuła się pani Graunke - żona sędziego.

- Proszę pana - mówiła - mojego chorego męża wyrzucili za Odrę, podobno biedak zmarł gdzieś we wschodnich Niemczech. Gdzież ta sprawiedliwość, o której wciąż gadacie? Pan opowiada o barbarzyństwach hitlerowskich w Polsce, wierzę panu, ja zawsze byłem przeciwnikiem Hitlera i hitlerowców, ale przecież wtedy była wojna, a teraz mamy pokój, a wy mścicie się na niewinnych ludziach. Moja jedyna córka Thea została w 1945 roku wywieziona do Rosji, pracuje biedactwo w fabryce pod Moskwą. A co za zbrodnię popełniła nasza córka? Wciągnięto ją oszustwem do B.D.M, a potem do partii, jako artystka występowała w czasie wojny w Kijowie, Charkowie i innych miastach rosyjskich, nic nie ukrywała, te podróże zaznaczone były w jej paszporcie i to odnotowanie w paszporcie zgubiło naszą Thea. Panu wiadomo, że BDM jest to samo, co Komsomoł w Rosji.

- Frau Graunke, mąż pani i córka byli hitlerowcami, z pewnością wstąpili do partii z własnej woli, nie znam pani męża, ale wszyscy Niemcy wiedzą, iż córka pani zrobiła karierę za Hitlera, "Sojusz Dziewcząt Niemieckich" z Komsomołem nie ma nic wspólnego, w Komsomole nie ma przywilejów, komsomołki nie uważają naród niemiecki za "herrenvolk", podczas wojny komsomołki nie paradowały w białych bluzkach jak BDM, lecz walczyły na froncie, hekatombę tych bohaterek poniosło męczeńską śmierć z rąk oprawców hitlerowskich. Współczuję pani, ale niech pani powstrzyma się od tych bezsensownych porównań.

- Powiedz nam pan szczerze - kontynuuje Frau Graunke - czy my wrócimy na Pomorze? Sami Polacy zapewniają nas, że Pomorze jest niemieckie, mówią oni, że Pomorze nie jest potrzebne Polsce, natomiast wszyscy Polacy tęsknią za Wilnem i Lwowem. Wczoraj były u nas dwie polskie handlarki, kupiły różne rzeczy, bo podobno jak one nam tłumaczyły, ewakuowanym zabierają na granicy wszystkie rzeczy. Mąż jednej z Polek jest na wysokim stanowisku i właśnie on twierdzi, że najpóźniej za rok Niemcy wrócą wraz z Amerykanami na Pomorze. Panie Tarnowski, pan nie jest człowiekiem

glupim, powiedz pan szczerze, czy pozostały jakieś ślady po tych dawnych Pomorzanach u nas w Darłowie?

- Mnie mało interesuje co mówią handlarki i spekulantki, chodzi im z pewnością o kupno waszych ciuchów jak najtaniej, dlatego też wam się przypochlebiają i gadają wszelkie bzdury. [...]

Dnia 1 Maja zebraliśmy się na Rynku i wyruszyliśmy do Darłówka. Na czele pochodu maszerowała młodzież szkolna, za nią PPR, PPS, Ludowcy, zakłady pracy, urzędy. Pochód liczył około 200 osób. Peperowcy "pod rygiorem partyjnym" kroczyli z czerwonym sztandarem, każdy członek miał na rękawie czerwoną opaskę; drogi memu sercu czerwony sztandar pepesowców z napisem "Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" budził wspomnienie z mych lat młodzieńczych; zielony sztandar ludowców zdobił wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Na ulicy Morskiej /obecnie Obrońców Stalingradu/ peperowcy zaintonowali "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...", pepesowcy - "Rozszumiały się wierzby płaczące...", a ludowcy "Z dymem pożarów".

Za miastem w szeregach pepesowców nagle zagrzmiała stara rewolucyjna pieśń: "Na barykady ludu roboczy", śpiewali ją dwaj starzy pepesowcy, trzech peperowców podchwyciło ten śpiew, pomimo dżdżystej pogody zrobiło się jakoś raźniej..., "młoty w dłoń, kujmy broń" - rozbrzmiewała wspaniała pieśń bojowa. Po odśpiewaniu tej pieśni robimy pauzę, wtę usłyszeliśmy w szeregach ludowców drugą pieśń rewolucyjną, śpiewał ją samotnie stary, wąsaty chłop krocący pod zielonym sztandarem z Matką Boską. Dalej więc, dalej więc... śpiewał wesał. Podchwytyjemy tę melodię, śpiewając przypominamy sobie przedwojenne pochody pierwszomajowe, entuzjazm robotników warszawskich, ich bohaterskie walki, cierpienia... Jest nas tu za mało znających piękne pieśni rewolucyjne. Zmęczeni przestajemy śpiewać, maszerujemy milcząc pod deszczem, dopiero w Darłównu cały pochód zaczął śpiewać smutną piosenkę polskich żołnierzy na wschodzie: "Szumi dokoła las".

W Darłównu tuż nad wzburzonym morzem ustawiono ołtarz polowy. Nabożeństwo odprawił wesoły, dowcipny, powszechnie lubiany - ks. T. Staliśmy z odkrytymi głowami i z czerwonymi sztandarami przy ołtarzu, zrobiło się zimno, zaczął padać śnieg, a Bałtyk szalał ; bryzgi rozbijających się o molo bałwanów dosięgały ołtarza i stojących przy nim rozmodlonych manifestantów. Zdawało się, iż "mare monstrum" zgorzszone było widokiem ołtarza otoczonego czerwonymi sztandarami [...]

Znawcy sztuki w Darłowie twierdzili, że pan dyrektor Urzędu Likwidacyjnego posiada stare intarsjowane meble z muzeum w Düsseldorfie. Dowiedział się o tym mój zwierzchnik pan Z. - kierownik Oddziału Kultury w Sławnie. Poszliśmy z panem Z. do pana dyrektora U.L. Ten pan wyszedł na nasze spotkanie, ujął pana Z. pod rękę i zaprosił do mieszkania, do mnie zaś powiedział: "pan Z. za chwilę wróci, proszę na niego poczekać w sklepie p. Niedźwiedzińskiego. Po pół godzinie pan Z. wraca i oświadcza, że meble do muzeum się nie nadają. /Pan Z. na sztuce się nie *znał*/. Po pewnym czasie muzeum w Darłowie odwiedził pan Ł. z Warszawy. Podobały mu się bardzo barokowe meble na sali Recepcyjnej, szczególnie zaś łoże hrabiowskie z XVIII wieku z napisem: "Talvolta morfeo amore vinca" /często sen zwycięża miłość/. Po obejrzeniu sali pan Ł. kategorycznie oświadczył, że meble z tej sali zabierze do Warszawy! Prosiłem go by nie zabierał tych mebli, wszak są one związane z naszym terenem. Kierownictwo muzeum gromadzi te eksponaty, wydiera je z łap szabrowników i spekulantów, a wy te z takim trudem zdobyte obiekty chcecie zabrać do Warszawy. Pan Ł. był jednak nieugięty. Świadek tej rozmowy - nauczyciel Szkoły Ogólnokształcącej w Sławnie powiedział panu Ł.: "Niech się pan zainteresuje przede wszystkim prywatnym muzeum pana dyrektora Urzędu Likwidacyjnego miast grozić zabranie z takim trudem zdobytych eksponatów z naszego muzeum, byłoby to przecież zwykłym szabrownictwem, czy Stołeczna Rada Narodowa nie wstydzi się postępować w ten sposób?".

Nie wiem czy pan Ł.* odwiedził siedzibę dyrektora. Latem 1947 roku w "Życiu Warszawy" i kilku innych dziennikach /nawet w jednym z dzienników wychodzących w Paryżu/ ukazał się artykuł zatytułowany "Postrach Muzeum Darłowskiego"; w artykule tym zarzucano panu Ł. arbitralną decyzję co do zbiorów Muzeum w Darłowie i wyrażono współczucie kustoszowi Muzeum, który miał rzekomo powiedzieć: "w skrajnym wypadku zwróć się w tej przykłej sprawie do Pana Prezydenta!". Po pojawieniu się wyżej wspomnianego artykułu dostałem naganę od Ministerstwa Kultury i Sztuki,

żądano ode mnie sprostowania artykułu i zabroniono mi kategorycznie udzielania wywiadów dziennikarzom.

Jeden z nauczycieli Gimnazjum posiadał piękne zabytkowe meble, lecz podobno przekazał je sekretarzowi KW PPS w Szczecinie. Murarz Z., naprawiając dach w muzeum powiedział mi, że sam łądował te meble o godzinie 5 rano.

W drugiej połowie czerwca odbyły się w Gimnazjum Darłowskim egzaminy maturalne. [...]

Podczas egzaminu zdarzył się komiczny casus: nauczyciel historii ksiądz T. pyta ucznia N. o rewolucji francuskiej, N. odpowiedział świetnie, potem zapytuje go kiedy wybuchła Rewolucja Październikowa.

- W marcu - odpowiada N.

- Chcesz powiedzieć, że w marcu obalono carat?

- Właśnie; a cara zastąpił wpierw Kiereński, a potem Lenin.

- No więc kiedy Lenin objął władzę: w październiku? A czy Lenin żyje?

- Tak!

- Może chcesz powiedzieć "żyje w naszych sercach"?

- Żyje w sercach Arabów, Murzynów i Chińczyków.

- A w twoim sercu nie żyje?

- W moim już dawno umarł!

- No jak to, mój drogi, przecież jesteś członkiem partii?!

- A księdzu to się nie podoba? Powiedziałem, że Lenin nie żyje w sercu moim, bo myśmy już zrobili rewolucję, a inni zacofane narody mają go w sercu, bo dążą do rewolucji. Widzę, że ksiądz chce mnie potępić.

- Nikogo nie potępiam, moim obowiązkiem jest pomagać, a nie potępiać. Tu jestem tylko nauczycielem historii i powiem ci, iż siódma klasa Szkoły Powszechnej wie i to dokładnie kiedy Lenin zmarł.

N. nie złożył egzaminu, ale mimo braku świadectwa maturalnego udało mu się dostać do Szkoły Nauk Politycznych. Brak świadectwa N. tłumaczył złośliwością księdza, który go ściał, bo nie podobała się przynależność N. do PPR.

Anna Moczall z pomyłonym mężem odjechała na zachód w lipcu 1947 roku, byłem wtedy w Warszawie. Moja żona opowiadała, że Adolf przed wyjazdem wskazywał na poszczególne pozostawione przedmioty i powtarzał: "Schränk ist aber mein, Tisch ist mein, Bett ist mein, Stulle sind mein!". A gdy zmęczona i zdenerwowana Anna włożyła mu na plecy wyładowaną torbę Adolf przestraszył się i nie chciał opuszczać mieszkania: "wohin?, warum? das ist mein Wohnung". Nareszcie zrezygnowany podążył za obładowaną żoną. Muszę stwierdzić, że Anna Moczall była uczynną, pracowitą i uczciwą kobietą.

Karl Rosenow odjechał na zachód do syna w sierpniu tegoż roku i to zupełnie nieoczekiwanie, niespodzianie; dopiero nazajutrz dowiedziałem się o jego wyjeździe.

Po wyjeździe Niemców zostałem w muzeum sam z żoną, która przedtem dwa lata pracowała bezpłatnie. Mieliśmy do sprzątania 14 sal, 4 klatki schodowe i podwórze zamkowe. W poniedziałki robiliśmy generalne sprzątnięcie.

Pewnego poniedziałku przed wejście do muzeum zajechał samochód; spokojny pan w średnim wieku podchodzi do mojej żony sprzątającej podwórze i grzecznie prosi o udostępnienie mu zwiedzania muzeum:

- Proszę pani, przyjechałem z Warszawy i chciałbym odwiedzić tutejsze muzeum! Żona na to:

- Proszę pana, muzeum w poniedziałki nieczynne, proszę przeczytać tabliczkę nad drzwiami.

- Ale może jednak wyjątkowo...

- Nie robimy wyjątków, mamy za dużo pracy. Nie zrobilibyśmy wyjątku nawet dla ministra.

- Chciałbym jednak porozmawiać z kustoszem!

- Proszę bardzo, kustosz myje schody! Ej, Olku, wyjdź no na ganek! - krzyczy do mnie żona, zgarniając krowie łajno na podwórzu.

Wychodzę brudny w roboczym ubraniu na ganek i dosyć ostro strofuję pana z Warszawy:

- Proszę pana, muzeum dziś nieczynne, musimy sprzątać cały dzień, zrozumie pan chyba, że muzeum nie jest stajnią, należy go utrzymać w należytej czystości, a teraz właśnie mamy okres masowego zwiedzania naszego muzeum.

- Przyjechaliśmy z Warszawy - mówi spokojnie i łagodnie Warszawianin.

- No i co z tego? Posiada pan auto, może pan jeździć sobie po całej Polsce, a my na stare lata nie mamy ani jednego wolnego dnia. Niech pan zabiera się stąd i nie przeszkadza nam w pracy.

- Ale ja jestem ministrem! - skromnie oświadcza pan z Warszawy.

- Ach, przepraszam bardzo, pozwoli pan, że się przebiorę, za chwilę jestem do dyspozycji pana Ministra!

Gościem z Warszawy był Leon Kruczkowski z małżonką. Pan Minister pobieżnie obejrzał muzeum i zwraca się do mnie:

- Dlaczego pan myje schody i sam sprząta, jest pan za stary do takiej pracy!?

- Istotnie jest tu dla mnie trochę ciężko - Panie Ministrze - przyzwyczajony jestem do pracy fizycznej, bardzo ją lubię, lecz jak powiedział Pan Minister jestem za stary. Otrzymujemy 10.000 zł miesięcznie od ministerstwa, z kwoty tej pobieramy pensję, robimy bieżący remont, a czasem wyjeżdżamy w teren celem poszukiwania zabytków, więc innego wyjścia nie ma, musimy nadal harować.

- Nie powinien pan tak ciężko pracować, niech pan zaangażuje woźnego, zwiększymy subwencję ministerstwa o 10.000 zł. [...]

Jednego sierpniowego poranka sprzątałismy z żoną muzeum. Pogoda była - jak na pomorskie warunki - cudowna; wczasowicze masowo maszerowali do Darłówek nad morze, a morze było spokojne, woda ciepła, wszyscy używali kąpieli. Przed wejściem do muzeum przystanął samochód: eleganccy pan i pani chcą zwiedzić muzeum.

- Przyjechaliśmy z Krakowa - zwraca się do mnie pan - chcielibyśmy obejrzeć tutejsze muzeum.

- W poniedziałki muzeum nieczynne. Cały dzień sprzątamy - brzmi moja odpowiedź.

- Prosimy zameldować nas panu dyrektorowi, jesteśmy pewni, że on umożliwi nam zwiedzenie muzeum; nie zabierzemy wam dużo czasu, a pan też dostanie coś ekstra.

- Dyrektorów w małych muzeach nie ma, są tylko kierownicy, właśnie ja jestem kierownikiem tego muzeum.

Wytworna pani obejrzała mnie od stóp do głów, ubrany byłem "na roboczo" jak kiedyś we Francji; sprawiłem widocznie na niej niekorzystne wrażenie, bo roześmiała się ironicznie i powiedziała do męża po francusku: "Oui, en effet, il en a l'air de chef de cuisine" /a jakże, akurat wygląda na kierownika ten cham/.

Masz ci los! - myślę sobie - Człowieka, którego "Dziennik Bałtycki" nazwał "przystojnym staruszką, typem sienkiewiczowskim" nazwano chamem. Dotknęła mnie wypowiedź eleganckiej i przystojnej pani, a więc zrewanżowałem się w sposób godny "goujat".

- Pozory mylą, proszę pani! Na przykład pani ma wygląd kucharki, chociaż z pewnością nią pani nie jest!

- Co za bezczelność - krzyczy zagniewany jegomość - złożymy na niego skargę w Ministerstwie Kultury i Sztuki, niech się dowie z kim ma do czynienia.

- Radziłbym państwu wnieść zażalenie również do kancelarii pana Prezydenta. A teraz wynoście się państwo - szczęśliwej podróży. [...]

Ponuro wyglądają małe domki na bocznych ulicach, po ewakuacji Niemców wewnątrz tych opuszczonych budowli gromadzą się wszelkiego rodzaju nieczystości. Te przybytki śmieci, odpadków kuchennych i ludzkich ekskrementów są plagą naszego miasta. Znikły prawie wszystkie ławki w parkach miejskich, miejscowi łobuzy zanieczyścili je i zrzucili w dół, albo tak jak w parku między miastem a morzem - wrzucono je wprost do stawu. Rada miejska zastępuje je nowymi, ale jakże na krótko! Koszyki na śmiecie, parkany, kwietniki, zieleńce, huśtawki dla dzieci itp. wszystko niszczy barbarzyńska ręka młodocianych chuliganów. Idąc szosą sławieńską zauważyłem przed opuszczonym przez Niemców blokiem zbiorowisko ludzi, przeważnie dzieci w wieku od 6 do 15 lat; stały one w szeregu w wybijały szyby gmachu, rodzice podziwiali wyczyny swych pociech. Jedna kobiecina z Radziejowa była dumna ze swego 6-letniego Franusia:

- Patrza no, mój Franiuś będzie dobrym strzelcem, o jak zρέcznie majstruje ! - Zwracając się do synka zachęca go - Franczku, a do tej szyby środkowego okna na pierwszym piętrze nie trafisz?

Krzyczę do nich: - Ludzie co wy robiecie? Wstyďte się! Jesteśmy przecież krajem zrujnowanym, biednym, a wy świadomie niszczyście dobro państwowe, w tym bloku ulokować można kilka rodzin polskich.

- A bo to nasze - krzyczą baby - to je niemieckie; oni u nas wszystko zrujnowali, a nam u nich nie wolno?

- Głupie jesteście! Ziemię zachodnie - odwiecznie polskie - pozostaną polskie, nigdy tu Niemiec nie wróci!

Jedna z bab odchodząc krzyknęła: "nasze są Wilno i Lwów, a nie zachód".

Po chwili niszczycielska banda opuściła improwizowaną strzelnicę. Zawróciłem ku miastu; przy wejściu do jednego domku zauważyłem bladego o cienkich, jakby chorych nóżkach - smutnego chłopczyka, siedział sobie spokojnie nucąc jakąś piosenkę. Podobał mi się ten nie bawiący się w tłuczenie szyb chłopczyk, podchodząc do niego mówię łagodnie; "jesteś miłym dzieckiem, ale jesteś taki blade, może cię nóżki bołą synku?" A 5-6-letni miły synek nagle zmienił wyraz twarzy, podniósł się i łapiąc spory kamień warknął: "Odejdź dziadu k.t.m. bo ci łeb tym kamieniem rozwalę!". "O rany boskie, co za zdziczenie!" - myślę sobie. Na szczęście ci urwisy stanowią tylko nieznaczny mniejszość wśród naszych miłych, grzecznych i dobrych dzieci darłowskich.

Na początku września 1947 roku pan dyrektor szkoły wyjechał na wypoczynek do Połczyna Zdroju, podczas jego nieobecności przyjechała delegacja z kuratorium, skonstatowała ona, że w naszej szkole panuje ogólny chaos, bałagan; nie wiem dokładnie co się tym panom nie podobało. Delegacja postanowiła wyznaczyć na stanowisko dyrektora inną osobę. Po paru dniach urzędnicy z kuratorium odwiedzili kilku nauczycieli, w tej liczbie i mnie; pytali o moje zdanie co do osoby pana Łakomego, o jego zdolnościach pedagogicznych, wykształceniu. Odpowiedziałem wręcz, że jestem pedagogiem tymczasowym, uważam swoją pracę w szkole za poboczną, nie mam kwalifikacji nauczycielskich. Co prawda po demobilizacji z armii rosyjskiej byłem nauczycielem gimnazjalnym w Amewirze na Kaukazie, pracowałem tam dwa lata. Pana Ł. nie znam dobrze, podobno jest on absolwentem czterech uniwersytetów, wiem tylko, że jest on ultra postępowym.

W październiku 1947 roku Ł. został dyrektorem naszej szkoły. W drugim półroczu szkołę tę przekształcono na szkołę "Spółdzielczości Morskiej".

Prócz angielskiego wprowadzono wykłady z języka szwedzkiego i rosyjskiego. Miałem wrażenie, że nowy dyrektor 11-letnią Ogólnokształcącą Szkołę im. Żeromskiego przekształcił na szkołę "Języków obcych. Śpiewu i Tańca". [...]

Prócz języków obcych pan dyrektor miłował śpiew i taniec. Młodzież naszej szkoły śpiewała poprawnie Międzynarodówkę, co było wówczas rzadkością nie tylko w Darłowie, lecz na całym Pomorzu; refren tej wspaniałej pieśni śpiewano w czterech językach. Pan dyrektor - poeta i meloman - sam pisał i komponował nowe piosenki. A tańce... Nasi tancerze występowali z powodzeniem nie tylko w Darłowie, Sławnie, lecz i w samym Szczecinie! Bardzo ładnie tańczono Mazura, Poloneza, Rybackiego, Taniec Marynarski; w tym ostatnim tańcu pan dyrektor uwiecznił chwałę portu Darłowa słowami: "Po cieśninie Marmara płynie okręt z Darłowa!.. Ech, marynarze my z portu Darłowa..." [...]

Z dniem 1 października 1947 roku w muzeum zaczął pracować w charakterze woźnego Ob. J.D., miał on przed tym dobre poniemieckie gospodarstwo we Wrześnicy, miał kupę pieniędzy, zdobył sporo cennych rzeczy, lecz Józio pił za dużo, w tej Wrześnicy - jak twierdzą jego znajomi - potrafił przepić za jedną noc od 5 do 20 tysięcy złotych. [...]

D. ożenił się w roku 1946 mając lat 47, młodsza od niego o 10 lat żona miała małą maturę, Józio zaś ukończył tylko 5 klas szkoły powszechnej. Mimo tej różnicy w wykształceniu jego żona uważała go za inteligenta, znawcę sztuki; nie więc dziwnego, że według jej zdania, fizyczna praca w muzeum, a zwłaszcza zamiatanie podwórka uwłaczało honorowi jej męża. Stała nad nim jak kat nad duszą i złośliwie mruczała: "Ach, co za hańba, nie przeżyję tego, inteligent zamiata podwórze!". Często też zwracała się do mnie ze słowami: "Panie kierowniku, jak to jest, że mój mąż - człowiek inteligentny macha miotłą jak zwykły robotnik?".

A biedny zawstydzony Józio, odwrócony plecami do przechodniów, z nasuniętą na oczy czapką milcząc zamyślał. Żał mi się zrobiło chłopaka, podchodzę do niego i mówię:

- Panie Józefie - niech pan sprząta wewnątrz, zaś podwórze zamyatać będę ja z żoną, my się nie wstydzimy, nikt nam się nie przygląda, my już mamy wprawę do tej roboty.

Józio namówił swoją małżonkę na kupno kozy. Przyprowadzili więc kozę i zamknęli ją w szopie; nazajutrz otwieramy szopę i... o zgrozo! biedna koza leżała zdychająca, okazało się, że wyżyła cały gamek jakiegoś smarowidła. Józio przyprowadził drugą kozę, nie poszczęściło się również i z tą kozą, obżyła się żytem i wyciągnęła nogi! Kupiona następnego lata trzecia koza z rzędu wypijała własne mleko, żona uszyła woreczek i wciągała na wymię złodziejki. Cwana koza nie dała się nabrać; ściągnęła woreczek, zżarła go i gruntownie się wydoiła! "Samowystarczalną kozę sprzedano na zarznięcie".

Nie powiodło się nam także z drobiem; żona zaczęła hodować indyki, gęsi, kaczki. Ale cóż? Kradli je nam albo niszczył nienasycony tchórz, gnieźdzący się w niedostępnych podziemiach zamkowych.[...]

Obok zamku mieszkał pocziwy i pracowity Niemiec, przeprowadzał on często w zamku drobne remonty; był zdunem, murarzem, stolarzem, szklarzem, ogrodnikiem. Wykonywał fachowo, sumiennie i niedrogo powierzoną mu robotę. Na jesieni 1947 roku stary Vieck przyszedł do nas pożegnać się; wyjeżdżał z żoną, synową i wnuczkami na zachód.

- Opuszczam Darłowo, panie Tarnowski! - mówi raźnie staruszek.

- No cóż - jedź pan z Panem Bogiem, panie Vieck. Wiem, że przykro wam opuszczać na zawsze te strony.

- Nie na zawsze, nie na zawsze, panie Tarnowski! Jeden starszy pan - Polak. der einem hohen Posten bekleidetet /który zajmuje wysokie stanowisko/ zapewnia nas, że najpóźniej za sześć miesięcy wrócimy na Pomorze, wy zaś pojedziecie na swoje za Bug; ten pan mówi świetnie po niemiecku, bo był w czasie pierwszej wojny światowej austriackim oficerem. O, on wie, co się na świecie dzieje. Zresztą wielu innych Polaków mówi to samo, tylko pan nie wierzy w powrót Niemców na Pomorze.

- Pan wie panie Vieck, że nie jestem wrogiem narodu niemieckiego, tylko hitlerowców, mam dużo sympatii do robotników niemieckich jak pan, do chłopów i do postępowej inteligencji niemieckiej. Nie wierz pan tym wszystkim, którzy pocieszają was powrotem na Pomorze, wprowadzają oni was w błąd; jesteście człowiekiem niegłupim i wkrótce już sam się przekonasz, że nie ma co marzyć o powrocie.

- A jednak za sześć miesięcy wrócimy! - powiedział na odchodnym uparty Vieck.

Odszedł, lecz na dole namyślał się i jeszcze raz wrócił do mnie.

- A może ma pan rację - powiedział do mnie smutno. - Ach Bóg tylko wie co z nami będzie! No - zostańcie z Bogiem, już muszę iść. Ach byłbym zapomniał! zrób pan klucz do odmykania oberluftów na Sali Przyjęć i na Sali Zielonej; na razie masz pan wszystkie szyby całe, a gdyby później zaszła potrzeba wstawienia szyby albo okitowania okien, to bez klucza pan by ich nie otworzył.

- Dziękuję bardzo - panie Vieck. Weź pan tytoniu na drogę, ja mam sporo tych liści, wiem, że stara nie da panu na papierosy.

- Oj nie da, nie da! Dziękuję ci kochany przyjacielu, więc żegnajcie.

Zamyślony i zasmucony pocziwina Vieck odszedł na zawsze. [...]

W dniu 6 listopada 1947 roku kilku pracowników magistratu, TPPR i PPR byli zaproszeni do jednostki radzieckiej stacjonującej w Darłówku na uroczystość 30-lecia Rewolucji Październikowej.

Przyjęto nas bardzo gościnnie, podczas bankietu przemawiał dowódca jednostki radzieckiej, burmistrz - Sławiński i ja.

W ogóle nie mam talentu oratorskiego, ale na tym bankiecie moje przemówienie było niesłychanie; plajta; zaplątałem się w stosunkach polsko-radzieckich; Dzierżyński podstawiał mi złośliwie nogę; wołałem patetycznie: nasz wielki rewolucjonista Edmund Dzierżyński...Rosjanie poprawiają... Feliks Dzierżyński... po ich poprawkach zbaraniałem zupełnie; zacząłem bełkotać bez sensu. Widząc moją niezaradność Rosjanie zaczęli wołać... Stalin, Stalin, Stalin,... powtórzyłem za nimi jak papuga Stalin, Stalin, Stalin, i burzliwie oklaskiwany usiadłem zawstydzony i skonfundowany.

Po sutej uczcie zaczęto tańczyć; miłutka Rosjanka zaprosiła mnie do walca, lecz po paru turach zgubiłem moją partnerkę, chciałem ją odszukać i zaprosić do mazura; po chwili zauważyłem moją

przygodną partnerkę - tańczyła ogniście z burmistrzem S. Hopaką; dziesięcioletnia córeczka burmistrza płakała rzewnymi łzami, bo jej zwykle spokojny i stateczny tatuś wyprawiał niesamowite skoki i prysiady. Biedna dziewczynka była przerażona atakiem szału jej tatusia. Przysiadłem się do pani pułkownikowej i mówię do niej:

- Proszę pani, oficerowie radzieccy przypominają mi oficerów byłej armii rosyjskiej; te same złote naramienniki, a mój wujek, kapitan rangi I zginął pod Cuszimą.

- Co za dziwne porównanie? Pan chyba za dużo łyknął, bo i w przemowie pana, mimo świetnej ruszczyzny, było zagmatwane, chaotyczne, jakaś wieża Babel; a przecież pan nie jest taki głupim jak pan wygląda. [...]

W latach 1946-1947 sporo oficerów i żołnierzy radzieckich zwiedziło nasze muzeum, muszę powiedzieć, iż zachowywali się wszyscy bez zarzutu, kilku oficerów zadziwiło mnie erudycją.

Wiosną i latem spotykałem często niemieckie dzieci zbierające trawę dla królików. Zawsze w wolnych chwilach wprowadzałem je do muzeum, pokazywałem im wielką gablotę ornitologiczną, dla większego efektu oświetlałem ją rzęsiście. Zachwycone maleństwa przyglądały się tym cudom, a ja się ogromnie cieszyłem, że sprawilem taką przyjemność tym małym biedakom.

W pierwszych latach po wyzwoleniu w muzeum zdarzały się - i to dosyć często - wypadki kradzieży, na przykład jeden inteligentny pan znawca sztuki - skradł wartościową drewnianą figurkę z Polinezji, dzieci z naszej szkoły podstawowej skradły kilkadziesiąt kamieni ze zbioru geologicznego, naruszyły zbiór entomologii, młodziaki ze "Służby Polski" skradli kilka ptaków, marynarze dwa zabytkowe pistolety etc. Personel muzeum składał się z dwóch - trzech osób /w roku 1949 jednej osoby/. Sale wystawowe znajdują się w trzech skrzydłach zamku: w lipcu i sierpniu przeciętna frekwencja w muzeum wynosi razem 6000 osób. Rzecz jasna, że w takich warunkach przy najlepszej chęci wszystkich zwiedzających upilnować się nie da.[...]

W styczniu 1948 roku pan dyrektor Łakomy przebrał uczniów za rybaków i w asyście honorowej kompanii marynarki polskiej wyprawił nad morze. Tam po przemówieniu dyrektora i komandora Sitnickiego odbyły się zaślubiny naszej - nic z morzem wspólnego nie mającej szkoły - z morzem.

Uczennica W.N. rzuciła do morza pierścione. Dowiedziałem się o tej wyprawie i uroczystościach od uczniów. Mieszkańcy Darłowa po tych uroczystościach ironicznie mówili:

- Patrzcie państwo, co się dzieje z tą naszą szkołą. Pan dyrektor jest człowiekiem rzutkim, już się przerzuca ze śpiewu i tańców do rybołówstwa, ale bądźmy pewni, że to jeszcze nie koniec, wymyśli on jeszcze coś, jest czołowym działaczem partii, jemu wszystko wolno.

Oj myślał, myślał pan dyrektor. Ten bezustanny "myślunek" doprowadził go do stanu graniczącego z obłąkaniem. Ubrdał sobie nieborak, że jest otoczony reakcją; o reakcję posądzal grono nauczycielskie, woźnego, prawie wszystkich uczniów; za największego reakcjonistę uważał jednak byłego dyrektora p. D. [...]

W przeddzień Pierwszego Maja dekorowałem ganek basztowy sztandarami, zielenią i portretami przywódców rewolucyjnych: Lenina, Stalina, Dzierżyńskiego, Marchlewskiego, Bieruta, Gomułki. Znaczna część Darłowa brała "lanterne pour la vessie" /latarnia za pęcherz/, portret zasłużonego działacza rewolucyjnego za portret kierownika muzeum.

Wieczorem dnia 30 kwietnia 1948 roku grupa odświętnie ubranych darłowian z żonami i dziećmi korzystając z ciepłej, słonecznej pogody, spacerując oglądała dekoracje pierwszomajowe, grupa ta zawitała również na dziedziniec zamkowy. Udekorowany ganek wyglądał naprawdę ślicznie. Odpoczywałem po dokonaniu dekoracji w "Komorze Sądowej", tuż za gankiem. Dzieci wskazując na portret Juliana Marchlewskiego wesoło zawołały: "patrzcie tam na górze wisi portret Dziadka z muzeum".

- Rzeczywiście kierownik wywiesił swój własny portret -mówi jeden z dorosłych. - Niektórzy chwalą starego profesora, ale ten portret jest dowodem, że brak mu skromności. Przecież jest partyjnym, rzekomo skromnym, uczciwym, ideowym komunistą, a tu ten portret. [...]

Grupa opuściła dziedziniec. Zdjąłem portret Marchlewskiego i wywiesiłem Wilhelma Piecka. "Towarzyszu Marchlewski - mruczę, chowając portret za szafę - dumny jestem, że mnie biorą za

Ciebie, posiedź tu sobie do 1 Maja przyszłego roku a wtedy wyleziesz zza szafy i z wysokości ganku całe dwie doby ogłądać będziesz ruch na dziedzińcu, bo ja wkrótce zgolę swoją brodę i przestanę być podobnym do ciebie.

W latach 1946-47-48 Darłowo było jednym z miejsc na wybrzeżu skąd można było nawiać do Szwecji i Danii; najczęściej uciekano do Bornholmu. Głównym przemytnikiem był pan D., posiadający własny kuter - płacono mu w roku 1946 70 tys. od łebka, w latach następnych podwyższył cenę do 300 tysięcy, a nareszcie kiedy mu się zaczął grunt palić pod nogami sam uciekł do Norwegii, gdzie miał żonę Norweżkę.

Kapitan portu Juszcakiewicz w roku 1948 wyjechał rzekomo na pomoc statkowi szwedzkiemu. Nie wiem w jaki sposób dostał się za granicę polonista naszego gimnazjum - pan Haska, aktywny członek PSL. Jest on obecnie profesorem w Ameryce. Nawiał do Belgii młody urzędnik bezpieczeństwa, udzielono mu tam azylu jako ofiarze reżimu warszawskiego.

Przychodziła do nas prawie co dzień zawszawiona staruszka pochodząca z b. Prus Wschodnich, zjadała talerz gorącej strawy na schodach /do pokoju wejść nie chciała/ i skarżyła się na swój los:

- Dlaczego nie wysyłają mnie do Niemiec? O, mein Gott! za co ja tak cierpię? Jestem katoliczką, mam polskie nazwisko, mówię trochę po polsku, mimo to wciąż mnie prześladowają, nie mają litości nad starą nieszczęśliwą kobietą.

- A dlaczego nie chcecie zostać w Polsce, jesteście przecież Mazurką. Radzę wam przyjąć obywatelstwo polskie, a wtedy niewątpliwie los wasz poprawi się.

- Ach, gnaadigor Herr, co ja bym stara robiła w Polsce? Mój mąż zmarł podczas wędrówki z Prus na Pomorze, dzieci zaś są w Niemczech, błagam pana o wstawiennictwo w mojej sprawie u władz, żeby mi pozwolili wyjechać do dzieci, będę się modliła za pana całe życie.

W dwa tygodnie po tej rozmowie wszawa, znękana staruszka odjechała do dzieci.

W roku 1947 odwiedził muzeum wyższy urzędnik Ministerstwa Kultury i Sztuki, wyraził uznanie za porządek i czystość, nie podobały mu się tylko napisy propagandowe w rodzaju: "Demokracja Ludowa stworzyła kadry naukowców pochodzenia robotniczo-chłopskiego".

- Proszę pana - powiedział pan inspektor - muzeum jest przybytkiem sztuki, jest instytucją apolityczną, nie należy w nim uprawiać propagandy rewolucyjnej; niech pan usunie te napisy.

- Ale proszę pana - próbuję replikować - to jest *signum temporis* /znamię czasu/.

- Niech pan te napisy jak najprędzej sprzątnie - powtórzył pan z Ministerstwa.

W roku następnym ponownie zjawił się w muzeum ten pan z Warszawy, pochwalił kierownictwo za porządek i czystość, nie podobał mu się tylko brak napisów propagandowych:

- Proszę pana, muzeum nie jest przybytkiem sztuki, lecz również placówką kulturalno-oświatową, żyjemy przecież w państwie socjalistycznym, czyli raczej w państwie budującym socjalizm...

- Tak jest, proszę pana. Napisy usunięte w zeszłym roku będą umieszczone na starych miejscach.

Woźny Józef D. okazał się dobrym pomocnikiem w sprowadzaniu do muzeum zabytków; znał się on nie najgorzej na starych meblach, odróżniał barok od renesansu czy rococo. Przyczynił się w znacznym stopniu do odnalezienia 6 ksiąg Recesów Gdańskich, które przekazałem Archiwum Miejskiemu w Gdańsku.

Jeździliśmy z nim do byłych siedzib junkrów pomorskich i wzbogaciliśmy zbiory naszego muzeum; w Kragu - byłej siedzibie Podewilsów i Rippenhausenów załadowaliśmy ogromną ciężarówkę cennymi zabytkami, przy wyładowywaniu tych rzeczy spostrzegliśmy, że zapomnieliśmy zapakować precudną drewnianą barokową latarkę. Nazajutrz Józio wsiadł na rower i pojechał do oddalonego o 60 kilometrów Kragu po latarkę. Mija jeden dzień, drugi, trzeci - Józia nie ma. Dopiero po 5 dniach zjawia się potłuczony i posiniaczony Józio, bez latarki.

- Bój się Boga, Józiu, co się z Tobą działo?

- Ach, panie dyrektorze. Wypiłem w Kragu z zarządzającym majątkiem Żydem pół litra wódki, w drodze powrotnej przewróciłem się i to dzieło sztuki - naszą precudną latarkę - stłukłem w drebezgi, z rozpaczcy położyłem się w krzakach i spałem całą dobę, a potem spotkałem w Sławnie znajomego, zabawiliśmy się trochę i oto jestem znów do dyspozycji pana dyrektora. Ech panie dyrektorze, nie mogę przeboleć barbarzyńskiego zniszczenia tego wspaniałego dzieła sztuki.

Pewnego dnia latem 1948 roku Józio przyszedł pijany do muzeum, w takim stanie chciał oprowadzać zwiedzających, kazałem mu opuścić muzeum i nie przychodzić w stanie nietrzeźwym. Zawstydzony Józio odszedł; po kilku minutach przychodzą do mnie dzieci zwiedzające skrzydło wschodnie zamku i zapewniają mnie, że w Sali Przyjęć Książąt Pomorskich straszy:

- Panie dziadku, słyszałem wyraźnie chrapanie, obejrzałyśmy wszystkie zakątki - żywej duszy nie ma, a chrapanie nie ustawało.

Poszedłem z nimi do tej sali, panowała tam kompletna cisza - żadnego chrapania nie słychać.

- To wasze chrapanie jest złudzeniem, nie ma tu nikogo prócz was, a w strachy wierzyć nie warto. No, powiedzcie czy słyszycie chrapanie?

- Teraz nie słyszymy dziadku, ale przed chwilą słyszałyśmy wyraźnie!

- Zwiedzajcie dalej; stąd pójdziecie na górę do Prehistorii, ja mam po tamtej stronie 3 grupy, objaśnię ich i wrócę do was.

Po chwili dzieciaki znaleźli mnie w Etnografii i przestraszeni jeden przez drugiego mówią:

- Panie dziadku, na miły Bóg, tam straszy. Niech dziadek idzie z nami. Wkraczamy na salę, przysłuchujemy się. W sali cisza zupełna.

- Dość tych żartów, moje dzieci, mam około 150 zwiedzających, nie odrywajcie mnie więcej od pracy. Po chwili wystraszone dzieci ze słowami; "a jednak straszy Dziadziu" - opuściły muzeum. Nazajutrz pytam trzeźwego Józia, czy się dobrze wyspał.

- Pierwszorządnie - odpowiada Józio - wpakowałem się w sali przyjęć do rzeźbionej skrzyni z "Sądem Salomona" i smacznie spałem aż do godziny 6 rano.

- Acha, to ty straszyłeś dzieci swym chrapaniem, no dobrze, ale dlaczego ja twego chrapania nie słyszałem?

- Bo pan dyrektor wchodząc na salę mówił głośno, prawie krzyczał, więc budziłem się i przestawałem chrapać. [...]

W latach 1947-48-49 do portu naszego często zawiąły statki szwedzkie, norweskie i duńskie. Część marynarzy zwiedziła muzeum, lecz większość ich przesiadywała w knajpach albo romansowała z naszymi dziewczuchami.

Pewnego wiosennego wieczoru przyszła do mnie 16-letnia uczennica naszej szkoły H. z prośbą o udzielenie jej lekcji języka szwedzkiego, nadmieniła, że pragnęłaby się nauczyć tego języka w jak najkrótszym czasie. Zapłaciłabym panu profesorowi najwyższą stawkę dodała młodzica i przystojna H.

- Moje dziecko, nie rozchodzi się tu o wynagrodzenie, lecz o ten, jak powiedziałaś najkrótszy czas. Żeby jako tako rozmawiać po szwedzku trzeba go studiować co najmniej trzy miesiące, a tobie tak się spieszy. Powiedz konkretnie jaki czas mogłabyś poświęcić nauce szwedzkiego?

- Jeden miesiąc, panie profesorze - odparła H.

- Nie dziecinko, nie podejmuję się nauczyć Cię szwedzkiego za jeden miesiąc.

Za miesiąc H. odjechała ze starym, bogatym właścicielem statku do Malmo i tam wyszła za niego za mąż. [...]

Tegoż lata 1948 roku przyszli do muzeum młody przystojny z polską elegancją ubrany Szwed i młoda, miła i przystojna Kasia K. Szwed prosił mnie abym służył mu za tłumacza.

- Proszę powiedzieć tej fröken, że bardzo mi się podoba i gdyby ona się zgodziła, chętnie bym się z nią ożenił. Ubrałbym ją jak lalkę, kupiłbym jej od razu tuzin nylonowych pończoch i kupę innych cennych rzeczy.

Tłumacząc to dziewczynie, a ona odpowiada:

- Chciałam go prosić, by doręczył list do wujka w Malb, on tu prawi o małżeństwie. Ja już mam narzeczonego z Bydgoszczy, a do nylonowych pończoch nie tęsknię.

- List do wujka, proszę bardzo doręczę - mówi Szwed. - Powiedz jej pan, że posiadam domek z ogrodem, rower, motocykl, dwa aparaty fotograficzne, dobre radio, 5000 koron w banku /tu pokazał mi książeczkę oszczędnościową/, a jak wyjdzie za mnie za mąż, to za rok kupię telewizor i samochód; własnym samochodem pojechalibyśmy do Sztokholmu, pokazałbym jej Skansen, Nordiska, Musseet - nie takie ubogie muzeum jak tu pan ma - pałac królewski, a może zobaczylibyśmy i samego staruszka

króla. Niech pan sobie wyobrazi, nasz król, mimo sędziwego wieku grywa jeszcze w tenisa. Powiedz jej pan to wszystko.

Przetłumaczyłem wypowiedź Szweda pannie Kasi. Ani jego stosunkowy dobrobyt ani ewentualna wycieczka do Sztokholmu nie wywarły na niej wrażenia:

- A cóż to wielkiego domek z ogrodem? Mój narzeczony ma dobry fach, zarabia świetnie; Bóg da za parę lat kupimy sobie domek. My też mamy rowery, narzeczony ma aparat fotograficzny, radio, chce mi kupić futro i motocykl. A co najważniejsze, to ja kocham mego narzeczonego, a tego pana nie. A co do samochodu, to wcale nie zazdroszczę ludziom, którzy posiadają go, wypadki samochodowe są bardzo częste. My pojedziemy po ślubie do Warszawy pociągiem, bo jest bezpieczniej. Pałaców i muzeów nie brak i w Polsce. On mi chce pokazać króla, a cóż to takiego król. Jest takim samym człowiekiem jak my; nie jest przecież ani Panem Bogiem, ani jakąś małą, że gra w tenisa! A niech sobie gra. Ja byłam z rodzicami w Ugandzie i na własne oczy widziałam króla murzyńskiego; gruby jak beczka tańczył murzyńskiego tańca, cały pływał w tłuszczu, a wyrzucał te czarne, grube nożyska powyżej głowy, zręczna bestia. To ci było widowisko; niechże się schowa ich staruszek król ze swoim tenisem.

- Więc, pani Kasiu, czy mam powiedzieć Szwedowi, że z jego projektów względem pani nici?

- Tak jest, proszę pana. Gdyby on chciał mogłabym zaznajomić go z moją koleżanką, jest niebrzydka, pracowita i uczciwa.

- Mój przyjacielu - mówię do Szweda - ta dziewczyna ma narzeczonego, wkrótce odbędzie się ich ślub. Owszem jest z pana zgrabny, przystojny i miły chłopiec, tak mówi Kasia - lecz zjawił się pan za późno. Panna Kasia ma koleżankę - przystojną, uczciwą dziewczynę i chce pana z nią zapoznać. Zgoda?

- Men jag tycker om Kasia /Ale Kasia mnie się podoba/ - powiedział smutno Szwed, lecz jednak poszedł za nią do jej koleżanki. [...]

W końcu lipca 1948 roku wynająłem ciężarówkę od Erdmana i razem z nim i Dekutowskim pojechaliśmy do Ostrowca w powiecie sławieńskim po zabytkowe meble. Majątek Ostrowiec był wtedy administrowany przez Armię Radziecką. W zarządzie majątku powiedzieli mnie, iż zarządzający sowchozem pułkownik NKWD jest w polu, dogląda tam żniwiarzy i powróci dopiero wieczorem /była dopiero godzina 3 po południu/.

- No cóż, zaczekam do wieczora.

- Wie pan, możliwe, że pułkownik wróci dopiero jutro rano - mruczy urzędnik.

- Trudno, zaczekam do jutra.

- A wie pan, że u nas nocować nie wolno?

- Wiem, pójdę do sołtysa Polaka, on mnie ulokuje gdziekolwiek na noc.

- A wie pan, że u nas wszystkie obiekty są zakatalogowane i my ich wam przekazywać nie możemy?

- Ja mam odpowiednie pisemko od dowództwa w Warszawce. Odprawiłem Józia i Erdmana z ciężarówką do Darłowa, usiadłem w parku otaczającym pałac i czytałem do wieczora "Gone with the Wind". Po kolacji oficerowie zaczęli grać w karty, a ja siedziałem i przyglądałem się im z daleka.

- Dlaczego pan nie stara się o nocleg? - pyta jeden z oficerów.

- Zaczekam jeszcze, może towarzysz pułkownik wróci. Milczenie. Potem podnosi się z krzesła pułkownik i mówi:

- No cóż z panem zrobić? Żal mi pana, widzę, że zależy panu bardzo na tych zabytkach. Jestem właśnie pułkownikiem, na którego pan czeka. Pokaż pan papiery z dowództwa.

Po przeczytaniu polecenia z dowództwa pułkownik oświadczył:

- Zabytkowych mebli nie posiadamy, może pan to sam stwierdzić, ale damy panu kilka popiersi egzotycznych zwierząt i żyrandol. Obiekty te znajdują się w hallu pałacu w Podgórzu. Proszę przyjechać ciężarówką o godzinie 17.00 jutro, a teraz idź staruszkowi spać, bo jest już późno.

Przenocowałem u jednego rodaka z Wilna, nazajutrz skorzystałem z radzieckiej ciężarówki, udającej się do jednej wsi o 9 km od Sławna. Resztę drogi przebyłem pieszo i boso / w czasie wojny całe lato chodziłem boso/, spieszylem się, trzeba było dostać się jak najprędzej do Darłowa, wynająć samochód od Erdmana i pędzić do Ostrowca i Podgórza.

- W Sławnie spotkałem znajomego nauczyciela, patrzy na mnie i własnym oczom nie wierzy: - Panie, wszyscy mówią, że pan uciekł do Szwecji, zaalarmowano całe wybrzeże !

Idę do Komitetu Powiatowego PPR i mówię do sekretarki, tow. Pyrzak:

- Proszę towarzyszek, kto puścił bezsensowną plotkę o mojej ucieczce do Szwecji? Nocowałem w Ostrowcu, staram się ratować zabytki, a wy zamiast mi pomóc w tej żmudnej pracy przeszkadzacie. Szedłem 5 km pieszo, mam 63 lata, ledwo dolażłem do Sławna. Jeżeli partia nie ma do mnie zaufania, to gotów jestem w tej chwili oddać legitymację; dajcie mi święty spokój z waszą "czujnością", w tym wypadku była ona źle uplasowana.

- Towarzyszu, darłowska organizacja partyjna, a raczej tow., tow. W. i D., zameldowała bezpieczeństwu o waszym nagłym zniknięciu. Daję wam słowo honoru, że my w komitecie nie wierzyliśmy tej głupiej plotce, tak samo jak nie wierzyliśmy tow. U. o tajemniczym panu z Dzikowa, który ożenił się z chłopką z Wileńszczyzny. My dokładnie wiemy o tym, gdzie towarzysz przebywał przed wojną i co robił, i nic tow. zarzucić nie możemy.

- Dzikowo? Ten towarzysz jest "dzikowaty". W Dzikowie siedzieli panowie reprezentacyjni, piękni, rasowi, nie taki jak ja chudopacholek, niedołęga życiowy. No, towarzyszek, czas na mnie, muszę się spieszyć; pies ich j... tych intrygantów.

Po przywiezieniu eksponatów z Podgórza pojechałem do Tychowa - byłej rezydencji hrabiego von Kleista /przodkowie jego nazywali się Kleszt albo Kleszcz/. Przed wojną pułkownik von Kleist był kustoszem działu Prehistorii Muzeum w Darłowie.

Rządca sowchozu - młody, grzeczny Rosjanin spod Saratowa oprowadził mnie po całym pałacu, porządek był wzorowy, jak zresztą we wszystkich majątkach pod zarządem Armii Radzieckiej w naszym powiecie, niestety nic ciekawego nie znalazłem. Otrzymałem tylko podniszczoną głowę lwa.

- Teraz może zapalimy papierosa i wypijemy po kieliszku, towarzyszu zarządzający?

- Dziękuję, nie piję i nie palę. Jedź pan do mieszkania von Bonina, może tam coś znajdziecie, podobno miał on stare księgi, powiedzcie tam Niemcom, że pozwałam te księgi zabrać.

Znalazłem tam 10 starych, bardzo cennych ksiąg z rodziny "kruków".

Tego dnia miałem jeszcze zwizytować majątek Sulechowo, w tym majątku zarządzający nie chciał w ogóle ze mną rozmawiać, burknął tylko: "Nie pokażę wam nic, ja tu jestem gospodarzem, a nie dowództwo, a więc nie ma o czym "tołkować". Tak myślę sobie: "tołkować" po szwedzku "Tolka", po angielsku "talk", "tłumacz", "tołmacz", "Dolmetscher" i nie pożegnawszy się z "gościnnym" gospodarzem odjechałem do domu.

Powróciliśmy z Józiem do Darłowa o godz. 14.00. W biurze czekał na mnie tow. Jarominiak - przedwojenny członek PPR, uczciwy, odważny, bezinteresowny towarzysz.

- Towarzyszu - zwraca się do mnie Jarominiak - chodźmy do Komitetu PPR, zwołajmy zebranie, powiecie nam coś o wypadkach w Jugosławii,

Złożyliśmy pośpiesznie przywieziony księgozbiór von Bonina w pracowni /prócz starych ksiąg zawierał on około stu pozycji literatury w języku angielskim/. Przed udaniem się na zebranie wręczono mi pismo ze starostwa w Sławnie; mam natychmiast wyjechać do Otwocka na miesięczny kurs ideologiczny dla nauczycieli, członków PPR i PPS.

- Józiu - mówię do woźnego - wyjeżdżam o godzinie 17.00 do Warszawy, musisz mnie zastąpić, przywiezionych przed chwilą książek proszę nie ruszać, po powrocie z Otwocka posegreguje je i wciągnę do katalogu. Do pracowni proszę nikogo nie wpuszczać.

Na zebraniu powiedziałem:

- Towarzysze, uważam, że należałoby trochę zaczekać z omawianiem wypadków w C.K.J.P.K., wiadomości stamtąd są na razie skąpe, chaotyczne.

- Mówcie towarzyszu, o tym co wiecie - wołają zebrani.

- Wiemy, że Komitet Centralny J.P.K. przeciwstawił się wezwaniu partii komunistycznych Związku Radzieckiego i Krajów Demokracji Ludowych. Tow. tow. Nebrang i Zujowica aresztowano, Arsena Javonowica zamordowano. Tito i Rankowic wysyłają całe transporty robotników do obozów odosobnienia. Partia jugosłowiańska nie jest już partią robotniczą, lecz partią urzędników i oficerów z

domieszką kulaków i kupców. Tito, Rankowic, Dżilas, Sebler, Kardelj, Velebit i tutti quanti zdradzili klasę robotniczą, zadali cios w plecy walczącej rewolucji armii greckiej...

- Jak to się stało? Przecież Jugosławia najaktywniej popierała powstańców greckich, uważaliśmy Tita za bohatera, a tu nagle stało się coś niezrozumiałego. Czyżby Tito tak od razu się odmienił? Nie tak dawno gościliśmy Tita w Polsce, Georgii Dymitrow, którego nie można nazwać oportunistą uważał Tita za serdecznego przyjaciela i wielkiego komunista i doprawdy towarzysze nie wiem czy mamy prawo nazwać go zdrajcą - powiedział Czerepak.

- Nie przeczę, że Tito był bohaterem i komunista - mówi Jarominiak. - Dla nas partyjniaków rzecz jasna, bez Związku Radzieckiego socjalizmu zbudować nie można, tylko Potęga Kraju Rad może przeciwstawić się kapitalistom i dlatego kraj, który chce budować socjalizm nie opierając się o Związek Radziecki, nie uznając jego czołowej roli, socjalizmu nigdy nie zbuduje.

- Moim zdaniem Tito się odmienił, sodowa woda uderzyła mu do głowy, nie jest to nowością w historii ruchu robotniczego, odmienili się Plechanow, Kautski, Trocki, Doriot i wielu innych.

Po dyskusji darłowska organizacja partyjna potępiła Tita i Komitet Centralny Jugosłowiańskiej Partii Komunistycznej.

Po powrocie z kursu, przeglądając księgę zwiedzających znalazłem wypowiedź jednej nauczycielki; zarzucała kierownictwu karygodne niedbalstwo: "Wartościowe książki leżą w pracowni, nikt się nimi nie opiekuje" - skarżyła się nauczycielka.

- Panie Józefie - zwracam się do Józia - dlaczego nie powiedziałeś tej nauczycielce, iż kierownik musiał nagle wyjechać, że pan się na tym nie znasz. Znów jak widzisz wstydziłeś się powiedzieć nauczycielce prawdy, że sam nie znając obcych języków nie mogłeś je uporządkować. Jestem mądrzejszy od ciebie, ale nigdy się nie wstydzę, zawsze przy sposobności uczę się od zwiedzających muzeum archeologów, przyrodników, etnografów; nie przynosi mi to ujemy. Rosjanie mają dobre i mądre przysłowie: "człowiek uczy się całe życie i umiera dumnie".

- A słyszał pan, panie dyrektorze, że z dniem 1 stycznia 1949 roku Muzeum przejmuje Zarząd Miejski i w Muzeum ma pozostać tylko jedna osoba. Wielu towarzyszy z Zarządu Miejskiego proponuje mnie objąć stanowisko dyrektora Muzeum, ale jestem za skromny i za wyrozumiały, zdaję sobie sprawę, że w tym wypadku pan, będąc człowiekiem starym byłby skazany na poniewierkę i nędzę i właśnie dlatego odmówię przyjęcia stanowiska dyrektora, pójdę sobie do młyna na świetlicowego.

- Na razie jeszcze nic nie wiadomo, panie Józefie. Prócz Zarządu Miejskiego ma dużo do powiedzenia Ministerstwo, któremu podlegamy i skąd otrzymujemy subwencję. [...]

Wkrótce po wizycie pana wojewody B. odbyły się wybory nowego komitetu PPR. [...] Po wyborach członkowie nowo wybranego komitetu utartym zwyczajem udali się z tow. starostą na kolację. Jeden z towarzyszy pokazał staroście dokument stwierdzający, że ów towarzysz w czasie okupacji należał do walczącej z okupantem organizacji chłopskiej, spotykał się kilkakrotnie z tow. B. zaś z tow. Z. "spał pod jednym kocem".

- A ile macie gruntu? - pyta go się tow. starosta.

- Posiadam 8 ha, ale chcę się zrzec tego majątku i poświęcić się całkowicie pracy partyjnej.

- Po co się macie zrzekać? - mówi starosta. - Weźcie sobie większe gospodarstwo, wszak zasłużyliście na to. Ja też chcę wystarać się o jakiś domek w DarłóWKu, mam żonę i dzieci, trzeba im zabezpieczyć dach nad głową.

Stary PPR-owiec Jarominiak zwraca się ironicznie do mnie:

- A wy, towarzyszu, macie grunt i domek na własność? A potem zwracając się do wszystkich współbiedniaków:

- Towarzysze, czy po to przyjechalіśmy na zachód, żeby stać się właścicielami domków, ogródków, koni, krówek, świnek? Nieco skonfundowany starosta Bogdan wyjaśnia:

- Domek w DarłóWKu opuszczone jednorodzinne domki, dlatego partyjniakowi nie wolno nabyć taki domek na własność? Posiadanie domku nie kompromituje członka partii. Polska jeszcze nie jest państwem socjalistycznym; w Sławnie, Darłowie i gdzie indziej bogacze, szabrownicy i spekulanci przywłaszczyli albo kupili za psie pieniądze piękne wille, domki z ogródkami. Gzy nam peperowcom nie wolno mieć własnego kąta?

Marzenia tow. B. o własnym domku nie ziszczyły się; dotychczas nie stać go na domek z ogródkiem. Nie lepiej powodzi się towarzyszowi, który "spał pod jednym kocem z Zambrowskim", haruje uczciwie w aparacie partyjnym i chyba w ogóle nie marzy o własnym domku. Zaś pocziwy, bezinteresowny tow. Jarominiak zginął tragicznie przy pracy w roku 1952.

W październiku 1948 roku zmarł nasz pocziwy burmistrz Wachowiak. Delegacja partyjna wkroczyła do kościoła z czerwonym sztandarem. Na cmentarzu przemawiał ksiądz Bałakir, ze słów jego wynikało, że zmarły burmistrz był do śmierci wiernym synem kościoła katolickiego, wychował swe dzieci na dobrych, oddanych kościołowi katolików.

Po księdzu przemawiał starosta tow. B. Wbrew wypowiedzianym słowom księdza, tow. B. twierdził, że nieboszczyk był dobrym marksistą-leninowcem i wychował swe dzieci w tymże duchu. Towarzysz Wachowiak narobi chyba dużo ambarasu św. Piotrowi, był on dobrym katolikiem i dobrym marksistą. Może władcy tamtego świata załatwią jego sprawę kompromisowo; ani raj, ani piekło tylko terminowy pobyt w czyśćcu.

Niech ci będzie lekka, towarzyszu Wachowiak, ta nasza pomorska, przesiąknięta krwią naszych przodków ziemia.

W końcu 1948 roku K.W. w Szczecinie poleciło Komisji Kontroli Partyjnej w Darłowie skontrolować pod względem ideologicznym towarzyszy nie uczęszczających na zabrania, uchylających się od szkolenia i zalegających w uregulowaniu składek członkowskich.

Wezwanych towarzyszy zasypywano gradem pytań z historii ruchu robotniczego, o Rewolucji Październikowej, o wojnie domowej w Hiszpanii itp.

Członkowie komisji starali się popisać swoją erudycją w tych sprawach i pognać zacofańców. Na przykład tow. Z. pyta się tow. S. - drobnego kupca;

- Powiedźcie nam towarzyszu S. kto sprowokował wojnę domową w Hiszpanii?

Zapytany po namyśle odpowiada:

- Imperialiści amerykańscy.

- Dobrze. A teraz powiedźcie nam co to byli za panowie: Franko, Mola, Jordana, Queipo de Llanc?

- Słyszałem tylko o Delanc, tak Niemcy nazywali Rosevelta,

- A może powiecie nam coś o Budionnym?

- Budionny? A jakże wiem kto to był; to właśnie on w roku 1920 zebrał różną hołotę i zdradziecko uderzył na Polskę, cała Lubelszczyzna i Małopolska pamiętają o jego wojsku.

- Niech Obywatel złoży u nas legitymację partyjną - rozkazuje kontroler - i do widzenia.

Potem wezwano tow. M. - starszego chłopca z poznańskiego.

- Towarzyszu - zwraca się doń jeden z kontrolerów - otrzymaliście dobre gospodarstwo po Niemcach; uczęszczaliście na zebrania dopóki nie otrzymaliście konika z UNRRy.

- A broniliście mnie jakem dostał trzy razy po pysku od Ruska w "Warszawiance"? - odpowiedział kontr pytaniem tow. M. - Było wtedy pięciu partyjniaków, a tylko trzech Rusków. Nie pytajcie mnie o nic więcej, bo nie chcę należeć do partii, co nie broni swych członków.

Obywatel M. złożył legitymację partyjną i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Następnym delikwentem był rybak w średnim wieku.

- Wiemy, towarzyszu N., że uczęszczacie na zebrania, orientujecie się świetnie w polityce, regularnie wpłacacie składki, lecz jak się okazuje często pijecie i po pijanemu wszczęliście awanturę ze spokojnym towarzyszem L., kompromitujecie waszym zachowaniem się partię, podkopujecie jej autorytet - powiedział tow. U.

- A wy nie chlacie i nie kompromitujecie partii? - odparł energicznie tow. N. - Cały Komitet pił onegdaj u Basowej, nie brakowało tam dyrektora Ł. i profesora T. A kto wtedy śpiewał sprośne piosenki rosyjskie tow. P., czy ja? Przyczepiliście się do uczciwego, ciężko pracującego robotnika o byle gówno, powiedźcie mnie towarzysze, kto w Darłowie nie pije? Nawet ksiądz T. popija, i to nie tylko ze swymi wierzącymi owieczkami lecz także z bezbożnymi urzędnikami bezpieczeństwa. Rzeczywiście powiedziałem szyprowi L., że jest wyzyskiwaczem, szabrownikiem, farbowanym lisem, nie zaś peperowcem, i wy to nazywacie awanturnictwem. Waszym obowiązkiem jest poskromienie tych panów partyjnych, a wy pijecie razem z nimi sprzedajecie się za litra wódki, załatwiacie z nimi różne

nieczyste sprawy. A może chcieć, żebym wam złożył legitymację partyjną? Niedoczekanie wasze; ja wam legitymacji nie oddam, nie jestem gorszym od was i basta.

Aczkolwiek nie sprzedawałem się za litra wódki i nie załatwiałem brudnych spraw z szabrownikami i spekulantami, czułem się jednak zawstydzony i przygnębiony.

- Towarzysz N. ma rację. Nie jest on awanturnikiem, naganę powinien otrzymać L., a nie on. Nie mamy prawa odbierać legitymacji tow. N. - uczciwym partyjniakom legitymacji się nie odbiera. - powiedziałem smutnie.

Towarzysz N. z tryumfującym uśmiechem opuścił areopag.

Komisja Kontroli Partyjnej w Darłowie od tej pory faktycznie przestała istnieć...

Przeprowadzoną kontrolę, mimo akcentów humorystycznych, uważam za akcję pożyteczną, wydaloną z partii ludzi przypadkowych, chętnych zysku, ideowo obcych. Na tym zyskała solidna i bojowa organizacja darłowska. Rybak N. słusznie skrytykował kontrolujących, kontratak rybaka miał dobry skutek; komitet zaniechał uczęszczania do knajpy in gremio, jak się praktykowało dotychczas. [...]

Józef Dokutowski zaczął pracować jako magazynier w Młynie Zamkowym. Od dnia 1 stycznia do dnia 1 maja 1949 roku pozostałem sam jeden, w tym okresie pomagali mi czasem w sprzątanii i odkurzaniu eksponatów chłopcy i dziewczęta naszej szkoły. Wszystkie dziewczynki były uczciwe, niestety nie można powiedzieć tego o wszystkich chłopcach, kilku wśród nich byli miłośnikami "mienia narodowego".

Najwięcej awantur ze zwiedzającymi miałem latem w roku 1949. Tego lata prócz wczasowiczów i kolonii letnich w Darłowie przyjeżdżali goście z Mielnia i Sarbinowa i to zawsze w godzinach wieczornych, tj. po zamknięciu Muzeum. Wolałem i wolę mieć do czynienia z dziećmi i młodzieżą; dorośli czasem są opryskliwi, łatwo się obrażają. Oczywiście nie zawsze mam rację, z powodu zwiększonej frekwencji i braku wypoczynku jestem przemęczony, zdenerwowany i chyba przewrażliwiony.

Na przykład na początku lipca wchodzi do Muzeum grupa wczasowiczów z małymi dziećmi, prawie każde maleństwo zajadało bułkę z masłem lub szynką i usmarowanymi rączkami dotykali gabloty i inne obiekty.

- Proszę państwa - mówię do nich - woźna uprzedziła państwa, że w Muzeum jeść nie wolno, nie usłuchaliście jej, wepchnęliście się gwałtem i robicie bałagan; proszę spojrzeć do czego są podobne te gabloty, wszędzie są ślady tłuszczu i brudu. Proszę wyjść, niech dzieci zakończą śniadanie na dziedzińcu. Proszę zrozumieć, że nie jesteśmy w stanie wyczyścić 47 gablot dziennie, jest nas tylko dwóch.

- Człowieku, to przecież są dzieci - odpowiada jeden "kulturalny pan" - myślicie, że jestem pierwszy raz w muzeum? Byłem za granicą, zwiedzałem Louvre i szereg innych muzeów we Francji, Włoszech i Niemczech.

- No i jadł pan w tych Muzeach?

- A co to was może obchodzić? Jesteście tu po to, by zmywać i sprzątać po zwiedzających, za to wam płacą. Zresztą nie ma co gadać - nie wyjdziemy i już.

Zjawia się pewnego rana jedna pani, podaje mi banknot 1.000 zł i prosi o bilet wstępu.

- Proszę pani, jest dopiero godzina 10.00. Wczoraj pieniądze wpłaciłem do banku i nie mam w kasie ani grosza, więc nie mogę pani wydać reszty.

- Co też pan wygaduje? Co to za instytucja, która nie może wydać reszty z głupich 1.000 złotych? Niech pan wyśle woźną do sklepu, tam rozmienią.

- Woźna jeszcze nie skończyła sprzątanii. Niech pani chwileczkę zaczeka, akurat wchodzi wycieczka do Muzeum.

- Nie mam zamiaru czekać.

- Niech pani zwiedza, za bilet wpłaci pani później.

- Nie będę miała czasu, chcę wpłacić teraz. Niech pan mi konkretnie powie, wydaje pan resztę, czy nie?

- Nie! - odpowiadam kategorycznie.

- Grzecznością pan nie grzeszy.

Do biura wkracza majestatyczna, starsza, dorodna Wilnianka i ratuje sytuację, tj. rozmięła 1.000 złotych krewkiej Toruniance.

- Daj już pani spokój temu panu, męczy się on biednieńki - uspokaja wylewna i dobrotliwa wilnianka tysiąc złotych panią.

- Ach panie, jak mi pan przypomina kochanego marszałka Piłsudskiego - mówi do mnie Wilnianka. - A może pan z Wilna?

Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, pani z Wilna zaprosiła mnie na kawę.

- Dziękuję pani, spotkamy się wieczorem o godzinie 6.00 w DarłóWKu, ale co do podobieństwa z marszałkiem, to muszę panią rozczarować, podobny jestem do niego chyba z wąsów i maciejówki, a gdybym, dajmy na to, ~~z~~puścił brodę to wyglądałbym raczej jak chłop białoruski.

- Nu już dobrze, pogadamy o tym jeszcze wieczorem, a póki co pan pozwoli, że mu zostawię pomarańczkę.

Dnia 25 lipca miałem wprost urwanie głowy, w dniu tym zwiedziło muzeum około 400 osób, pomagali mi bezinteresownie byli mój uczeń Kazio; nie tylko sale wystawowe lecz i biuro jest zapchane inteligencją, pragnącą obejrzeć bibliotekę muzealną; nagle rozlega się dzwon, przybyła nowa wycieczka, proszę oglądających bibliotekę o chwilowe opuszczenie biura. Mam wartościowe książki i pieniądze - wpływ za bilety wstępu. Wszyscy opuścili biuro za wyjątkiem jednej pani, która wręcz oświadczyła, że biura nie opuści.

- W takim razie ja muszę panią tu przymknąć, pani chyba rozumie moje położenie; jestem odpowiedzialny za każdy obiekt Muzeum, na salach jest pełno ludzi i nie jest pożądanym, by w czasie mojej nieobecności wchodzili do biura,

Powiedziawszy to wyszedłem i zamknąłem kłóbrną panią w biurze, wpuściłem wycieczkę, objaśniłem ją, Kazio poszedł ją oprowadzać, a ja wróciłem do biura.

- Jak pan śmiał mnie zamykać? - mówi "przymknięta pani". - Pan nie wie, kto ja jestem, co za chamskie traktowanie zwiedzających.

- Nie wiem, kto pani jest i wiedzieć nie chcę - odciąłem się.

Dwie panie, które były świadkami zajścia wystąpiły w mej obronie.

- Po co pani tak męczy kierownika? I co to za dziwne powiedzenie "nie wiesz kto ja jestem". Panem Bogiem chyba pani nie jest.

Wyniosła pani trzasnąwszy drzwiami wyniosła się. Znów dzwonią... Tego dnia miałem stanowczo pecha. Przemęczony i zdenerwowany pędzę po krętych schodach na dół, wpuszczam trzech panów i proszę ich o wytarcie obuwia o dwie wycieraczki; -panowie "przeskoczyli" przez wycieraczki i zaczęli wycierać obuwie o dopiero w przeddzień umyte przez moją żonę schody z takim trudem.

- Ależ, proszę panów, są przecież wycieraczki, dlaczego zanieczyszczacie z takim trudem wyszorowane schody - powiedziałem dosyć ostro.

Jeden z panów obraca się i ryczy:

- Człowieku, to są profesorowie uniwersytetu. Trzy kroki wstecz.

Jeden z profesorów zdopingowany tym okrzykiem widocznie zaczął mnie strofować:

- Rzeczywiście, ten człowiek za dużo sobie pozwala. Kto was nauczył odzywać się do zwiedzających w ten sposób? Jesteśmy profesorami uniwersytetu, należy nam się szacunek.

- Nie uważam prośby o wytarcie nóg o wycieraczkę za brak szacunku - odparłem może nieco za gwałtownie.

Wtedy asystent panów profesorów znów ryknął na mnie: "trzy kroki wstecz", a krewki pan profesor podniósł rękę i chciał mnie czynnie znieważyć, lecz powstrzymał go jego kolega z siwą bródką.

- Ach, co za bezczelna bestia, ratuje go tylko sędziwy wiek. Ale ja mu tego nie daruję, jeszcze dziś napiszę na niego skargę do Sokorskiego - powiedział oburzony, bitny profesor.

Przypuszczam, że ci panowie byli chyba "podchmieleni", przyjechali bowiem arcywesołym statkiem "Panna Wodna".

Nigdy nie miałem podobnych zajęć i kłopotów z dziećmi i młodzieżą. Letnią porą prawie co dzień pełno ich na podwórzu zamkowym. Jedzą cukierki, bułki z masłem i szynką, często rozdeptują te

cukierki i rzucają niedojedzone bułki. /Sądze, że nigdzie na całym świecie dzieci nie zjadają takiej ilości olbrzymiej cukierków/. Przyglądam się z ganku konsumującej lub baraszkującej dzieciarni.

- Dzieci - mówię - zjedzcie wszystko, bo w muzeum jeść nie wolno, a kiedy skończycie pobierajcie papierki od cukierków i inne resztki i zanieście to wszystko do śmietnika.

I posłusznie dzieci po jedzeniu sprzątają dokładnie miejsca, na których konsumowały, raz, dwa i dziedziniec jest idealnie czysty. Miłe, kochane dzieci. [...]

Najgorsze są dla nas poniedziałki - dni generalnego sprzątania. Ludzie nie chcą zrozumieć, że raz na tydzień trzeba dokładnie sprzątnąć sale wystawowe, wymyć trzy klatki schodowe, biuro, gabloty, wyprać chodniki itd. Ludzie wynajdują rozmaite preteksty, żeby im pozwolić na zwiedzanie akurat w poniedziałek. "Wpuść nas pan, bo jutro wyjeżdżamy i nie zobaczymy pańskiego muzeum", "Wpuśćcie nas dziś, wczoraj nie mogliśmy przyjść bo pogoda była cudowna, cały dzień byliśmy na plaży", "Wpuść nas pan, mieszkamy cztery lata i nie widzieliśmy Muzeum", "Wpuść nas pan, przyjechalśmy z daleka żeby zobaczyć to Muzeum, a jutro wyjeżdżamy" itp.

Jednego poniedziałku młody, arogancki facet mówi do mnie;

- Wpuść mnie stary, jestem z "Głosu Szczecińskiego".

- W poniedziałki Muzeum nieczynne.

- Ale zrozum stary, jestem z "Głosu Szczecińskiego", jestem partyjny.

- Żadnych przywilejów nie uznaję.

- Co nie wpuścisz? Czekaj no stary, ja ci podstawię stołka; napiszę artykuł w dzienniku i możesz być pewny, że wylecisz z posady. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. Poszedł ty k... m... łachudro jedna - odpowiedziałem bubkowi mieszaniną polsko-rosyjską. [...]

Poniedziałek. Koniec lipca 1947 roku. Muzeum sprzątnęliśmy w niedzielę wieczorem. Chcieliśmy skorzystać z wolnego dnia wybierając się na grzyby, podobno pełno ich w lesie koło Jarosławia; ach, tak lubię grzybobranie. Za czasów mej młodości na Litwie wyjeżdżano na grzyby wozami, taka mnogość była tych grzybów. Lecz zanim wyruszyłem wpadła do muzeum delegacja ze Słupska z wiadomością, że za 2 godziny przyjedzie do Muzeum wycieczka dzieci polskich z Francji, którzy spędzili jeden miesiąc kolonii letniej pod Ustką. Grzybobranie diabli wzięli. Trzeba było przygotować się na przyjęcie tych "Francuzików".

Tuż przed ich przybyciem zdążyłem wywiesić ogromny plakat z napisem: "Witajcie kochani, młodzi przyjaciele" i po francusku: "Soyez les bienvenus nos chers petite amis", a w myśli złorzeczę: "Nie mogliście, psiakrew przyjść jutro", wszystko dla bachorów, a o starych wcale nie dbają, gdzież te upoczoł starikam?, powinni raczej śpiewać "Starikam tuda im i doroga /na cmentarz/ młodym wiedzcie u nas poczoł".

Przybyli moi "Francuziki", wycieczka liczyła razem 92 osoby w tym 80 "Francuzów" i 12 naszych z Koszalina. Przemówiłem do nich po polsku i po francusku /niektórzy z nich zapomnieli już mowę ojców/, opowiedziałem o tragicznych przeżyciach, męczarniach w czasie okupacji narodu polskiego, o naszym Pomorzu, o Zamku Piastowskim, potem dopiero wprowadziłem do sal wystawowych.

W sali Audiencjonalnej jeden 12-letni chłopiec z Koszalina zaczyna mnie:

- Pan cały czas przeklina hitlerowców i chwali Polaków, Francuzów i Rusków. A te rzeźby, co pan tu masz, kto im poutrać nosy i uszy? Może nie Ruskie, co?

- Może Ruskie, może szabrownicy nasi, mniejsza o to; to są drobnostki. Przecież wiesz synku, że nie możemy chwalić hitlerowców - katów Polski.

- Nam za Niemców nie było źle, tatuś miał sklepik w Toruniu, a jak Ruskie przyszli, to tatuś musiał cały rok się chować.

- Widocznie twój tatuś był Niemcem, skoro miał sklep w Toruniu?

- Wcale nie. Mój tatuś jest Polakiem, był tylko einge-deusent, on Niemców nie lubił, ile razy nam opowiadał jak przed wojną łąził bezrobotny po Niemcach. Jednego razu - mówił tatuś - szedł gdzieś do fabryki zapytać o pracę, a dokumenty miał na lipe, a tu patrzy idzie naprzeciw żandarm, więc tatuś skręcił z drogi i przykucnął na łące - pan już wie co on udawał. A żandarm do tatusia: "Papiere", a

tatusz odpowiada: "Besten Dank, Herr Gendarm, es gibt Gras genug". Koszaliński smyk przetłumaczył to Francuzowi, a ci serdecznie uśmieli się z tego starego dowcipu.

- Powiedźcie mi, mili przyjaciele - zwracam się do Francuzów – co mówią o hitlerowcach i Rosjanach wasi rodzice a Francuzi tam w Lens, Douai, Bethune, Lilie etc.

- U nas wszyscy, tak Polacy jak i Francuzi nienawidzą Hitlera, a Rosjan uważają za przyjaciół; o u nas więcej komunistów niż w Polsce.

- Jestem pewny, że tak myślą nie tylko robotnicy z Nord, i Pas de Calais, lecz olbrzymia większość Francuzów; zgadzam się również z wami co do ilości komunistów we Francji. Nie zapominajcie chłopcy, że w walce z hitleryzmem, w walce o wyzwolenie naszego Pomorza Rosjanie i Polacy wspólnie przelewali krew.

Po zwiedzeniu Muzeum dzieci odśpiewały hymny: polski i francuski. Wcale nie żałowałem, że z powodu dzieci musiałem zrezygnować z grzybobrania; byłem zadowolony, iż przed wyjazdem z Polski zwiedziły nasz Zamek - świadectwo polskości Ziemi Darłowskiej.

W dniu 4 sierpnia 1949 roku siedem luksusowych samochodów zajęchało przed "Hotel Sass". W muzeum miałem pełno dzieci, oprowadzałem ich po salach skrzydła wschodniego, nagle zaczęto wściekle dzwonić, lecę na dół i na ganku krzyczę na całe gardło: "przestańcie dzwonić psia krew, nie jestem głuchy. Myślicie, że prócz nóg mam jeszcze skrzydła, co za niekulturalny naród".

Spojrzałem na dzwoniącego - był nim pan Minister Sokorski. Wpuszczam tych panów, pan Minister wszedł ostatni i szeptem poinformował mnie, że przyjechał nie byle kto, tylko panowie Berman, Radkiewicz, Borkowicz z małżonkami i świtą bezpieczeństwa - razem około 20 osób. Dygnitarze zachowali się bardzo grzecznie i skromnie, a przecież nawymyślałem im od "psia krew". Muzeum sprawiło na nich dobre wrażenie. Odprowadziłem ich po zwiedzeniu do bramy zamkowej, a wracając ujrzałem przed sobą piękną, ślicznie ubraną 4-5 letnią dziewczynkę; dygnęła i nieśmiało zapytała: "To pan jest tu królem?".

- Tak moje dziecko, rozmawiasz z królem we własnej osobie. Dziewczynka obejrzała mnie od stóp do głów i radośnie i dumnie rzekła:

- Powiem wszystkim w Kaliszu, że widziałam króla, będą mi zazdrościć. Zrobiła jeszcze raz reverence i odeszła.

- Ach jakże, mają czego zazdrościć - pomyślałem sobie. Wchodzę na ganek i rzucam dumne królewskie spojrzenie na moje posiadłości; pod gankiem bujał się zapamiętałe na kotwicy 5-6 letni chłopiec - obdartus.

- Złaz mi z kotwicy, bo możesz się skaleczyć, no już cię nie ma.

Chłopczyk zlaźł niechętnie z kotwicy, zadarł główkę w górę, obdarzając mnie nienawistnym, pogardliwym spojrzeniem i ze słowami: "Dziad, kulwa twoja mać" powoli odszedł. "No, no - myślę sobie - co za rażące przemiany w moim życiu, od korony do torby w ciągu niespełna 5 minut", [...]

W pierwszej połowie sierpnia przybyła do Muzeum wesoła grupa podchmielonej, wileńskiej inteligencji. Po obejrzeniu eksponatów towarzystwo wstąpiło na pogawędkę z kierownikiem do biura. Jedna pani w starszym wieku, wpatrując się w portret marszałka Rokossowskiego mówi ironicznie:

- Ach Kostia, Kostia, czy myślałeś kiedyś, że będziesz marszałkiem Polski. Szczęściarz z ciebie Kostia. No cóż, trzymaj się bo sudba igrajet czełowiekiem - dodała po rosyjsku. Potem skierowała swój wzrok na Bolesława Bierutę i ironizuje:

- Ech Bolku, Bolku, ty skromny wiejski chłopaku, czy pamiętasz swoje gąski i krówkę? Podobno byłeś rewolucjonistą mając lat 7. byłeś pono w szkole powszechnej postrachem nauczycieli Moskali, wodzirejem i organizatorem strajków szkolnych. A czy ty, Bolku kochany, nasz czcigodny Prezydencie, nie sprzeniewierzyłeś się ideałom, które głosiłeś mając lat 7? Podobno za bardzo zbliżyłeś się do Moskali, trzymaj się Bolku. Och, tijażela ty szapka manomacha - dodała po rosyjsku podchmielona pani z Wilna.

Odpowiedziałem dowcipnie podchmielonej pani:

- Proszę pani, Rokossowski jest świetnym dowódcą, bohaterem, Bierut jest skromnym, uczciwym człowiekiem, nieugiętym bojownikiem o los pracujących, zasługują oni na szacunek. Pani "dowcipy" są nie na miejscu.

- Niech się pan nie gniewa, pożartować chyba wolno, ale dlaczego chce pan być plus catholique que le Pape? - odciął się podchmielona pani Wilnianka.

Dnia 15 sierpnia, godz. 18.00 zamknąłem Muzeum i chciałem iść do Darłówka nad morze, ale za bramą ujrzałem czasowiczów wysiadających z dwóch autobusów, przybyli z Mielna i Sarbinowa. Cóż robić? Trzeba im umożliwić zwiedzenie Muzeum. Podczas oprowadzania podchodzi do mnie milicjant i prosi o udanie się na 5 minut do posterunku MO. Proszę go o poczekanie, tłumacząc się obecnością gości, milicjant odszedł, lecz po chwili zjawił się znów i powtórzył swoją prośbę, odpowiedziałem, że stawię się na Milicji po opuszczeniu Muzeum przez zwiedzających. Mija kilka minut, milicjant cierpliwie czeka, ale zjawił się nagle urzędnik bezpieczeństwa i kategorycznie zaprosił do samochodu.

- Rzućcie wszystko, jesteście potrzebni, zamknijcie zwiedzających, niech sobie oglądają, za 10 minut wszystko załatwimy i wtedy ich wypuscicie.

Przeprosiłem gości, prosiłem ich zachować ciszę i porządek, powiedziałem, że wracam za 10 minut.

W milicji zastałem dwóch elegancko ubranych panów, przybyłych w luksusowym, zagranicznym aucie. Tych panów - brytyjskiego i szwedzkiego wojskowych attaches z Warszawy - zatrzymali nasi wopiści z powodu przekroczenia zabronionej strefy nadgranicznej. Trzeba było spisać protokół. Kapitan WOP z Koszalina zadawał pytania, a ja tłumaczyłem ich wypowiedzi na polski.

- Czy panowie wiedzieli, że znajdują się w strefie zabronionej? - pyta kapitan WOP.

- Nie wiedzieliśmy - odpowiadają dyplomaci. Szwed jest dumny, surowy. Anglikowi zaś nie schodzi z twarzy rozbijający uśmiech.

- Proszę panów - mówi uśmiechnięty Anglik - przed wyruszeniem w tę podróż byliśmy w MSZ, tam nas poinformowano, że możemy wybrać dowolną trasę, nic absolutnie nie mówiono o jakiejś "strefie zabronionej". Doprawdy nie wiemy z jakiego powodu nas zatrzymano.

- Ależ my panów nie zatrzymujemy, my tu stwierdzamy tylko fakt, że panowie podróżowali w strefie niedozwolonej.

- Sądźmy, iż tak jest w każdym państwie cywilizowanym, miarodajnym jest w tych sprawach MSZ, nie zaś władze lokalne, lub straż pograniczna.

Dyplomaci notują swoje wypowiedzi, ja czynię to samo. Ta słodkokwaśna, towarzyska pogawędka trwała około pół godziny. Zupełnie zapomniałem o zamkniętych gościach w Muzeum. Podaję milicjantowi klucz i proszę go żeby jak najszybciej biegnął do Muzeum i zwolnił uwięzionych. Za chwilę powrócił milicjant i wręczając mi klucz melduje, że w Muzeum nikogo nie ma. Po spisaniu protokołu w języku angielskim kapitan prosi panów dyplomatów o podpisy.

- Nie podpiszemy - oświadcza Szwed.

- Podpisać nie możemy - oświadcza rozbijająco uśmiechnięty Anglik. Proszę zrozumieć, iż nie wolno nam podpisywać żadnych dokumentów bez porozumienia się z naszymi placówkami dyplomatycznymi.

Wracam do domu. Przy otwartym oknie siedzi żona i płacząc skarży się sąsiadce:

- Za co go aresztowali? Służy wiernie Polsce Ludowej, jest jej całym sercem oddany...

- Już jestem. Nie płacz, wszystko w porządku, byłem w milicji w sprawie służbowej. W jaki sposób zwiedzający wydostali się z Muzeum?

- Wśród nich gruchnęła wieść o twoim aresztowaniu - mówi żona - w obawie przed możliwymi komplikacjami wycieczkowicze na łeb, na szyję powyłazili oknami i pospiesznie odjechali. [...]

Dnia 23 sierpnia 1949 roku idę do Darłówka. sezon jest na ukończeniu, we wrześniu wyjadę na urlop, trochę wypocznę, jest mi jakoś weselej. Stoję samotnie na molo, patrzę w bezkresną dal i rozmarzony zaczynam śpiewać marynarskie piosenki: "Sjöman ölskar havets vög..." Na próżno śpiewając staram się wskrzesić obraz Sztokholmu - zapomniałem.

Śpiewam "Swet sheet and flowing sea" i nie mogę wzbudzić pamięci Londynu, myśli lecą na krótko ku dalekiej surowej Kanadzie. Dosyć tej północy, niech myśli moje wędrują na Południe, za którym tak tęsknię.

"Raskinuło morie szeroko i wolny buszujut w dali..." Śpiewając tę piosenkę przypomniła mi się Odessa, Primorskiy Bulwar, Deribasowskaja, teatr, Langeron, Bolszoj Fontan. Przypomniałem sobie jesień roku 1919, pieszą wędrowkę z Odessy do Polski.

Zaśpiewałem "Quand on est matelot, on est toujours sur le sud" i przed moimi stęsknionymi za południem oczyma zamajaczyła piękna, zawsze wesoła Marsylia; zdawało mi się, że stoję na schodach dworca Saint Charles i spojieram na miasto, bulwary, korsa. Stary Port, Notre Dame de la Garde..., nagle zrywa się mistral i płata figle tej świątyni; ugina się, chwieje Notre Dame, a mistral nadal szaleje...

Śpiewam dalej: "Voila les gars de la marine..." i wzbudzam w pamięci wizję dalekiej przeszłości: portowe miasta francuskie, włoskie, hiszpańskie nad przepięknym Morzem Śródziemnym.

No dosyć do diabła tych wspomnień; rozczulał się niepotrzebnie. Pójdę, rąbnę sobie starym zwyczajem porządnego kielicha i wrócę do chałupy. Powiedziano - zrobiono, wychyliłem duży kielich wódki, wziąłem dwie bułki z szynką, butelkę piwa i wyruszyłem w powrotną drogę na przełaj przez łąkę. Na łące samotnie pasła się czarna jałowka o białych nogach. Usiadłem obok jałowki, zjadłem jedną bułkę, drugą zżarła z apetytem jałowka, wypilem pół butelki piwa, resztę dałem jałowce - wysączyła butelkę do dna i liznęła mnie w twarz. Objąłem ją za szyję ze słowami: "Mojaś ty... z łąk darłowskich pierwsza krasawica" i wyruszyłem do domu. Jałowka szła za mną. Skręciłem na szosę - ona za mną. Z początku mnie to bawiło, a potem zaniepokoiłem się, starałem się ją odpędzić - na próżno.

Jałowka nie chciała ustąpić i uporczywie kroczyła za mną szosą do miasta. Wracający z plaży wczasowicze pytają się: "To pańska jałoweczka, panie kustoszu? Ach co za śliczne stworzenie! "

- Tak moja, t.j. właściwie nie moja, a sąsiadów - płacząc się zażenowany.

Przyspieszyłem kroku - jałowka też. Zboczyłem do parku - jałowka za mną. Idzie naprzeciwko chłopiec, wsunąłem mu w rękę parę złotych i proszę go by zatrzymał natrętą jałowkę - chłopak urwał gałąź z drzewa i zagroził jej drogę. Pospiesznie wracałem do miasta uradowany, że nareszcie pozbyłem się natrętnego zwierzęcia. Lecz radość moja trwała krótko jałowka wydarła się chłopcu i popędziła za mną, za chwilę mnie dopędziła. Na szczęście zaczynał się seans w kinie, wszedłem do kina, zamykając za sobą drzwi, a jałowka stanęła przed drzwiami i ani rusz. Ledwie zdążyłem kupić bilet, a tu wpada znajoma pani z wczasów ze słowami: "Jałoweczka pana kustosza stoi przed drzwiami, co za mądre stworzenie".

- Rzeczywiście, jest tak mądra jak pani - mrucząc złośliwie - zaraz ktoś po nią przyjdzie - mówię ni w pięć, ni w dziewięć.

Po tej głupiej przygodzie przestałem chodzić do Darłówka przez łąkę, [...]

W roku 1951 uczelnię naszą przekształcono na Zasadniczą Szkołę Zawodową, język angielski skasowano. W latach 1950-51 przyjeżdżali do mnie na angielski część uczniów klas 10 i 11 ze Szkoły Ogólnokształcącej w Sławnie; ich "Anglik" odjechał na dalsze studia do Poznania. A więc w roku 1951 zakończyłem swoją działalność pedagogiczną.

Z dniem 1 stycznia 1950 roku Muzeum w Darłowie upaństwowiono, od tej pory do dnia 1 stycznia 1958 roku podlegało placówce zwierzchniej - Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie.

Dnia 15 marca 1950 roku pojechałem na naradę roboczą do dyrekcji Muzeum Pomorza Zachodniego. Na tej naradzie dostałem naganę od pana dyrektora mgr M. za udzielanie wywiadów dziennikarzom. Po naradzie udałem się do Wydziału Kultury i Oświaty w WRN; tam otrzymałem od pana G. rzeźbę Utecha, przedstawiającą olbrzymią głowę pogrążonego w zadumie mężczyzny.

W księgarni w Alei Wojska Polskiego kupiłem "Noce i dni" Marii Dąbrowskiej. Z książkami i figurą, która zaczynała mi porządnie dokuczać, wstąpiłem do restauracji, usiadłem w kąci, a ciężką figurę "myśliciela" postawiłem obok przy oknie. Baranicy i kozucha nie zdjąłem, bo byłem zgrzany i bałem się przeciągów. Knajpiarskim zwyczajem w bufecie tuż przed półkami wisiał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, przed obrazem świeciła się czerwona lampka. Zamówiłem kawę i kieliszek wódki. Siedzący przy sąsiednim stoliku robotnik, wilnianin obserwował mnie, kręcąc głową, a po chwili przemówił;

- Ech, ty kułak, kułak. Wyzyskiwałeś przed wojną klasę robotniczą i teraz jesteś kułakiem wyzyskiwaczem, nie nauczyła cię moresu nasza socjalistyczna Polska Ludowa; siedzisz w czapce jak poganin, przytaszczyłeś jakiegoś diabła, a tu przecież wisi obraz Przenajświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej. Zdejmże czapkę kułak, stary grzeszniku. Ach warto by ciebie razem z tym bałwanem zaprowadzić na milicję. Patrzcie obywatele, tu mamy święty obraz, a ten stary kułak nic sobie z tego nie robi; z pewnością jest wrogiem naszej socjalistycznej ojczyzny.

Nie zwracałem uwagi na podpitego rodaka, czapki nie zdjąłem. "Mądra bestia - myślę sobie - i wilk syty i owce całe",

Wypiłem pospiesznie kawę i podążyłem na dworzec. W pociągu zacząłem czytać "Noce i dni", im dalej czytam, tym więcej czaruje mnie to wspaniałe dzieło, nie mogę oderwać się od lektury, pochłaniam stronicę za stronicą, zapominając o wszystkim na świecie. "Biedna pani Barbara, biedny pan Bogumił, biedny, kochany Piotruś" - komentuję głośno. Wtem słyszę, jakiś rozbawiony jegomość woła:

- Ej, dziadku Piotrze, wysiadka.

- Czy już Sławno - pytam zaskoczony.

- Gdzie tam Sławno; jesteśmy już w Słupsku, pociąg dalej nie jedzie.

Masz ci los. Spojrzałem na rozkład jazdy - mam całe cztery godziny do odjazdu pociągu w kierunku odwrotnym. Znów zagłębiłem się w lekturze. W drodze powrotnej zamknąłem książkę i zacząłem zastanawiać się nad nazwiskiem "Katelba".

Rzeczywiście, psia kość, tu coś nie tego... zacząłem kombinować: "Katzelbach", "Gatselbach", "Cattebug", "Ohatelbeau", "Katalbagh", "Katelbeg", "Kat-el-bab",...

Moje rozważania przerwał głos konduktora na peronie: "Sławno". Łapię książkę, "bałwana" i podążam ku wyjściu; w wagonie tłok, z trudem przebrnąłem przez ludzką masę, ale zanim zdążyłem wyskoczyć mój "bałwan" rozkleił się i rozpadł na dwie części. Wysiadłem z połową "bałwana", pociąg już ruszył; biegnę za pociągiem i rozpaczliwie wołam: "wyrzucić prędzej drugą połowę bałwana".

Jeden z panów wyrzucił drugą połowę sponiewieranego "Myśliciela" ze słowami: "masz pan swój skarb, urządził się dziadku, a może brakuje ci coś tu? - zakończył, wskazując na czoło.

Przywlokłem do Muzeum kalekę "Myśliciela", zdarłem sobie do krwi ramiona, pozostawiłem "bałwana" na stole w biurze; skaleczony przyglądałem się z nienawiścią skaleczonemu "bałwanowi".

"Ty cholerna Katelbo" - powiedziałem ze złością. Zmęczony, z zakrwawionymi ramionami usiadłem w krześle i zacząłem drzemać. Obudził mnie telefon, zdejmując słuchawkę słyszę głos jakiejś dziewczyny: "351?".

- Pomyłka, proszę pani, tu Muzeum - 151.

- A ma pan sznur? - pyta się dziewczucha.

- Co takiego, sznur, a po co?

- Powieś się pan - powiedziała beczelna uganiaczka za żołnierzami.

Zrozumiałem dobrze, że chodziło jej o jakiegoś żołnierza, była sobota, więc dziewczucha chciała umówić się z chłopcem na randkę. Ale co jej zawiniłem, winę ponosi przecież sama, powinna nauczyć się nakrecać właściwy numer.

Po pewnym czasie dziewczucha znów się omyliła, ale tym razem nie dałem się tak głupio nabrać; na pytanie czy masz sznur? rezolutnie krzyknąłem: "słuchaj no dziewczucho, gdybym miał sznur powiesiłbym cię niechybnie w tych ruinach, gdzie co sobota tłuczysz się z żołnierzami. Od tej pory pytanie o sznur nie powtórzyło się.

W maju 1950 roku zorganizowałem "Koło Miłośników Muzeum" składające się z 4 chłopców w wieku od 13 do 16 lat, niedługo jednak cieszyłem się z ich pomocy; "miłośnicy" po kryjomu wynieśli z Muzeum album z niemieckim zbiorem "Notgeld" i stary zabytkowy karabin. Odebrałem te rzeczy, a "miłośników" wypędziłem na cztery wiatry.

Po upaństwowieniu Muzeum zaczęły się wędrowki moich eksponatów po różnych wystawach i wystawkach. Wypożyczanie eksponatów, moim zdaniem jest plagą prawdziwą naszego muzealnictwa. Ile cennych obiektów naniszczone i zagubiono w tych wędrowkach. Pożyczyłem starosłowińską popielniczkę na wystawę do Szczecinka i więcej jej nie oglądałem; stłuczono ją tam. Pożyczyłem

dwadzieścia dwa obiekty z Etnografii na wystawę rolniczą do Sławna, na trzy tygodnie, po trzech miesiącach otrzymałem wypożyczone obiekty z Koszalina, niektóre z tych obiektów zwrócono w stanie uszkodzonym. Muzeum opiekuńcze w Szczecinie zażądało przekazania mu tzw. "Kluki Pomorskiej". Miał ją zabrać pan dyrektor D. Spróbowałem się sprzeciwić:

- Panie doktorze, nie mogę wręczyć panu "Kluki" bez odpowiedniego pisma Muzeum Pomorza Zachodniego. Jako kierownik Muzeum w Darłowie muszę bronić interesów naszego muzeum. - powiedziałem panu D.

- Co, nie da pan? - mówi zdziwiony pan doktor.

- Nie dam - odpowiedziałem kategorycznie. Dr D. odjechał do Szczecina. Po paru dniach otrzymuję od pana Dyrektora ze Szczecina naganę: "Dlaczego obywatel nie wręczył doktorowi D. "kluki"; co myślał Obywatel, mówiąc: "muszę bronić interesów Muzeum w Darłowie?" Rozkazuję Obywatelowi wysłać natychmiast "klukę".

Po wysłaniu "Kluki" otrzymałem rozkaz wysłania akwareli Kuske "Tkaczka", potem nasze darłowskie krosna, cep, grempie, szmaciaki, tkaninę darłowską; obiekty te dyrekcja wypożyczyła na wystawę; po pewnym czasie przekonałem się, że dyrekcja Muzeum "opiekuńczego" wyżej wymienione eksponaty przywłaszczyła. Moją biedną "klukę" zamknęto w piwnicy, bo na wystawę się nie nadawała.

- Oddajcie mi chociaż tę klukę - proszę dyrekcji - przecież jest u was zmagazynowana, dla naszego Muzeum jest to ciekawy eksponat, przecież ta „kluka” jest typowo kaszubskim reliktem i nie ma nic wspólnego z regionem szczecińskim.

Młoda panienka /a już magister/ pokazuje mnie klukę z przywiązaną do niej etykietką z napisem: "MPZ nr inwent. N". Pan dyrektor obiecał przychylnie załatwić sprawę tej kluki, tj. zwrócić ją prawowitemu właścicielowi - Muzeum w Darłowie, lecz kluka ta później w ogóle zginęła bez śladu.

Gdzie ty kluczysz kluko moja, moja kaszebko kochana ?

A te ciągle wędrowki obrazów Kamockiego? Pewnego dnia dostaję zawiadomienie z kolei o nadejściu przesyłki dla Muzeum.

Wynajmuję chłopca i jadę na dworzec; na peronie leżały obrazy Kamockiego bez opakowania, ramy połamane, część obrazów zadrapaną, zabłoconą. Przed wysłaniem do Darłowa obrazy były zapakowane w tekturę i powiązane drutem. „Chodźże, kochany profesorze, na sianko - mruć, układając obrazy na chłopskim wozie - skrzywdzi cię i sponiewierali muzealnicy Polski Ludowej; przebac im, bo nie wiedzą, co czynią". Przed likwidacją wystawy kazałem zrobić dwie solidne skrzynie, zadowolony byłem, że przynajmniej na pewien czas obrazy te nie będą leżeć na peronie bez opakowania, jak to miało miejsce w Darłowie.

Z dniem 1 lipca 1950 roku zaczęła pracować woźna - Herta Parnow. 23-letnia Herta mieszkała razem z chorą matką, bratem i ciotką w oddalonej o 9 kilometrów od Darłowa wsi Dąbki /Nova Rjeka/. Stary ojciec Herty, były rybak pracuje pod Hanowerem. Dziewczyna ukończyła 7 klas Volksschule, mówi dobrze po polsku, jest przystojna, grzeczna, delikatna i bezwzględnie uczciwa; w wolnych chwilach czyta klasyków niemieckich, polskich, rosyjskich, czyta również po polsku i to dosyć dobrze; najwięcej interesują ją listy czytelniczek w "Przyjaciółce" /może dlatego, że to można najłatwiej zrozumieć/. Robi codziennie na rowerze 18 kilometrów.

- Czy wiesz Herto, że masz czysto słowiańskie nazwisko; mamy w Polsce tysiące Parnowskich.

- Wiem - odpowiada skromnie dziewczyna - moja babcia mówiła, że naszymi przodkami byli Pomorzanie, a Neuwasser w starych czasach nazywała się Nova Rjeka, a babcia nazywała to "dobra woda". Nie wiem dlaczego przemianowano Nową Rzekę na Dąbki. Nazwę tą powinna otrzymać sąsiednia osada rybacka Damkerort. [...]

Za niemieckich czasów na strychach mieściły się magazyny; latem przybyła kontrola i kazała nam w przeciągu 5 dni opróżnić strychy. Pracowaliśmy we trzech, ja, moja żona i Herta. Schody wąskie, strome, kręte, namęczyliśmy się okropnie.

We wrześniu 1950 roku byłem na miesięcznym kursie ideologicznym dla pracowników muzealnych w Szklarskiej Porębie. Prelegenci przyjeżdżali z Warszawy, byli zmęczeni podróżą, czasem spóźniali się, z tego powodu mieliśmy sporo wolnego czasu, spacerowaliśmy po Średniej Porębie, wypuszczaliśmy się często do Górnej Poręby, łaziliśmy po górach. Kierownikiem kursu był młody, łagodny tow. Ł.

Najsurowszym wykładową była tow. K. Pewnego razu jedna z koleżanek, pani K.L. w czasie wykładu narzekała na swego woźnego:

- Proszę pani - mówi pani K.L. - mój woźny należy do partii, umie grać na trąbce i jest w zespole muzycznym przy magistracie. U nich tam ciągle jakieś uroczystości, więc mój woźny więcej trąbi niż pracuje w muzeum. Nareszcie zgniewało mnie to wszystko, powiedziałam, że nie puszcze go więcej na to trąbienie, a on usiadł i zaczął płakać, żal mi się go zrobiło; zwolniłam go na 1 godzinę. Mija. proszę pani godzina, druga, trzecia, czwarta, mój woźny maszeruje w pochodzie i trąbi. Wychodzę na ulicę i rozkazuję mu by natychmiast wrócił do pracy, a on nawet na mnie nie spojrział, tylko trąbił maszerując po mieście. Idę do Komitetu Partii; siedzi tam jakiś dudek, podobno sekretarz...

- Jak pani śmie nazywać sekretarza partii dudkiem! - przerwała jej pani K. - Potem, co to za stosunek do woźnego partyjniaka? Jego udział w pochodach jest ważniejszy od pracy w muzeum. Będę musiała wyciągnąć odpowiednie wnioski z zachowania się pani.

Zastraszona pani K.L. zamilkła, a myśmy po wykładzie starali się uspokoić i udobruchać zdenerwowaną i oburzoną prelegentkę, tłumacząc jej, że woźny, były restaurator wstąpił do partii dopiero po likwidacji restauracji.

Towarzysza Ł. - kierownika kursu - odwiedziłem w roku 1951; mieszkał on z rodziną pod Warszawą, w willi położonej w lesku i ogrodzonej ze wszystkich stron drucianą siatką.

- Zarabiam około 7 tysięcy miesięcznie, bo prócz posady mam prace zlecone. Praca jest przyjemna, wszyscy mnie szanują i lubią, jestem bardzo zadowolony.

- Tak, towarzyszu, nasza kochana Polska Ludowa dba o ludzi pracy, wszyscy dobrze zarabiają, wszyscy są zadowoleni; warto żyć w takim kraju, nie prawda towarzyszu - powiedział tow. Ł.

- Tak, warto żyć i pracować dla naszej Polski Ludowej. Chociaż co do zarobków, to oczywiście nie wszyscy dobrze zarabiają, u nas woźna zarabia tylko 450 złotych, a sprzątaczką 360 zł miesięcznie.

- Ja nie lubię tych co narzekają, u nas wszystkim dobrze - powiedział nachmurzony tow. Ł.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć tow. profesorze; ja mam 700,- zł miesięcznie, moja kobieta też pracuje, narzekać nie mogę i zazdrościć wam nie powinienem; zdaję sobie sprawę, iż tow. profesor jako partyjny naukowiec przyczynia się 10 razy więcej do budowy socjalizmu w naszym kraju, niż ja, skromny urzędnik, lecz przyznam się szczerze, że gdybym zarabiał 360 zł miesięcznie byłbym narzekał. [...]

W połowie grudnia 1950 roku personel muzeum /trzy osoby/ zajęty był spisem z natury. Do Muzeum weszli młody oficer i szeregowiec. Oprowadziłem ich po wystawach skrzydła basztowego, zwiedzali bardzo dokładnie, a mnie się spieszyło do spisu, więc skierowałem ich do prehistorii i wróciłem na miejsce pracy.

Po kilku minutach zwiedzający przychodzą do nas i proszą ich wypuścić; "cudowne rzeczy ma pan w muzeum - mówi oficer - ale niestety spieszy nam się bardzo, przyprowadzę tu w niedzielę całą kompanię".

Wypuściłem ich, jakimś dziwnym zdawał mi się ten pośpiech, poszedłem obejrzeć Dział Prehistorii i skonstatowałem kradzież pierścionka z okresu Rzymskiego; złodziej otworzył gablotkę wytrychem. W tym przypadku kradzieży winę ponoszę ja: lekkomyślnie zaufałem złodziejowi w mundurze oficera puściłem go samopas. Może oficer chciał zaimponować tym pierścionkiem jakiejs dziewczusze, wydając go za sygnet rodowy [...]

Dnia 20 grudnia miałem trzy wycieczki; przed południem były dzieci polskie, zdaje mi się z Jeżyc; po południu dzieci rosyjskie i niemieckie. Szkolnictwo niemieckie powstało w roku 1949, od tej pory zaczęły się wycieczki niemieckie.

Udzielałem objaśnień po niemiecku. Wśród nauczycieli niemieckich spotykałem ludzi wykształconych i kulturalnych, ale były to raczej wyjątki; większość tych nauczycieli i nauczycielek posiadali tylko niższe wykształcenie. Większość młodzieży niemieckiej nie uczęszczała do szkoły od roku 1944 i była nieco zdziczała /verwildet/.

Wracam do wycieczek w dniu 20 grudnia. Mali obywatele i obywatelki radzieccy uważnie wysłuchali moich objaśnień w języku rosyjskim, zwiedzając sale wystawowe zachowały porządek i absolutną

ciszej; jedna z dziewczynek chciała dotknąć zbroję z XVI wieku, ale stojący obok niej chłopczyk ostrzegł surowo: "Nie trogaj, dzieduszka nie wielit" /Nie rusz, dziadek nie pozwala/.

Te miłe, mądre i czyste dzieci miały od 6 do 10 lat. Mały chłopczyk Grisza trzymał mnie cały czas za rękę i wciąż mnie napastował: "Dziadek Mroź, jesteś przecież Russkij, opowiedz nam bajeczkę". Nareszcie mówię: Nie synku, nie jestem Russkij, ale to nic nie znaczy, lubię was bardzo, bajeczki są długie, a czasu mało; chodźcie wszystkie do mnie bliżej, powiem wam wierszyk.

Otoczony dzieciarnią zacząłem: "Nie wietier buszujet nad borom, Nie z gór pobieżali rucejji, Moroz wojewoda dazorom, obchodit władienja swoi..."

Skończyłem, a dzieci prosiły: "jeszcze, dziadku, jeszcze..."

Czułem się szczęśliwy, bo zrobiłem przyjemność małym przyjaciołom.

Mniej więcej po godzinie przyszli mali Niemcy z Palcewic; przyjąłem ich tak samo serdecznie jak polskie i rosyjskie dzieci. Zaczął padać śnieg, po zwiedzeniu wystaw stanęliśmy na ganku, ubrany byłem w filcowe buty i kożuch, wiatr targał moje ogromne, zaśnieżone wiechy. Ku uciesze dzieciaków zacząłem deklamować:

"Von draussen, von Walde komme ich hier,

Ich muss euch sagen es weihnachtet sehr"

Potem gawędziłem z nauczycielką i dziećmi. Między innymi zapytałem ich czy wiedzą, kto to był Goethe. Dzieci odpowiadały: "Johann Wolfgang Goethe jest największym niemieckim poetą."

- A kto z was wie, kiedy on się urodził? Zaległo chwilowe milczenie, a potem jedna dziewczynka o "praniemieckim" nazwisku - Malotki, nieśmiało mówi: "urodził się w roku 1749".

- Omyliłaś się trochę, moje dziecko - mówię niepewnie. "I po co się pytam - zarzucam sobie - jeżeli sam dokładnie nie wiem, kiedy on się urodził?" Stawiam to pytanie szeptem nauczycielce, a ona zarumieniała się i skofundowana szepce:

- Ach, wiedziałam przecież, lecz zapomniałam. Ach mein Gott.

Zwracam się znów do Malotki:

- Słuchaj Malotki, moja kochana malutka, ja tylko pożartowałem, odpowiedziałaś dobrze, jesteś mądrą dziewczynką. Powiedz moja malutka, czy masz mamusię i tatusia?

- Tatusz zginął w Rosji, mamusia była przed wojną pianistką, ale reumatyzm pokręcił jej ręce. Obecnie pracuje w PGR jako dojarka - odpowiedziała smutnie Malotki.

Na odchodnym dzieci zaśpiewały bardzo ładnie: "Am Brunner vor dem Thore" - Schuberta.

Latem 1951 roku odremontowano Kaplicę Zamkową i pobielono wapnem kilka sal. Pracowaliśmy po tym remoncie po 16 godzin dziennie, całą robotę wykonaliśmy bezpłatnie sposobem "gospodarskim". Nałykaliśmy się kurzu, czyszcząc zabryzganym wapnem olbrzymie okna Kaplicy Zamkowej.

Na jesieni roku 1951 zachorowałem na ostre zapalenie woreczka żółciowego, pogotowie zabrało mnie do szpitala w Sławnie.

Podreperowany wróciłem na Boże Narodzenie do domu, lecz po dwóch tygodniach podczas spisu z natury znów nagle zachorowałem. Tym razem doktor po zbadaniu powiedział żonie, że mam chore nerki i... raka. Na szczęście w Sławnie uznano tę diagnozę za nieścisłą. Dr Granisz stwierdził ponowne zapalenie woreczka żółciowego z pewnymi niebezpiecznymi komplikacjami. Ten doktor, wspaniały człowiek, po trzech miesiącach postawił mnie na nogi. Dużo pomogła mi również troskliwa i dobra siostra zakonna Gonzaga, o której należy powiedzieć, że rzeczywiście ma Boga w sercu.

Pewnej nocy po zastrzyku penicyliny usłyszałem jak jedna siostra powiedziała szeptem do drugiej: "On już nie pociągnie długo". Właśnie po tych słowach siostry poczułem się od razu lepiej i wbrew przepowiedni zacząłem szybko się poprawiać. No ale kochane siostry, mogę wam powiedzieć na pocieszenie, że mam już 73 lata, chyba długo nie pociągnę; co się odwlecze, to nie uciecze.

Wróciłem ze szpitala strasznie osłabiony, ale lekki, ważyłem tylko 45 kg.

Latem zdarzają się często wypadki zanieczyszczenia podwórza zamkowego. Obok wejścia do mojego mieszkania znajdują się schody do piwnicy. W czasie działań wojennych piwnica służyła za schron, więc wejście do piwnicy przypomina bunkier. Wąską przestrzeń między "bunkrem" a moim mieszkaniem niechluje uważając za dogodną dla załatwiania potrzeb fizjologicznych. Częstokroć, wychodząc rano z mieszkania znajduję tuż przed drzwiami ohydne ślady załatwiania się. Latem w

biały dzień, niektóre matki zaprowadzają w to - jak im się zdaje ustronne miejsce - małe dzieci celem wypróżnienia się.

Spędziliśmy z żoną wiele lat za granicą, nigdzie czegoś podobnego nie widzieliśmy. Ten z... interes doprowadzał nas do rozpacz. Zdaje mi się, że lato roku 1952 było pod względem "wypróżniania się" na podwórzu i pode drzwiami naszego mieszkania rekordowym. Może zresztą tak nam się tylko zdawało, bo byłem po chorobie i bardzo zdenerwowany. Ileż to razy użeraliśmy się z niechlujnymi babami.

- Co pani robi - krzyczę jak wariat - dlaczego pani pozwala załatwiać się swym dzieciom przy drzwiach, przecież o parę kroków stąd są tereny "niczyje"?

- Niech mi pan dzieci nie straszy, zrozum pan, że to są małe dzieci, nie mogą pozwolić, żeby mi narobiły w majtki - odszczeknęła baba.

Powiedziawszy to zwraca się do dzieci: "róbcie kupki, nie bójcie się, niech se krzyczy, a wy róbcie swoje".

- A gdybym ja to zrobił pode drzwiami pani, jak by pani na to zareagowała?

- Jeżeli nie masz pan wstydu to możesz zrobić. Odczep się pan nareszcie, bo dzieci się denerwują. "Róbcie kupki, róbcie prędko kupki" - uspokaja dzieci.

Innym razem miałem do czynienia ze starszym chłopem. Jadłem obiad, przy otwartym oknie, wychodzącym na podwórze bawił się 6-letni chłopczyk sąsiadów. Nagle chłopczyk wesoło zawołał "widzę coś, widzę coś".

- Cóż ty widzisz mój Andrzejku? - pytam się.

- A jeden pan sra w Muzeum - odpowiada wesoło chłopczyk.

Wyleciałem jak oparzony na podwórze; przy samych drzwiach wejściowych załatwiał się przykucnięty chłop.

- Wciągnij portki, psia krew i idź precz za bramę, tam są tereny "niczyje" - ryczę jak oszalały.

- Kiej nie mogę, mam rżnięcie jak cholera.

- Wynoś się stąd bydlaku, bo cię odstawię na milicję.

- Powiedział zem nie mogę, milicją nie strasz, bo się jej nie boję; może chciałbyś żebyś nawalił sobie w portki.

- Musisz to sprzątnąć, brudasie jeden.

- Nie pyskuj, bo jak ci zajadę w tę wąsatą mordę to przekoziółkujesz. Patrza no ludzie, nie wolno się wysrać.

Nareszcie rozszłoszczony chłop wciągnął portki i odszedł klnąc na czym świat stoi "zasrany porzundek".

Dnia 16 sierpnia 1952 roku zwiedzał Muzeum pan Władysław Broniewski z małżonką. Państwu Broniewskim towarzyszyło dwóch członków K.W. w Koszalinie. Miałem wrażenie, że powszechnie znanego poetę rewolucjonistę krępowała obecność towarzyszy z K.W. Jednocześnie z panem Broniewskim zwiedzały Muzeum dzieci z przedszkola.

Wychowawczyni przedszkola, młoda dziewczyna rozmawiała cały czas z jakimś kawalerem, pozostawione sobie, rozbawione dzieci trochę hałasowały. Towarzyszka z K.W. zwracała parę razy uwagę wychowawczyni żeby pilnowała swych pupilków, nauczycielka odcięła się; wtedy towarzyszka czując się obrażoną prosi mnie bym wylegitymował niesforną wychowawczynię.

Odpowiedziałem jej szeptem:

- Towarzysko, w muzeach nikogo się nie legitymuje, legitymowanie zwiedzających byłoby kompromitacją muzealnictwa i co właściwie tak oburza towarzyszkę? Wiem, iż tow. Broniewski jest bardzo skromnym i wyrozumiałym, pewny jestem, że kocha serdecznie te trochę hałaśliwe dzieciaki.

W międzyczasie drugi towarzysz pobiegł do biura i zatelefonował do sekretariatu partii, że dzieci "demolują" Muzeum. Wybryk tego towarzysza przypomniał mi bajkę Kryłowa "Pustynnik i Miedwied".

Udało mi się wreszcie przywrócić porządek zakłócony z tak błahego powodu. [...]

W końcu lata przyjechał z dyrekcji ze Szczecina pan Wilczkiewicz i zawarł umowę z mularzem Kowalskim o odnowienie trzech klatek schodowych za 2.100 zł.

Pracę tę Kowalski i jego pomocnik wykonali za trzy dni. A my personel Muzeum, tj. moja żona i Herta musieliśmy doprowadzić do porządku zalane wapnem klatki schodowe; trzeba było zmyć nie mniej nie więcej tylko 100 stopni, a wodę trzeba było dźwigać z dołu.

Po trzech dniach tej piekielnej harówki mieliśmy wszyscy skaleczone ręce, Herta od tej pory zaczęła narzekać na serce, żona przewróciła się z pełnym kubłem wody i skaleczyła ręce i nogi, mnie znów zaczęła dolegać wątroba.

Pan Kowalski po zakończeniu zleconej pracy przedstawił mi rachunek na zł 3.600.

- Co to za rachunek, panie Kowalski? - pytam się go. Ja tego rachunku podpisać nie mogę. Zgodziłeś się pan wykonać pracę za 2.100 zł, a żadasz aż 3.600 zł. Wykonałeś pan tę pracę za trzy dni, zarobiliście po przeszło 1.000 zł, a wie pan, ja zarabiam 700 złotych miesięcznie, moja żona tylko 500,- zł, myśmy po wykończeniu pańskiej roboty szorowaliśmy przez trzy dni schody, nasza praca była 10 razy gorsza i cięższa. Spójrz pan na moje ręce ! Za naszą pracę nie dostaniemy ani grosza.

- A co mnie to obchodzi, że masz pan skaleczone ręce i pracujesz bezpłatnie. Żądam za swoją pracę 3.600 złotych i już! Nie wiem dlaczego nie chce pan podpisać rachunku, przecież nie płacisz pan ze swej kieszeni!

- Nie panie Kowalski, tego rachunku nie podpiszę!

- Nie podpiszesz pan. Dobrze! Mam pana gdzieś. Jutro pojedę z tym rachunkiem do Dyrekcji w Szczecinie, nie potrzebuję pańskiej łaski.

- Proszę bardzo! - mówię bezradnie rozkładając ręce. Po paru dniach o godzinie 19 dobija się ktoś do Muzeum.

Wychodzę na ganek i widzę wstawionego p. Kowalskiego. Pytam się go czego sobie życzy, a Kowalski na to:

- Skrzywdziłeś mnie, panie kierowniku, w Szczecinie otrzymałem tylko 2.000 złotych. Dlatego właśnie piję!

- A pij pan sobie na zdrowie!

Kowalski zataczając się z lekka odchodzi. Nazajutrz o tej samej godzinie znów się zjawia i woła: panie Kierowniku, skrzywdziłeś mnie, dlatego piję!"

- A pij ta se na zdrowie, kochany majstrze! Potem jeszcze trzy razy zjawiał się o tej samej porze Kowalski, wygłaszał swoje: "Piję, bo mnie skrzywdziłeś!" i odchodził, z lekka się zataczając.

Nareszcie przyszedł trzeźwy i bardzo delikatnie powiedział:

- Panie Dyrektorze kochany, skończyłem z pić, zabrakło mi forsy. Cofam swoje oskarżenie, bo w rzeczywistości nie pan mnie skrzywdził, lecz sam siebie skrzywdziłem.

Potem po krótkiej pauzie:

- Panie dyrektorze, mój dobrodzieju, macie może jakąś robotę?

- Panie Kowalski, pan jest człowiekiem starszym, pracowałeś kiedyś w Kijowie; pamiętasz pan to powiedzonko rosyjskie o malarzach: "Ch... li nam malaram, dien rabotam, dwa gulam". Otóż postępujesz pan według tej zasady. Szkoda pana, jest pan dobrym majstrem, ale właśnie za dużo tego "gulam". Przyjdź pan za dwa tygodnie; muszę namówić pana administratora z Dyrekcji na remont przeciekającego dachu nad gankiem.

Z tymi remontami mam wiecznie zmartwienie. Kapitałny remont zamku przeprowadzili Niemcy w latach 1929-1933. Od tego czasu wykonuje się li częściowe remonty - prowizoria. Najgorzej przedstawia się sprawa z dachami. Na wybrzeżu mamy specyficzne warunki atmosferyczne; jesienią i wiosną mamy gwałtowne burze i wichury, wyrządzające poważne szkody. Wtedy drzę noce i dnie ze strachu o całość dachów i szyb w oknach. Kanalizacyjna instalacja jest stara i wymaga ciągłej naprawy; często pękają rury, zalewając pomieszczenia muzealne. Zasadniczo remonty i naprawy mają wykonywać firmy uspołecznione, do inicjatywy prywatnej zwracać się można tylko w wypadku odmowy firmy uspołecznionej. Lecz firmy nie zawsze odmawiają, owszem przyjmują zlecenia na remont, a potem czekaj tatka latka! W wielu przypadkach, gdy chodziło o drobny remont, opłacałem dobrego fachowca z prywatnej inicjatywy z własnej kieszeni.

Dnia 30 listopada o godzinie 18.00 wpada do biura tow. Urbaniak z Muzeum Pomorza Zachodniego.

- Przywiozłem panu wystawę radziecką; mam 25 dużych skrzyń na dwóch ciężarówkach. A gdzie są towarzysze z partii, którzy mają nam pomóc z wyładowaniem skrzyń? Komitet Wojewódzki ze Szczecina nie porozumiał się z Komitetem partyjnym w Darłowie, mamy otrzymać sześciu towarzyszy do pomocy.

Telefonuję do komitetu, ale na próżno; nie ma tam nikogo, a jutro niedziela, komitet zamknięty! Szofer nam pomógł wyładować ciężkie skrzynie z samochodów i odjechał. Zostaliśmy z tow. Urbaniakiem sami, przemęczeni, spoceni.

- Czy macie trochę gotówki, towarzyszu? Moglibyśmy wynająć parę robotników z młyna, sami nie damy rady, a skrzynie przecież nie mogą pozostać całą noc na dworze pod deszczem.

- Nic nie mam, towarzyszu, musimy tę pracę wykonać sposobem gospodarskim.

Otworzyliśmy jedną skrzynię i zaczęliśmy wyciągać ciężkie plansze, przedstawiające "Plan Pięcioletni Związku Radzieckiego", do Kaplicy Zamkowej.

- Po cholere wy to przywieźliście, przecież ta wystawa nie jest aktualna, ten plan pięcioletni już dawno wykonano.

- A czy to nie wszystko jedno!, ciągnijmy dalej i już, taki mamy rozkaz pana Dyrektora.

- Ale te olbrzymie plansze nie zmieszczą się w kaplicy, jak będzie wyglądała ta wystawa!

Tu podeszła do nas moja żona, spojrzała na naszą robotę i wybuchnęła:

- Przestań Olek, bo się zmordujesz! i do tow. Urbaniaka: Czy Dyrekcja ma chociaż trochę sumienia. Któż to widział, żeby stary, chory człowiek musiał dźwigać tak ciężkie plansze; dlaczego M.P.Z. nie ma na ten cel żadnych funduszy, a inne Muzea Okręgowe mają. Pan też jest przemęczony, rzućcie to wszystko i chodźcie na kolację, w nocy kolejno będziemy pilnować tych skrzyń, a jutro może ktoś nam pomoże.

Po nieprzespanej nocy przystąpiliśmy w niedzielę do pracy, nikt nam niestety nie pomógł prócz słabej Herty. Młody i silny tow. Urbaniak wciągał cięższe plansze, my z Hertą lżejsze, mino to tak byłem zmęczony, jak nigdy w życiu. Ostatnia najcięższa plansza przedstawiała Józefa Stalina, wciągamy ją we trzech.

- Uf, do cholery ciężkiej!

- Spokojnie towarzyszu - hamuje mnie uśmiechnięty i zziąjany Urbaniak.

- Przecież powiedziałem tylko o tej planszy...

Z 79 plansz, stanowiących całość wystawy udało się ustawić tylko 24. Przyglądam się krytycznie ansamblowi wystawy i sugeruję tow. Urbaniakowi:

- Dlaczego ustawiliście Dojarkę obok Miasakombinatu. Precz z nią, można by ustawić ją obok Agromiasta, ale dziewczyna ma obdrapany nos; nie możecie zaprzeczyć, że uszkodzono ją w Szczecinie, a nie w Darłowie, musimy to zaprotokółować. Proponuję więc usunięcie jej z wystawy. Obok Agromiasta ustawimy Świniarkę, zaś przy Mięsokombinacie Owczarza w kaukaskim stroju.

- Uważam towarzyszu - oponuje Urbaniak - że tak Świniarkę jak i Owczarza należy ustawić obok Mięsokombinatu.

- Ależ zrozum człowieku. Mięsokombinat ma powstać na Kaukazie, a co tam jedzą, a szaszłyk, kochany towarzyszu, szaszłyk z baraniego mięsa!

Zachwycony tym wprost nieodpartym argumentem tow. Urbaniak ze słowami: "ale macie kepełę" przestawił plansze według mych wskazówek.

Niewystawione plansze ułożyliśmy na podłodze, jak również 25 olbrzymich, próżnych skrzyń. Po tej piekielnej pracy zacząłem znów szwankować na zdrowiu.

W końcu stycznia 1953 roku po powrocie z narady robotniczej w Dyrekcji M.P.Z. znów zachorowałem na wątrobę; atak trwał przeszło 12 godzin, tym razem zastrzyk morfiny podziałał zaspokajająco. Po trzech tygodniach pojechałem do Sławna na prześwietlenie. Zaczęto prześwietlać o godzinie 19.00. Pierwszeństwo miały dzieci i kobiety, czekałem przeszło 2 godziny. Ostatni pociąg do Darłowa odchodził o godzinie 20.20, po prześwietleniu nie miałem się gdzie podziąć i znajomi doktorzy pozwolili mi przenocować w dyżurce w Dziale Chirurgicznym. Przez trzy tygodnie odżywiałem się tylko kiełkiem, zaś ostatnie 24 godziny przed prześwietleniem nie jadłem nic. Znajoma pielęgniarka W. poczęstowała mnie chlebem i herbata; chleb był czymś posmarowany.

Rano poszedłem na dworzec, wykupiłem bilet do Darłowa; do odejścia pociągu pozostawało jeszcze 15 minut i tu nagle zaczął się atak. Po pół godzinie zabrało mnie pogotowie do szpitala, tam czekałem w korytarzu pół godziny na wolne łóżko. Młoda pielęgniarka S. ze wstrętem odwracała się od cierpiącego, jęczącego dziada.

Nareszcie zaprowadziła mnie do zimnego pokoju, w którym brakowało szyby i kazała mi się przebrać; atak trwał, drżałem na całym ciele, posadzka lodowato zimna. Z trudem rozebrałem się i włożyłem szpitalną koszulę; do pokoju weszła pocziwa sprzątaczką Piotrusia i patrzy ze zdziwieniem na mnie. Znałem tę dziewczynę z poprzednich pobytów w szpitalu.

- Kto tu zaprowadził pana, panie Tarnowski? Tu jest zimno jak w lodowni, wszyscy chorzy przebiegają się w cieplej sali, jakże można chorego człowieka wpychać do tej lodowni! Chodź pan ze mną, łóżko już jest gotowe.

Na salce mieści się 10 łóżek, dwa duże okna wychodzą na północ, podłoga betonowa, ze ścian leje się woda, kaloryfery grzeją słabo, w małym ustępie na zimnym korytarzu ciągle kolejka; na 20 osób jeden, ciągle psujący się sedes, umywalnia mieści się w nieogrzewanym pokoju - magazynie, wanny nie ma.

Zamiast dobrego doktora Granisza urzęduje tu sztywny dr H. Wizyta jego trwa 15 minut. Moimi sąsiadami są Wiceprzewodniczący P.R.N. pan Caban i ślusarz z Darłowa pan Kosmański. Podczas jednej z wizyt stary Kosmański, chory na ischias skarży się doktorowi na wilgoć w sali:

- Panie doktorze, dlaczego chorych na ischias i reumatyzm umieszcza się na tej samej sali wilgotnej, zimnej, pozbawionej słońca. Czuję się obecnie gorzej niż w domu; co jest z moimi nogami, panie doktorze?

Doktor obejrzał jego nogi i ironicznie powiedział: Ja nic nie widzę, ja widzę tylko brudne kolana! - i odszedł.

Pan doktor nie ma pojęcia o pracy pana Kosmańskiego, ten stary ślusarz często całymi dniami łązi na kolanach remontując maszyny, nie ma co się dziwić, że ma brudne kolana. Niestety w szpitalu nie ma ciepłej wody, w której by mógł umyć spracowane, brudne kolana.

Następnie pan doktor podchodzi do mnie, opowiedziałem mu o swej chorobie, o jej przebiegu; pan doktor głupio się śmiejąc zwraca się do moich towarzyszy ze słowami: "ten człowiek ma kobiecą chorobę". Nikt na sali na ten dowcip nie zareagował i tylko młoda, głupiotka pielęgniarka, chcąc się przypodobać panu doktorowi, głośno się roześmiała. Po kilku dniach pobytu w tej wstrętnej dziurze dostałem ataku. Wszyscy doktorzy byli na zebraniu. Poprosiłem sprzątaczkę Piotrusię o sprowadzenie doktora Granisza. Przybyłego doktora poprosiłem o zastrzyk morfiny, doktor nic nie powiedział; badał puls, wiedział, że mam słabe serce. Męcząc się okropnie powtórzyłem prośbę o morfinę. Doktor wstał i odchodząc kazał pielęgniarce zrobić zastrzyk. Zanim nadeszła pielęgniarka z morfiną atak nagle ustał i więcej się nie powtórzył. Zacząłem się poprawiać.

Dnia 5 marca dowiedzieliśmy się o śmierci Józefa Stalina, tego dnia było dużo odwiedzających chorych; wszyscy rozmawiali jeden przez drugiego. Jednemu chłopu żona przywiozła szynki, kiełbasy, masła, wina. Już zdrowy chłop zjadał, popijał i opowiadał sąsiadowi o swej smutnej przeszłości:

- Pracowałem z żoną w majątku pana Baczyńskiego. Ten pan latem już o godzinie 3 był na nogach, rządca widocznie nie dowierzał, bo wszędzie wścibił nosa sam. Za 15 lat pracy u tego pana zaoszczędziliśmy z żoną 250 złotych. Żona dziedzica była bardzo dobra; w wypadku choroby robotnika przychodziła do chorego z lekarstwami, pouczała jak trzeba leczyć chorego. Jednego razu jakem był chory na wątrobę, przyniosła nam nie tylko lekarstwa, lecz spory kawał masła, miodu i ugotowaną kurę. Dobra była pani, świeć Panie nad jej duszą! Zmarła ona w czasie okupacji na raka; rzycałem na jej pogrzebie jak wół. Panisko trzymał z Niemcami i z nimi też poszedł do Amerykanów. Potem zaczął opowiadać głupią anegdotę o Stalinie. Jeden biedny i bardzo pobożny chłop napisał list "do Pana Boga w Niebie". W liście tym prosił Pana Boga o nadesłanie 5.000 zł na budowę stodoły. Na poczcie długo zastanawiali się nad adresem, nareszcie jeden mądrał - urzędnik napisał na kopercie: "Stalin, Moskwa, Kreml". Stalin po otrzymaniu listu zwołał naradę, która postanowiła wysłać polskiemu chłopkowi 40000,- zł. "Chłopi są chciwi"- miał powiedzieć Stalin - i zawsze proszą o więcej niż im potrzeba. Chłop dostał 4.000,-zł, a zauważywszy pieczęć "Moskwa, Kreml" napisał do

Pana Boga drugi list, w którym się skarżył: "Panie Boże, zamiast 5.000,- zł otrzymałem tylko 4.000 zł. Proszę w przyszłości nie wysyłać przez pośredników, bo mi skradli całe 1.000,- zł!"

Naprzeciwko siedzą trzy młode kobiety przy chorym kolejarzu. Żona kolejarza opowiada:

- ... Czulałem się okropnie. Pocę się i pocę się a serce wali: pikum, pakum, pikum, pakum. Przyjechałam do Leopoldowa, wypitałam tylko szklanek mleka, a szklanka mleka kosztuje tam 20 zł i prosto do księdza. W kolejce stało bodajże do 100 osób, ale poszło dosyć szybko; za jakieś 4 godziny już stałam przy świętym człowieku, wrzuciłam 20 złotych do puszeki, pocałowałam jego świętą rękę, spojrział na mnie tak, że cała zadrżałam, a serce kołacze: pikum, pakum, pikum, pakum. Kobieto - mówi święty człowiek - dolega ci serce, nie prawda? Tak, proszę Ojca Duchownego! - odpowiedziałam prawie szeptem, bo byłam bardzo wzruszona. "Masz dużo kłopotów z małymi dziećmi, zaś mąż twój - kolejarz zarabia tylko 700 złotych".

- Tak ojciec duchowny, święta prawda! - mówię płacząc.

- Nie płacz, nie martw się, ufaj Bogu, a wyzdrowiejesz ! To powiedziawszy zaczął pisać receptę, a ja stoję drżąc, nie mogę powstrzymać płaczu, a serce wali: pikum, pakum, pikum, pakum... Wzięłam receptę, przylgnęłam do jego świętej ręki i nie mogę się oderwać, a tu weszła już jakaś elegancka, ubrana pani i wrzuciła 10 zł do puszeki, święty człowiek coś jej zarzucił, ale nie słyszałam dokładnie co. Dopiero później ludzie mówili, że to jakaś milionerka, a ofiarowała tylko 10 złotych, więc święty człowiek, który jest wszechwiedzący powiedział do niej: "masz w kieszeni 1.000 złotych, a ofiarowałaś na biednych tylko 10 zł. Bogaczka przeliczyła swoje pieniądze i rzeczywiście miała przy sobie akurat 1.000 zł i skruszona, płacząc wrzuciła całe 1.000 zł do puszeki.

Powróciwszy do domu udałam się do apteki, pokazałam receptę i otrzymałam cudowne ziółka, piję je trzy razy dziennie i po trzech tygodniach kuracji czuję się zupełnie zdrowa, pracuję i wcale się nie pocę.

Zdrzemnałam się trochę, ale jedna z tych kobiet opowiadała za głośno jakąś bujdę, więc znów się obudziłam.

- ... straszny tłok, w Stargardzie jedna kobieta zdejmuję z półki papierowy worek, w którym miała 5 kg maki. Worek pękł i mąka spadła na kolana jednego, eleganckiego pana. Poszkodowany zaczął niezgrabnie usuwać mąkę ze swych drogich, czarnych spodni, ale nic z tego, zawalał je całkowicie. Poprosił grzecznie sąsiadów, by na chwilę opuścili przedział. Zamknął drzwi, zdjął spodnie i zaczął je wytrząsać przy otwartym oknie, ale widocznie za słabo je trzymał, bo wiatr je porwał frui i nie ma. Ogólny śmiech słuchaczy; głosy: "no i co dalej".

- Jedna przystojna panienka zlitowała się nad nim, wypożyczając mu swoje narciarskie spodnie, które miała w walizce. Dojechawszy do Szczecina pojechali razem taksówką kupować spodnie temu panu... [...]

Przed opuszczeniem szpitala otrzymałem orzeczenie lekarskie, przyznające mi 28-dniowy pobyt w sanatorium. Dnia 19 marca 1953 roku przyjechała po mnie żona, opuściłem mury szpitalne po raz trzeci. Idziemy na dworzec, w drodze spotykamy szereg wozów załadowanych dopiero co wykopanymi burakami i kartoflami.

Niektóre PGR-y nie zdążyły je wykopać we właściwym czasie, więc wykopuje je się teraz. Przysłowie mówi: "Co kraj to obyczaj". Podobno buraki i kartofle tylko nieznacznie ucierpiały pod śnieżną pokrywą.

Dwa miesiące po wyjściu ze szpitala zachowywałem ścisłą dietę; byłem bardzo słaby. Nasz miły i dobry dr Mucha powiedział mi, że od czasu do czasu wolno mi skonsumować kawałek chudej, ugotowanej szynki. Ucieszyłem się jak dziecko, bo po ryżu, mleku i kaszce mannie, nazywanej tu z niemiecka "grysik" byłem porządnie wygłodzony. W sklepie rzeźnika p. P. stało w ogonku kilka kobiet, były to przeważnie dobre znajome pani P.

- Dla pani szyneczki? - pyta się grzecznie pani P. - Woli pani tłustą czy chudą?

Okazało się, iż wszystkie panie wołały chudą. Podchodzę i proszę o 25 deka chudej szynki, ale oburzona pani P. zaczyna mnie strofować:

- Wszyscy chcą mieć chudą, trzeba żeby ktoś jadł i tłustą i odkroiła mi kawał samego tłuszczu.

- Proszę pani, mnie nie wolno jeść tłustej szynki, jestem chory na wątrobę.

- A kto będzie jadł tłustą?
- A pani znajome nie mogą jeść tłustej?

Powiedziawszy to opuściłem sklep. Na szczęście spotkałem na ulicy znajomą panią K., która miała fory u pani P. i w ten sposób zdobyłem kawałek chudej szynki. Wszyscy wiemy, że niektórzy rzeźnicy naszego miasta rezerwują towar dla miejscowych znakomitości i dobrych znajomych. Ci ostatni nie potrzebują stać w kolejce; przygotowane dla nich paczuszki leżą pod ladą. To samo dzieje się i w innych branżach handlu uspołecznionego. Taki patałach jak ja nie dostanie tak zwanych towarów atrakcyjnych. W większej części darłowskich sklepów obowiązuje zasada: "Do ut des" /daję, żebyś też dał/.

Cierpią na tym mało zarabiający robotnicy i urzędnicy. Ci właśnie wydziedziczeni, na których kupcom wcale nie zależy, mogą nabyć towary atrakcyjne tylko od przekupniów i oczywiście płacą za nie znacznie drożej. Nie inaczej jest w sklepach GS na wsi. Będąc na urlopie zauważyłem, że biedny chłop i robotnik nic w tych sklepach nabyć nie mogą prócz gatunkowych wódek, drogich papierosów, kaszy i soli; "atrakcyjna" zwykła wódka, tańsze papierosy i rzadkie towary ulatniają się w tajemniczy sposób zaraz po przyjeździe towaru, a więc często jesteśmy świadkami paradoksu: zamożny chłop, którego stać na droższe papierosy, ęmi "sporty", zaś biedak pali drogie papierosy!

Od roku 1947 mam wielkie kłopoty ze strażą pożarną. Z początku kontrolował gaśnice Ob. N. - przedwojenny strażak; po jednej z takich kontroli skonstatowałem, iż pan N. przywłaszczył dwie moje gaśnice i podobno sprzedał je Fabryce Sieci. Potem liczni ze Sławna i Darłowa przyjeżdżali, pouczali jak należy używać gaśnicy, każdy z nich zapewniał, że tylko on ma prawo przeprowadzenia kontroli, tylko on jest kompetentny w tej dziedzinie, inni zaś są samozwańcami, oszustami, pokazywali papiery stwierdzające, że mają prawo kontrolować wszystkie zakłady pracy. Część tych strażaków pozamykano i odebrano im prawo kontroli gaśnic. Walczyłem z tą zgrają i nie dawałem się nabierać. Nie mniejszy kłopot i zmartwienie mam w okresie letnim z młodocianymi złodziejami, kradną oni nie tylko owoce i warzywa, lecz po roku 1956 także i kwiaty, skonstatowałem, że pobożne dzieci zanoszą skradzione kwiaty do kościoła. [...]

Po trzytygodniowym pobycie w Szczawnie wracałem do domu znacznie silniejszy, podreperowany. Po pracy często wybierałem się do sąsiednich wsi, gawędziłem ze spółdzielcami i indywidualnymi gospodarzami. Sporo zabudowań na wsi chyli się ku upadkowi; część gospodarskich budynków pokrytych słomą znajdują się w opłakanym stanie, od lat nie reperowane dachy wałają się, wiatr szarpie i zrywa resztki starej, przegniłej słomy. W Żukowie wszedłem do dobrze zabudowanego kwadratowego podwórza; narzędzia i maszyny rolnicze stoją pele-mele po środku podwórza przy gnojówce. Zaczął padać rześisty deszcz.

- Panie gospodarzu - mówię do stojącego w drzwiach chłopca - dlaczego nie wepchniesz pan tych narzędzi do szopy, pada deszcz, szkoda tych maszyn, masz pan dobrą, obszerną szopę.
- Szopa przecieka - odpowiada apatycznie gospodarz.
- Dach szopy jest w dobrym stanie, przecieka tylko w jednym miejscu, o widzi pan, tu wystarczy jeden snopek słomy by załatać tę dziurę.
- Ech, czy warto, i tak przyjdą Niemcy!
- Gospodarzu, jestem starym człowiekiem, doświadczonego i nie głupim, rozumie pan? Zapewniam pana, że Niemcy nigdy tu nie wrócą; niech pan nie wierzy niemieckiej propagandzie w BBC i "Wolnej Europie" - mówię do chłopca podenerwowany i zły.
- Może ma pan rację - mruczy chłop - jutro załatam przeciek i wstawię tam narzędzia rolnicze.
- Widzi pan jak leje; ciągnij pan kosiarkę pod szopę, ja pomogę!

Wciągnęliśmy kosiarkę, pług, grabie.

- A żniwiarki nie masz pan?

- Żniwiarkę pożyczyłem sąsiadowi, a on ją zepsuł i nie ma kto naprawić, bo nie ma części. Pan się do mnie przyczepił, a zajrzyj pan do spółdzielni; tam maszyny miesiącami marnują się na polu. W Domasłowicach uwagę moją zwróciła świeżo pomalowana fachowo i akuratnie pokryta świeżą słomą chałupa. Wchodzę na podwórze; wszystkie zabudowania w najlepszym porządku, podwórze czyściutkie, doprawdy przyjemnie patrzeć! Zdecydowałem się wejść do chałupy i znów byłem

przyjemnie zaskoczony; wszędzie czystość i porządek, rodzice i czworo schludnie ubranych dzieci siedzą przy suto zastawionym stole /było to w niedzielę/, cała masa pieczonego mięsa, zwoje kielbasy, ciasto i piwo własnej produkcji. Pochodzący z rzeszowskiego rodzice narzekają, że dzieci nie mają apetytu, nic nie chcą jeść.

- Jak ja byłem mały - mówi gospodarz - to jadłem kielbasę i ciasto kilka razy w roku, zaś moim dzieciom przejadło się to wszystko. Czasy się zmieniły.

- A ile macie gruntu, panie gospodarzu?

- Siedem ha, więcej nam nie trzeba.

- Ślicznie tu u państwa, wszędzie ład i porządek, widać, że z pana dobry gospodarz.

- Połowa naszych gospodarzy w ogóle nie są rolnikami, nie mają pojęcia o pracy na roli, część ich wyzbyła się gospodarstw i przeniosła się do miasta. Prawdziwy gospodarz nie ucieka ze wsi.

- Co pan sądzi o gospodarce zespołowej?

- W spółdzielniach jest rozmaicie; jeżeli zespół jest pracowity, zgrany to wszystko w porządku, ale takich spółdzielni w naszym powiecie nie ma tak dużo. W niektórych spółdzielniach są prócz prawdziwych, pracowitych rolników harujących od świtu do nocy łaziki, pijaki, oczywiście z takich spółdzielni państwo nie ma żadnego pożytku. Przyjeżdżają do nas młode chłopaki z partii, namawiają na te spółdzielnie, obiecują złote góry, a sami nie mają pojęcia o rolnictwie. Wychodzi na to, że jajko chce uczyć kurę. Wszyscy chłopci za wyjątkiem kułaków są za Polską Ludową, ale nie można tak na gwałt zaprowadzać spółdzielnie. Może ta zespołowa gospodarka jest dobra, ale trzeba ją organizować powoli, rozsądnie, a nie na gwałt. Przecież nie od razu Kraków zbudowano.

Moim zdaniem chłop mówił bardzo rozsądnie. W międzyczasie dzieci wzięwszy na zapas spory kawałek kielbasy wybiegły na ulicę.

Tak - myślę sobie - czasy się zmieniły; za moich lat dziecinnych naszym chłopskim dzieciom na Litwie cukierek albo obarzanek sprawiał wielką radość, a teraz chłopskim dzieciom takie łakocie wcale nie imponują.

Przed wyborami do sejmiku i rad narodowych chłopaki latają jeden za drugim i przyklepiają byle gdzie i byle jak afisze z odpowiednimi sloganami. Wiatr prawie natychmiast zrywa byle jak przyklepione afisze. Przed Zjazdem Zjednoczeniowym zebrałem na dziedzińcu, zamkowym nie mniej, nie więcej tylko 30 takich afiszów! Co za marnotrawstwo!

Mury naszego miasta "ozdabiają" olbrzymie, koślawe napisy w rodzaju: "3 razy tak", "Wybieramy na Zjazd Zjednoczeniowy najlepszych aktywistów", "Pamiętajcie o wyborach, głosujcie na listę Frontu Narodowego", "Najlepsi synowie i córki jadą na złot" etc.

W maju 1954 roku na ogólnym zebraniu partyjnym prosiłem o usunięcie tych, szpecących nasze miasto napisów, nazajutrz po zebraniu te slogany zostały zmyte albo zamalowane, dzięki tej akcji miasto przybrało przyzwoity wygląd.

Latem 1955 roku zaangażowałem w charakterze sprzątaczkii Niemkę Martę Kruckow. Umiała ona po polsku zaledwie kilka słów jak: "chleb", "woda", "dobrze", "nie ma", "do widzenia", a jednak jakoś się porozumiewała z nieznanymi niemieckiego polskimi dziećmi, które bardzo kochała i częstowała je cukierkami, mrucząc dobrotnie: "o, ihr meine aussen Kinderlein, o ihr unschuldigen Lämmlein!".

Marta Kruckow wyglądała na zwykłą polską babinę ze wsi, często też idące lub wracające z Ośrodka Zdrowia Polki "rozmawiały" z zamiatającą podwórza cicią Martą. Słyszałem pewnego razu, następującą rozmowę na podwórzu zamkowym:

- Wie pani, że mamy tyle letników, że zabrakło chleba w piakarniku - mówi Polka.

- Nie ma chleba! - odpowiada, kiwając twierdząco głową ciocia Marta.

- Najlepszy chleb ma Piotr.

- Tak, Peter dobsze!

- Pójdę już, powiadają, że można za pół godziny dostać chleb u Rosika.

- Chleb jutro, do widzenia!

- Niech pani nie żartuje, do jutra czekać nie mogę, bo w domu nie ma ani kawałka.

Wesoła, uśmiechnięta ciocia Marta krzyczy jeszcze raz: "chleba nie ma, chleb jutro!".

Pewnego letniego dnia pracowaliśmy w biurze; Herta obliczała kasę, Marta szorowała podłogę, a ja robiłem miesięczne sprawozdanie. Nagle słyszemy niesamowity trzask, zdawało się, że obalił się w "Komorze Strachu" jakiś ciężki przedmiot, wyraźnie słyszeliśmy brzęk tłuczonego szkła.

- Ach, psia krew - krzyczę w rozpacz - coś się przewróciło i stukło w "Komorze Strachu"!

Lecimy tam wszyscy, lecz wszystkie obiekty stały na swoim miejscu.

- Lećcie na górę do Biedermeier i Etnografii, a ja skoczę do sal na skrzydle wschodnim - rozkazałem łamiącym się z trwogi głosem.

Skonstatowaliśmy, że wszystkie przedmioty stały na swoim miejscu, wszystkie okna i drzwi były zamknięte. Marta Kruckow mówi nieśmiało:

- Proszę pana dyrektora, nie chciałam mówić o tym panu, ale teraz, ponieważ pan sam słyszał te trzaski powiem panu, że ja już kilka razy to słyszałam, sprząając górne sale, ale prócz trzasku przewracających się mebli i brzęku tłuczonego szkła wyraźnie słyszałam śmiech i jakiś krzyk w niezrozumiałym dla mnie języku, coś w rodzaju "dejnog".

Co do diabła! Marta Kruckow powtarza to, co kiedyś mówił Karl Rosenow. Co za złudzenie, chyba kawały odstawia akustyka, mamy w zamku tyle wąskich schodów średniowiecznych, tyle podwójnych murów; kto to wszystko zbada! O jej, nie jestem mądrzejszy od cioci Marty Kruckow.

Pani dyrektor Muzeum Pomorza Zachodniego miała zamiar zorganizować dział sztuki sakralnej w byłej Kaplicy Zamkowej i przynaglała do remontu t.j. pobielenia wapnem tej kaplicy.

W marcu 1955 roku pogoda była mroźna, z tego powodu mimo nalegań Dyrekcji rozpocząłem remont dopiero w pierwszej połowie kwietnia. Trwała nadal zimna pogoda; w nocy świeżo pobielone ściany pokrywał szron.

Remont przeprowadzony wczesną wiosną przyczynił się do zwiększenia wilgoci w kaplicy; w pewnych miejscach pokazał się grzyb. Prócz kaplicy pobielono również przedpokój Sali Audiencjonalnej i była aptekę na baszcie. Prace ukończono dnia 18 kwietnia. Dyrekcja M.P.Z. w Szczecinie według umowy miała wypłacić robotnikom w 10 dni po wykonaniu zleconej pracy. Lecz już po upływie 5 dni od chwili ukończenia robót zaczął mnie na ulicy pijany murarz K.

- No i gdzie są pieniądze? Ja jestem proletariuszem, ciężko pracuję, a wy dygnitarze sanacyjni nic nie robicie, siedzicie itp... przy biurku, darmozjady, oszuści, pasożyti! Dawaj pieniądze dziadu, bo ci bebechy wypruję!

Zwykle spokojny i stateczny murarz dostał wprost ataku furii. Na szczęście wybiegła z mieszkania jego żona, razem uspokoiłiśmy wściekłego proletariusza. W dwa dni po tym zajściu robotnicy otrzymali należną im kwotę.

Po wytrzeźwieniu K. rozmawiał ze mną bardzo grzecznie i przeproszał za awanturę wszczętą przez niego w stanie zamroczenia.

W maju 1954 roku kupiłem w Samopomocy Chłopskiej 4500 używanych dachówek po specjalnej cenie 0,65 sztuka. Po tygodniu przybył pan konserwator wojewódzki i oświadczył dyrektorowi G.S. Samop. Chłops., że nie życzy sobie żeby mu robiono łaskę i zapłacił za dachówki po 0,85 sztuka.

Chciałem przystąpić do remontu dachu skrzydła basztowego, w tym celu zwróciłem się do dwóch uspołecznionych firm, lecz otrzymałem od nich odpowiedź odmowną. Zgłosił się do nas prywatny dekarz i wyraził gotowość przeprowadzić remont dachu na akord za 15 tysięcy złotych; konserwatorowi nie wolno zlecać roboty na akord, zaproponował więc dekarzowi engagement na nieokreślony czas za wynagrodzeniem miesięcznym 1400 złotych. Dekarz Orzechowski zarabiający rzekomo 2.400 zł miesięcznie w jednostce wojskowej propozycję odrzucił. Pan konserwator kazał mi zakupić tonę wapna i pół tony cementu i odjechał, obiecując przysłać swoich dekarzy z Koszalina. Rzeczywiście po paru dniach zjawił się w Muzeum młody dekarz przysłany przez konserwatora wojewódzkiego.

- Kierowniku - mówi dekarz - jutro sprowadzamy się do Muzeum, jest nas pięciu młodych murarzy, konserwator powiedział, że mamy zamieszkać w zamku w pokoju gościnnym. Wesoło tu będzie, kierowniku! sprowadzimy sobie dziewczynki, będziemy z nimi wywijać i bawić się w pysznych salach, a pan jeżeli będziesz grzeczny też popijesz czasami z nami.

- A gdzie pan pracował przed tam - pytam wesoło murarza.

- Siedziałem rok w więzieniu za pobicie milicjanta, zwolnili mnie w przeszłym tygodniu, a konserwator zaangażował mnie i moich kumpli do pracy w Muzeum. Prowadź mnie już pan do tego pokoju, chcę obejrzeć tę budę. A propos, musimy mieć własny klucz do Muzeum, bo mamy cudną pogodę, będziemy wieczorami wałęsać się z dziewczynkami nad morzem, nie potrzebujemy zrywać się do pracy przed godziną dziewiątą, praca nie zajac nie ucieknie, nie prawda stary?

- W muzeum postronnym osobom mieszkac nie wolno. Jako kierownik odpowiedzialny jestem za każdy przedmiot - proszę to wytłumaczyć Ob. konserwatorowi. W Darłowie mamy hotel PTTK dla czego nie moglibyście tam zamieszkać.

Wesołek odjechał, konserwator więcej nikogo nie przysłał i sprawa remontu przeciekającego dachu upadła. Zakupione dachówki leżą dotychczas niewykorzystane; dachy zabytkowego Zamku Piastowskiego niszczeją. W roku 1955 można je było naprawić za 15 tysięcy złotych, zaś w roku 1958 jeżeli WRN w Koszalinie zdecyduje się przeprowadzić remont, koszty wyniosą około 75 tysięcy!

Na początku września 1955 roku wyjechałem na urlop. Będąc w Warszawie zaszedłem po raz pierwszy do Komitetu Centralnego PZPR; chciałem poinformować się tow. tow. Wydziału Zagranicznego co do możliwości zatrudnienia mnie gdziekolwiek w charakterze tłumacza; znam słowiańskie, germańskie i romańskie języki, mówię nie najgorzej po turecku. Zadzwoiłem do kilku towarzyszy, lecz wszyscy odpowiedzieli, że są bardzo zajęci i przyjąć mnie nie mogą, radzili mi się zwrócić do Komitetu Wojewódzkiego w Koszalinie.

Przystanąłem na schodach "naszego domu" i paląc papierosa przyglądałem się ruchowi na Nowym Świecie i Alei Jerozolimskiej, wtém zauważyłem wychodzącego z hallu uśmiechniętego Tubię Nusbauma, z którym weszliśmy razem do K.C.

- No i co załatwili was towarzyszu - pytam Nusbauma.

- Naturalnie. Widzicie ubrany jestem jako proletariusz, powiedziałem tym młodym towarzyszom co rejestrują wchodzących, że chcę się dostać do tow. P., podali mnie jego numer, ale ja nie frajer; powiedziałem im, że nie umiem telefonować, nu wtedy jeden z młodych urzędników zatelefonował i w porządku. Opowiem wam o co chodzi, skrzywdzili mnie strasznie...

- Czekajcie, może zajdziemy do restauracji na Mokotowskiej, tuż za Placem Trzech Krzyży, tam sobie pogadamy.

Wypiliśmy po 100 gram, przekąsiliśmy i Tubia zaczął opowiadać!

- W roku 1946 wróciłem do Warszawy z więzienia w Rosji i założyłem sobie sklep z obuwiem, interes szedł mnie świetnie, ale w roku 1949 okrzyczano mnie spekulantem, zamknęli mi sklep i wygnali z Warszawy do Wałbrzycha; pracowałem tam jako kamasznik, ale w tym roku znów się do mnie przyczepili i kazali mi pracować w odlewni, a ja mam słabe serce, o widzicie tu mam lekarstwo. Tu pokazał mi jakąś flaszkę. - Nu, ja wtedy się wściekłem i majstrowi, który się do mnie przyp... dałem w mordę! Oj, co za gwałt, wszyscy rzucili się na mnie, że jestem leniem, bumelantem, symulantem, nie wierzą dranie, że mam chore serce i nareszcie podali mnie do sądu. I za co, proszę ja Was? Gdzież tu sprawiedliwość? Właśnie w tej sprawie rozmawiałem z tow. F. Powiedział, że za 7 dni moja sprawa będzie wyjaśniona. Dostałem od tow. F. 120 zł na podróż powrotną, ale wolę za te pieniądze kupić sobie jakieś kapcie, albo przepiję je i już. Bo wiecie, co wam powiem, ja biletu nie kupuję, podróżuję bez biletu.

- Jak to bez biletu?

- Ano tak; przychodzi konduktor sprawdzać bilety, a ja mu mówię po prostu: "pisz pan, rób co chcesz, biletu nie mam i pieniędzy nie mam". Niech sobie pisze - śmieje się Tubia. - Powiedz pan, co mnie mogą zrobić? Gównu! [...]

Druga połowa zimy 1955-1956 była surowa. Od stycznia nie mieliśmy wody, co dzień przynosiłem od sąsiadów 4 kubły, zlew i ubikacja "zawiesiły czynność". W końcu marca rury kanalizacyjne popękały, woda zalała składnicę i część Działu Przyrodniczego. Na Wielkanoc poszedłem do kościoła na Rezurekcję. Przychodzę do domu w uroczystym nastroju, nucę pieśń wielkanocną "Wesoły nam dziś dzień nastał...". Zaczynamy spożywać Święcone, żona posłała do kuchni i wraca przerażona - z krzykiem: "Co się dzieje człowieku? Czy ty to do zlewu...". Biegnę do kuchenki i oczom moim przedstawia się ohydny widok; zlew napełnia się stopniowo nieczystościami,

zrucam świąteczne ubranie, wkładam roboczą kurtkę i lecę z drągiem do szamba, z trudnością odsuwam masywną, betonową przykrywę i zaczynam manipulować drągiem w zamarzniętej rurze. Po pewnym czasie z rury wyleciał spory kawał brudnego lodu, przybiegła rozradowana żona do mnie z radosną wiadomością; nieczystości ze zlewu znikły. W pocie czoła manipuluję dalej, lecz bezskutecznie. "Czekaj ty psia krew, widzę, że cię mocno zatkało, ale ja ciebie rozetkam, zastosuję inną taktykę, zaatakuję w sposób efektowniejszy" - wykrztusiłem zziębnięty i zroszony potem. Przyniosłem od sąsiadów siedem kubłów wody i wlałem ją do muszli na piętrze. Zbiegłem na dół, schyliłem się i drągiem zacząłem dłubać w rurze. Nagle z trzaskiem wyleciała z rury ogromna bryła lodu, a za nią burzliwie spłynęły nieczystości. Za nisko się schyliłem, nie zdążyłem wyprostować i zostałem pokropiony, lecz nie hyssopem... Merde alors... Wsparłem się dumnie na żelaznym dragu i tryumfalnie wykrzyknąłem: "hurra, zwycięstwo! Kierownik Muzeum w Darłowie dał sobie radę z g...". Nie darom goworitsa, czto dieł mastiera boitsa. Wesoły nam dziś dzień nastał...

Umyłem się, włożyłem świąteczne ubranie i usiadłem znów z żoną przy stole, zaś po południu zacząłem po raz trzeci czytać "Noce i dni" Marii Dąbrowskiej.

Latem roku 1956 miałem bardzo dużo pobożnych zwiedzających. W byłej kaplicy zamkowej mam piękną, zmontowaną przez pracowników Pracowni Konserwatorskiej i Zabytków w Krakowie, barokową kazalnicę z I-ej połowy XVII wieku, ogromny krucyfiks z XIV wieku oraz kilka świątków. Widziałem kilkakrotnie kobiety i mężczyzn klęczących przed drewnianym gotyckim krucyfiksem, albo przed amboną, byli to przeważnie ludzie ze wsi w starszym wieku.

Wielu studentów zwiedzających muzeum w lipcu i sierpniu 1956 roku opowiadało mi o swoim rozczarowaniu i psychicznym załamaniu się z powodu ujawnionych błędów i wypaczeń na 20--tym Zjeździe.

Polemizując z nimi wspominałem o ciężkim losie studentów za carskich czasów, jak również w okresie międzywojennym. Dyskusję naszą przerwała jakaś staruszka ze wsi - weszła nagle zapłakana i mówi:

- Proszę pana, byłem w kaplicy, modliłam się klęcząc przed Męką Pańską i wyraźnie spostrzegłam, że Pan Jezus się poruszył i kiwnął mi ręką...

- Niech pani nie opowiada bzdur, przede wszystkim nie jest to kaplica lecz Dział Sztuki Sakralnej.

- Przysięgam na Pana Jezusa - twierdzi staruszka - że krucyfiks się poruszył.

Idziemy wszyscy do kaplicy. W kaplicy jeden ze studentów zauważył kawałek drutu przywiązanego do krucyfiksu, ktoś schowany za drzwiami musiał pociągnąć za ten drut, gdy rozmodlona staruszka przy nim klęczała.

Niebawem też znaleźliśmy w kruchcie wnuka staruszki, który schował się w kruchcie za starym ołtarzem. Chłopak się przyznał, że był promotorem tego miraculum. Staruszka mimo wszystko wierzyła niezachwianie, że Pan Jezus kiwnął jej rączką. Niech pani zwiedzi inne sale, są tam naprawdę piękne rzeczy.

- A co mi tam po tych starych gratach. Ja muszę opowiedzieć czego doznałam księdzu proboszczowi. I staruszka z ośmioletnim wnukiem poszła na plebanie, a myśmy wrócili do biura i dyskutowali dalej, tym razem o teatrze i kinie radzieckim. Jeden ze studentów zapytał mnie: A może pan Dyrektor widział film radziecki /nie pamiętam tytułu/, w którym zakochana para Osetynów po przezwyciężeniu różnych przeszkód, które stały na ich drodze do szczęścia, stanęli na gór szczycie, i co ujrzeliśmy zamiast spodziewanych uścisków i pocałunków. Młodzieniec zapatrzonej w dal mówi: "Widzę gwiazdy Kremla", zaś biedna narzeczona patrzy na niego jak na wariata i szkoda, że nie zdobyła się na to, by tego bałwana z góry zepchnąć, niechby się zatłukł na śmierć. Oj mówię panu, co za obłudna pruderia...

Po ósmym plenum w Darłowie zapanował podniosły nastrój. Z odnowy cieszyli się wszyscy. Nie brakowało niestety również i zjawisk ujemnych. Robotnicy i chłopci zapełniali knajpy, czasem po pijanemu wszczynali awantury. Aktywnych PZPR-owców i byłych urzędników bezpieczeństwa nazywano pogardliwie stalinowcami. Znaczna część członków partii dobrowolnie opuściła jej szeregi. Nastąpił zryw uczuć religijnych. Z odnową naszego życia wzmogła się niechęć części społeczeństwa do Związku Radzieckiego.

W grudniu 1956 roku wracając z narady z Koszalina czekałem przeszło godzinę w świetlicy dworcowej w Sławnie na pociąg do Darłowa. Radio ryczało szlagiery N.R.D., potem jedna pani - nauczycielka z jednej wsi pod Sławnem - przekreśliła gałkę. Słyszemy głos: "nadajemy Szeherazadę kompozytora rosyjskiego Rimskij-Korsakowa". I ta pani ponownie przekreśliła gałkę.

- Dlaczego pani to zrobiła? - zapytałem nauczycielkę.

- Bo ludzie nie chcą słuchać muzyki radzieckiej.

- Ależ proszę panią, Rimskij-Korsakow zmarł przed Rewolucją Październikową.

- Ludzie nie chcą słuchać rosyjskiej muzyki - mówi uparta nauczycielka.

- Chcą, chcą proszę pani, sam marszałek Piłsudski chętnie słuchał Szeherazady! - powiedziałem na chybił trafił.

- O jeżeli tak, to proszę bardzo! - i nastawiła radio na Szeherazadę.

Jeden starszy pan, zdaje się nauczyciel powiedział:

- A teraz niechże pani odejdzie stamtąd i nie przeszkadza; pewny jestem, że nie ma pani pojęcia o muzyce Korsakowa, Czajkowskiego, Glinki, Borodina. Pani nie rozumie, że dobra muzyka jest skarbem międzynarodowym.

Zawstydzona nauczycielka opuściła świetlicę.

Tragedia węgierska... W "Nowej Kulturze" /"Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!"/ ujrzałem podpisy chyba wszystkich naszych literatów partyjnych i bezpartyjnych, protestujących przeciwko obcej interwencji na Węgrzech. Czytam "Przegląd Kulturalny", "Życie Literackie", "Przekrój" i inne tygodniki i nic nie rozumiem. Ojej jak się to wszystko "powykręcało". Wszyscy przeklinają Stalina. I ci wykształceni w ZSRR i ci co tam jeździli "na pokłon" i ci ultra czerwoni, dla których Polska była piątym kołem u wozu. Wszyscy się prześcigali w wyrażaniu uczuć patriotycznych i rozdzielali brudne giezła na przyszczatych piersiach. Wynikałoby z ich obecnej postawy, iż cała ich poprzednia twórczość była po prostu lipą, a może byli naprawdę szczerzy i dopiero po naszym październiku zaczynają odstawiać lipę. Kto ich tam wie: "Czużaja dusza ciemna".

Nasi reporterzy w Budapeszcie tak bezpartyjni jak i ci z legitymacją partyjną w kieszeni stali wyraźnie po stronie Nagy i Komitetu w Gyor; wbrew doniesieniom prasy komunistycznej innych krajów o okrucieństwach salaszistów, twierdzili oni, że prócz "avoszów" powstańcy nikogo nie zabijają. Odwiedzali oni nie tylko Maletera, lecz także opryszka Dudasza.

Tragedia węgierska odbiła się szerokim echem i w Darłowie, nasze obywatelki żywo komentowały przemiany polityczne w bratnich Węgrach:

- Ach moja pani, co oni wyprawiają z biednym Nagym !

- Kto?

- Wiadomo kto, Ruskie wygnali Nagiego na Syberię, on przecież tam zmarł !

- Jugosławia nie pozwoli! - powiedział chytrze uśmiechnięty młodzieniec w studenckiej czapce.

Zdezorientowany, pstrokaty "Głos Koszaliński" nie wie jak ustosunkować się do "Rządu Kadara". A zagranica szaleje ! Miasto Nancy we Francji przygotowuje się do uroczystego przyjęcia "heros hongrois". Według radia Paris sam pan prefekt departamentu Meurthe et Moselle ma przemówić do przybywającej grupy uchodźców węgierskich. Robotnicy polscy, którzy pracowali we Francji w okresie międzywojennym wiedzą co są warte obłudne powitania panów wojewodów i starostów francuskich. Niestety są jeszcze ludzie naiwni, wierzący w szczerłość i gościnność panów prefektów.

Na początku marca 1957 roku przyszedł do mnie stary inwalida, Niemiec, stróż kościoła św. Gertrudy. Użytkownikiem tego zabytkowego kościoła od paru lat jest Zbór Ewangelicki.

- Panie - mówi wzruszony Niemiec - koło kościoła zebrało się około 15 wyrostków polskich z wiatrówkami i procami i wybijają w kościele szyby, niech pan wypędzi tych łobuzów, bo ja ich się boję. Mein Gott, w przyszłą niedzielę u nas ma się odbyć w tym kościele ślub.

Pospiesznie się ubrałem i wyruszyłem na cmentarz, gdzie znajduje się ten zabytkowy kościółek, prawie kilometr od drogi od zamku do Gertrudy przebyłem w minut 15 - czasie rekordowym w moim wieku. Chuligani wybijali już ostatnie szyby. Byłem oburzony, zgorszony, zawstydzony, zdyszany. Zacząłem wymyślać w sposób niekulturalny, hałastra się rozleciała. Weszliśmy do kościółka, oczom naszym przedstawił się smutny widok; na podłodze i ławach pełno szkła i kamieni, na ścianach ślady

po przeklętych wiatrówkach. Na szczęście CZMiOZ nie pozwolił konserwatorowi wojewódzkiemu na przeniesienie zabytkowej ambony z zamku do św. Gertrudy, można sobie wyobrazić jak by wyglądała po barbarzyńskim bombardowaniu z wiatrówek i proc ta piękna ambona! Sprzątnęliśmy ze starym inwalidą zbezczeszczony kościółek - prawdopodobnie fundację króla i księcia Eryka I. Zameldowałem o barbarzyńskim napadzie na świątynię MO.

- Zna pan nazwiska chuliganów? - pyta się komendant.

- Niestety nie znam, łobuzy spostrzegli moje zbliżenie się i rozpierzchli się.

- W takim razie nic zrobić nie możemy, niech pan wpierw dowie się kto rzucał kamienie, a wtedy zobaczymy.

Idę do kierownika Szkoły Podstawowej. Kierownik wysłuchał mnie i powiedział:

- Nic panu poradzić nie mogę, my również mamy wybite szyby, ach, te przeklęte wiatrówki! - dodał smutnie kierownik

Udałem się do księdza prefekta i prosiłem go przemówić do dzieci w szkole żeby zaniechały niszczenia zabytków i w ogóle dobra publicznego. Interwencja księdza prefekta wpłynęła hamująco na wybryki młodocianych urwipolców.

Dnia 10 marca 1957 roku moje Niemki - pracownice Muzeum odjechały na zachód do rodziny.

Czy uda mi się po ich wyjeździe utrzymać tę placówkę we wzorowym porządku i czystości? Uda się, musi się udać! Nie jesteśmy gorsi od innych; wszyscy za granicą stwierdzają, że Polacy są najlepszymi robotnikami, brak nam tylko dyscypliny...

W dniu 20 stycznia podczas wyborów przekonałem się, że naród nasz potrafi być zdyscyplinowanym, porządny, kochany. Siedziałem w lokalu wyborczym jako członek komisji i z podziwem, wielką radością, dumą i otuchą spoglądałem na niekończącą się kolejkę zdyscyplinowanych, milczących w skupieniu wyborców. Od godziny 6 rano do godziny 10 wieczór przewijała się spokojna kolejka kochanych rodaków, nikt nie zakłócił ciszy i spokoju. W dniu tym w Darłowie nie było ani jednego pijanego.

W sierpniu 1957 roku muzeum odwiedziło kilka wycieczek czechosłowackich i węgierskich, kilku Szwedów, dwóch Egipcjan i dwóch inteligentnych Niemców z NRF. Jednocześnie z wycieczką młodzieżową - węgierską Muzeum zwiedziła klasa siódma jednej ze szkół pow. sławieńskiego. Po zwiedzeniu dzieci polskie zaśpiewały na dziedzińcu "Szumi dookoła las", zaś Węgrzy "Naprzód młodzieży świata" - oczywiście po węgiersku. Dzieci polskie słysząc znaną im melodię przyłączyły się do Madziarów, śpiewając tę piosenkę po polsku, jeden z chłopców chcąc widocznie się popisać swym głosem wrzeszczał na całe gardło: "Na lądzie i na morzu...". Pan nauczyciel był zaskoczony takim obrotem zainicjowanej przezeń imprezy... Jeden gruby jegomość, przechodząc dziedzińcem zagadnął mnie:

- Panie, po co oni to śpiewają? Powiedz im pan, że u nas się tego więcej nie śpiewa.

- Nie wolno mi tego robić, to są goście, niech śpiewają co im się żywnie podoba. Jeżeli ma pan życzenie, może pan zaśpiewać "Serdeczna Matko" albo "Pierwszą Brygadę". Jestem kierownikiem Muzeum nie zaś cenzorem.

Węgrzy skończyli śpiewać, pochwycili polskiego chłopaka, który najwięcej się darł ze słowami: "Jelyen Lengyel gyermek" /a może to się pisze inaczej, nie znam węgierskiego/, t j. "Niech żyją polskie dzieci", zaczęli podrzucać go w górę. Jedna ze studentek węgierskich władała trochę angielskim, więc poprosiłem ją żeby zaśpiewali jakąkolwiek piosenkę ludową; ale chyba nie zrozumiała, bo Węgrzy zaśpiewali po węgiersku /zresztą bardzo ładnie/ starą rosyjską rewolucyjną "Drużno towarzysze w nogu". W tym momencie przybyła do Muzeum wycieczka harcerzy naszych. Starszy pan, którego dzieci tytułowały profesorem, przywitał Węgrów harcerskim "cześć, czołem"; po tym przywitaniu pan profesor, wchodząc z dziećmi do Muzeum powiedział do mnie:

- Ale co oni śpiewają? Niech im pan powie, iż u nas się teraz tego nie śpiewa.

Rozłożyłem beznadziejnie ręce i zwróciłem się tym razem do studentki władającej językiem rosyjskim z prośbą by zaśpiewali dla naszych harcerzy "Pieśń Kossutha". Zagrzmiąła śliczna pieśń, harcerze wyszli znów na dziedziniec, przechodnie przystawali, wszyscy byli zachwyceni śpiewem. Młodzież węgierska wkroczyła do biura, by wpisać się do księgi pamiątkowej. Zaczęliśmy gawędzić o naszych

krajach. Węgrzy wyrażali wdzięczność Polakom za gościnność i bratnią przyjaźń, zapewniali, iż całe życie pamiętać będą o przyjemnym pobycie w bratniej Polsce. Młodzi komuniści /a było ich sporo/ mówiąc o wypadkach w ich ojczyźnie twierdzili, że wśród młodzieży ich kraju dotychczas odgrywają pewną rolę faszysti tj. "szalasyści"; właśnie ci szalasyści mieli popełnić w czasie wydarzeń najwięcej zbrodni. Młodzi komuniści usprawiedliwiali interwencję radziecką; według ich zdania Nagy i Losonczy zdradzili klasę robotniczą. Jeden z młodych komunistów powiedział wręcz:

- Bez oparcia się o Związek Radziecki nie może istnieć żadne państwo socjalistyczne. Gdyby nie strach przed Rosją Ameryka nie oszczędziłaby nawet narodowo-komunistycznej Jugosławii. [...]

We wrześniu wyjechałem na urlop. Po przyjeździe do Warszawy udałem się sam, najpierw do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w sprawie renty. Panienska wyszła na korytarz z moją teczką, usiedliśmy przy stoliku i zaczęli gadać o mojej sprawie. Na moją prośbę panienska obliczyła w przybliżeniu przepracowane lata.

- Panu brakuje jeszcze 5 lat do emerytury.

- Jak to, proszę pani - mówię wystraszony - przed rokiem jedna panienska powiedziała mi, że brakuje około 3 lat, a teraz po przepracowaniu roku przybyło jeszcze 3 lata, to niesamowite!

- Niech się pan nie denerwuje, jest to nie tylko możliwe, lecz faktycznie tak jest. Radzę panu przejść na rentę inwalidzką - dostałby pan wtedy o 10 zł więcej, tj. 270 zł miesięcznie. Współczuję panu bardzo, ale niestety nic dla pana zrobić nie mogę; niech się pan postara przepracować jeszcze 5 lat, sądzę, że znając języki może pan pomimo podeszłego wieku dostać lżejszą pracę; albo niech pan napisze do Francji, do tego adwokata, może przysła panu świadectwo z przepracowanych u niego 4 lat. Cóż robić? Był u nas onegdaj stary inżynier, brakowało mu do 25 lat tylko 6 miesięcy, płakał ale nie mu poradzić nie mogliśmy.

- Ach, proszę pani, ten adwokat i jego żona zmarli w 1936 roku, byli bezdzietni, pisałem do jego znajomych, lecz odpowiedzi nie otrzymałem. Nie ma co się dziwić, w Paryżu od 1936 roku zaszły kolosalne zmiany, część Paryżan w czasie okupacji opuściła stolicę, udając się do sytniejszej tzw. "Wolnej Zony" i niektórzy na zawsze tam zostali.

Po odejściu panienki zapaliłem papierosa, a serce - tak jak kiedyś mówiła kobieta w szpitalu - pikum, pakum, pikum, pakum, nogi zrobiły się ciężkie, zdrętwiały, poczułem straszne zmęczenie. Odpocząwszy trochę wybrałem się do KC, może coś tam poradzą. Jestem od dziesięciu lat członkiem partii, posiadam odznaczenia, znam języki. Jestem za stary, nie wytrzymam wymaganych 5 lat na odpowiedzialnym stanowisku w Muzeum. Ach, gdyby można było porozmawiać z tow. Ostapem Dłuskim! W KC proszę o numer telefonu do tow. Dłuskiego - nie można, numer zastrzeżony! Dzwonię do towarzyszk B., mówię o swej sprawie.

- Towarzyszu - odpowiada B. - nic dla was zrobić nie możemy, jesteście za starzy, siedźcie w Dańlowie, albo zwróćcie się do KW w Koszalinie.

- Towarzysko, proszę mnie połączyć z towarzyszem Dłuskim!

- Co, Ostap Dłuski! - i po krótkiej pauzie - tow. Dłuski was nie przyjmie!

- Dlaczego? Nie zabiorę mu więcej czasu niż 5 minut.

- Tow. Dłuski jest na urlopie - brzmi odpowiedź. - Zadzwońcie jeżeli chcecie do tow. K.

W rezultacie tych pertraktacji zostałem przyjęty przez bardzo grzecznego i miłego tow. K. Po krótkiej rozmowie, przyjemnej pogawędce z tow. K. udałem się na Krakowskie na wystawę malarstwa nowoczesnego. Przyglądałem się obrazom i nic nie rozumiałem. Na jednym obrazie przyklepiono dwa talerze i szczotkę do zmiatania. Prosiłem zwiedzających żeby ktoś raczył mnie objaśnić co te obrazy przedstawiają; jeden ze zwiedzających - siwy staruszek z długimi włosami odzywa się: Proszę pana, jestem artystą malarzem, ale tak samo jak pan nic nie rozumiem, może kto z młodzieży objaśni pana, oni są mądrzejsi od nas starych.

Patrzę na obrazy jak wół na malowane wrota. "Tak, jestem za stary - myślę sobie - nigdy tych abstrakcjonistów, surrealistów, taszystów nie zrozumie". Nie jestem bardzo mądrym ani bardzo uczonym, a to nowoczesne malarstwo, muzyka, poezja ogłupiły mnie do reszty, a więc umrę - nie doczekawszy się Godota, nie przeczytawszy "Ferdydurki" Gombrowicza - skończonym durniem.

Wyjechałem do Krakowa. Zaraz po przyjeździe do tego miasta zacząłem dorocznym zwyczajem oglądać kościoły, Wawel, muzea. Wracałem do hotelu o godzinie 6.30, byłem niewyspany i bardzo zmęczony, przechodząc obok teatru Słowackiego obejrzałem repertuar; tego wieczoru grano "Wesele". Mimo przemęczenia poszedłem do teatru, trzeba było może po raz ostatni zobaczyć "Wesele". Na Godotą czekać nie będę, zaś na "Wesele" musiałem pójść, bo to "nasze". Nazajutrz oglądałem wystawę obrazów Ociepki w Towarzystwie Umiejętności na Placu Szczepańskim. Nie mogłem oderwać oczu od jego "Narodzenia Chrystusa" z olbrzymim, białym kwiatem. Widziałem tłumy zachwyconych chłopów i robotników, oglądających potężne, ludowe malarstwo górnika Ociepki. Bo i rzeczywiście jest na co popatrzeć! Wciąż zastanawiam się nad tym jak to się stało, że w państwie ludowym mamy sztukę - może i dobrą - lecz niezrozumiałą dla ludu. Kto może zrozumieć naszych taszystów? Wygląda na to, że nasi plastycy tworzą tylko dla elity, która się na tym zna. [...]

W końcu września powróciłem do małego, brudnego, a jakże drogiego sercu Darłowa! Kocham tę zaniedbaną miścinę tak samo jak Kraków, Warszawę, Wilno. Mimo różnych trudności i tymczasowych niepowodzeń wierzę głęboko w rozkwit naszego miasta, całej naszej Ziemi Koszalińskiej. Po VIII Plenum usunięto druty kolczaste, ogradzające budynek, w którym się mieścił Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, otwarto przegrodzoną przed Październikiem ulicę Boczną biegnącą wzdłuż "groźnego, tajemniczego budynku". Obecnie odizolowany i odrutowany poprzednio gmach przybrał wygląd zwykłego, spokojnego bloku mieszkalnego. Odbudowa, rozbudowa i uporządkowanie miast pomorskich nabrało rozmachu, nastąpiło ożywienie wsi; gospodarze remontują swoje domy i zabudowania gospodarskie, zaprowadzają ład i porządek w swoich siedzibach.

Z dniem 1 stycznia 1958 roku Muzeum w Darłowie przejęła WRN w Koszalinie. Otwiera się nowa karta w dziejach Muzeum.

Na przełomie lat 1956-1957 powiał wiatr z zachodu, dotarł on i do naszego Darłowa. W kawiarni "Mocca", w której tańczono w soboty i niedziele szalał rock and roll. Na wzór zachodniego zaczęto i u nas wybierać królowe piękności; wybory naszych socjalistyczno-ludowych "reines de beate" nie wszędzie odbywały się gładko; w wielu miejscowościach wybory te stawały się wprost skandalem. [...]

Latem 1958 roku dzięki interwencji konserwatora wojewódzkiego udało się nareszcie zabezpieczyć zaciekający dach skrzydła basztowego zamku, pokryć dach nad gankiem i przeprowadzić szereg innych, drobnych remontów.

Frekwencja w sezonie letnim była, jak na nasze stosunki, wprost rekordowa; po raz pierwszy miałem w Muzeum Arabów, jednego Murzyna z Ghany. Arabów powitałem w ich ojczystym języku, podobno jeden z Arabów napisał w jednym z dzienników damasceńskich artykuł o Muzeum w Darłowie. Zwiedzili Muzeum studenci z NRD, z NRF, kilku Szwedów, Finów i Anglików. Obcym gościom towarzyszyli nasi chłopcy i dziewczęta. Arabowie, Niemcy i inni obcokrajowcy są rozpolitykowani, natomiast nasza młodzież nie okazuje najmniejszego zainteresowania się polityką, jest zupełnie apolityczna. Przed naszym październikiem istniała potężna młodzieżowa organizacja ZMP, po jej rozwiązaniu powstało vaccum.

Któregoś dnia w sierpniu wpadł do biura robotnik z sąsiedniego Młyna Zamkowego ze słowami: "Do pana włoką się staruszkowie z Domu Starców!".

Wyszedłem na dziedziniec i ujrawszy 15 staruszków i staruszek, na czele grupy kroczył poważnie /nie włókł się, jak się wyraził robotnik/ 82-letni czcigodny dr Orłowicz, słynny podróżnik i publicysta; turyści dźwigali na swych barkach ciężkie plecaki.

- Czy mam włożyć pantofle? - pyta mnie sędziwy turysta.

- Nie panie doktorze. Pan może zwiedzać bez pantofli - odpowiedziałem z szacunkiem.

Po dokładnym zwiedzeniu wystaw grupa inteligentnych staruszków, załadowawszy ciężkie plecaki wyruszyła w dalszą podróż.

Od roku 1958 w Darłowie wzmógł się ruch budowlany; odnowiono wszystkie budynki na Placu Kościuszki i ulicach centralnych, zbudowano kilka bloków dla repatriantów i mieszkańców miasta, uruchomiono w DarłóWKu nowoczesną plażę, o której od lat marzył ś.p. doktor Mucha, otwarto tam pięknie urządzone kawiarnię i restaurację. Darłowo przybiera przyzwoity wygląd. Mielibyśmy piękne



Aleksander Tarnowski na pierwszym planie w fezie. Zdjęcie: Franciszek Lachowicz (ze zbiorów Muzeum w Darłowie).

kwićtniki i zieleńce, gdyby nie niszczycieliska ręka darłowskiich dzieci i chuliganów. /Na szczęście liczba chuliganów zmniejsza się z roku na rok./ [...]

Dnia 15 lipca 1958 roku zwiedził muzeum jeden naukowiec z Niemieckiej Republiki Federalnej. Był on bardzo zdziwiony wzorowym porządkiem i czystością naszej placówki, a gdy mu pokazałem obszerną bibliotekę w języku niemieckim zdziwienie uczonego nie miało granic, bo w Niemczech Zachodnich - według jego słów - mówi się o doszczętnym zniszczeniu księgozbiorów w języku niemieckim.

- Dziękuję panu bardzo - powiedział na pożegnanie naukowiec niemiecki, ściskając moją dłoń - nie spodziewałem się, że na prowincji w Polsce zastanę taki ład i porządek...[...]

Po powrocie z urlopu zastałem w Muzeum kandydata na kierownika, był nim pan J. ze Słupska. Chciałem go wprowadzić i wynieść się z zamku i Darłowa. W październiku załadowałem swoje graty do wagonu towarowego i w tym wagonie pojechałem do Bartoszy. Ubrany byłem w kozuch, filcowe buty, baranicę; wyglądałem jak typowy repatriant z Wileńszczyzny. W Lęborku staliśmy 14 godzin. Prócz spinaczy domagających się napiwku złożył mi wysoce niekulturalną wizytę jeden pan w czerwonej czapce.

- No dziadku, wyprawę masz? - pyta "czerwony kapturek".

- Co za wyprawa, mości panie dobrodzieju? - pytam zdziwiony.

- No, chcesz jechać dalej, **to** dawaj wyprawę!

- To znaczy się łapówka, wsiatka, mości panie dobrodzieju !

- No niekoniecznie! Wiesz, że możemy cię tu zatrzymać do jutra, a tak wyjedziesz za dwie godziny.

Dałem urzędnikowi 20 złotych, po dwóch godzinach mój wagon przyczepiono do mającego wyruszyć w dalszą drogę pociągu, spinacze również dostali 20 złotych. Przed samym odjazdem znów podszedł do wagonu "czerwony kapturek", wlał do środka i nic nie mówiąc zaczął napełniać kieszenie moimi jabłkami.

- Połóż jabłka z powrotem, psia jucho, bo cię każę zamknąć! - rozkazał gniewnie "dziadek z Wileńszczyzny".

- Nie nastawiaj się tak dziadku, to ci nie Rosja, uważaj żebym ja ciebie czasem nie przymknął !

- Nie jadę z Rosji, łapowniku jeden, lecz z Pomorza, z Darłowa, w którym właśnie mamy bardzo uczciwych i uczynnych kolejarzy.

Drukujemy obszerne fragmenty pamiętnika Aleksandra Tarnowskiego, który przez kilkanaście powojennych lat kierował darłowskim muzeum. Maszynopis tekstu pamiętnika (132 strony) udostępniła dyrektor Muzeum w Darłowie mgr Ewa Bielecka. Zachowano formy językowe oryginału. Wyboru dokonał Jan Sroka.

Konspiracja w powiecie sławieńskim w latach 1949-1952 (poza POW).

Tajny „ Informator o nielegalnych i antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944-1956” przygotowany w 1964 r. przez Biuro „ C” Ministerstwa Spraw Wewnętrznych uwzględnia trzy organizacje funkcjonujące na terenie powiatu sławieńskiego: Polską Organizację Wojskową, Związek Bandy Lewickiego oraz Armię Krajową. Nie jest to jednak pełny wykaz. Na początku lat pięćdziesiątych istniała kolejna organizacja, występująca pod nazwą „ Polska Organizacja Tajnych Partyzantów”¹.

Powstała ona z inspiracji uczestnika kursów kierowców samochodowych w Koszalinie - Bogumiła Karkowskiego, ur. 14 grudnia 1935 r. w Częstochowie, zamieszkałego w Sławnie przy ul. Koszalińskiej. W okolicznościach typowych dla tamtego okresu, potwierdzających jak bardzo niepopularni byli wówczas komuniści, w lipcu 1952 r. w pociągu na trasie Koszalin-Sławno wszczął on rozmowę z nieznanym mężczyzną. Wkrótce nabrał do niego zaufania. Opowiedział o przechowywaniu bez zezwolenia broni palnej. W odpowiedzi mężczyzna pokazał Karkowskiemu pistolet i wyznał, że jest dowódcą konspiracyjnej organizacji. Prowadzi ona wszechstronną działalność: organizuje napady na instytucje państwowe, placówki handlu uspołecznionego, gromadzi broń, werbuje ludzi nie chcących pogodzić się z uzależnieniem Polski od Związku Radzieckiego i utratą wschodnich terenów. Zaproponował Karkowskiemu przystąpienie do niej.

Propozycja została jednak odrzucona. Karkowski oświadczył, że sam chce utworzyć niepodległościową (konspiracyjną) organizację. Nazwał ją „ Polska Organizacja Tajnych Partyzantów”. Rozpoczął werbunek. Złożył propozycję Bolesławowi Sugalskiemu². Poinformował o kontaktach z członkami konspiracji z Koszalina. Obiecał skontaktować Sugalskiego z kierownictwem. Uwarunkowane to zostało wykonaniem przez Sugalskiego napadu na funkcjonariusza MO lub UB albo włamaniem do sklepu lub wykonaniem akcji sabotażowej na terenie zakładu pracy. Sugalski przystał na propozycję. Wraz z Wincentym Pawelczykiem ułożył on plan akcji. Z 19 na 20 lutego 1953 r. udali się oni na ul. Rapackiego. Przy użyciu sztabek żelaznych wykonali w murze dziurę. Następnie przedostali się do wnętrza sklepu M.H.D. Zrabowali artykuły tekstylne o łącznej wartości 10.409.11 zł. Sugalski zameldował Karkowskiemu o wykonaniu zadania. Po pewnym czasie postanowił zwerbować Piotra Kostrzewińskiego. Opracował plan. Na początku marca 1952 r. Stanisław Wit zaprosił do swojego domu Kostrzewińskiego. W pokoju czekał już na niego B. Karkowski. Opowiedział o istnieniu oraz celach działania organizacji. Złożył Kostrzewińskiemu propozycję przystąpienia. Ten wyraził zgodę. Karkowski napisał więc na kartce papieru treść zobowiązania oraz przysięgi. Podpisał się jako „ herszt”. Następnie przeczytał przysięgę. Polecił Kostrzewińskiemu jej podpisanie. Po złożeniu przysięgi i zobowiązania Kostrzewiński zapoznał się z

¹ . ASO w Koszalinie. WSR w Koszalinie. Akta sprawy przeciwko Bogumiłowi Karkowskiemu i innym, sygn. Sr. 100/53. Akt oskarżenia.

² . Bolesław Sugalski, ur. 6 lutego 1933 r. w Zbójnie pow. Płock, zam w Sławnie przy ul. Mielczarskiego 9, pochodzenia robotniczego, pracującego jako palacz.

zadaniami Młodzieżowej Tajnej Partyzantki Krajowej. Do organizacji w październiku 1952 r. przystąpili m.in.: Stanisław Wit³, pełniący funkcję zastępcy dowódcy.

Konspiracja stwarzała zagrożenie dla jej członków. Dowódca Polskiej Organizacji Tajnych Partyzantów obawiał się „wsypy”. Postanowił więc zabezpieczyć członków. Wykorzystał swój zawód i jako pracownik Gminnej Rady Narodowej w Sławnie, postarał się o dokumenty meldunkowe. Zabrał 19 kart meldunkowych, w tym dwie in blanco, z pieczęciami. W późniejszym okresie wypełnił je na nazwisko: Edward Orłowski i Bogdan Karkowski. Dowódca Polskiej Organizacji Tajnych Partyzantów zagarnął również dziewięć zaświadczeń o pierwszej rejestracji i dwa zaświadczenia o zgłoszeniu się do ponownej rejestracji poborowej in blanco, z pieczęciami. Jedno z nich wypełnił na nazwisko Bogdan Karkowski. Planowano akcje na funkcjonariuszy UB i MO. Przechowaniem dokumentów zajął się Stanisław Wit.

6 kwietnia 1953 r. do Polskiej Organizacji Tajnych Partyzantów przystąpił Henryk Welenc. Tego samego dnia zaplanowano napad na funkcjonariusza MO, UB, ORMO lub żołnierza. Celem miało być zdobycie broni palnej. Na akcję Karkowski i Welenc poszli uzbrojeni w pręty żelazne długości około 35 cm. Zamierzali nimi uderzyć ofiarę w tył głowy, a następnie obezwładnić. Uzbrojeni napastnicy wyruszyli na ulice Sławna. Uzgodnili, że posługiwać się będą fałszywymi nazwiskami: Sugalski - Jan Romański, Karkowski - Michał Klinkowski, a Welenc - Edward Orłowski. Dwugodzinny patrol zakończył się fiaskiem. Nie napotkano ani jednego uzbrojonego funkcjonariusza. Postanowili przeto zmienić miejsce. Udali się na dworzec kolejowy. W tym czasie wszedł nieznany porucznik w towarzystwie kobiety. Sugalski podjął błyskawiczną decyzję. Po wyjściu z dworca mieli towarzyszyć oficerowi. Po kilku minutach kobieta wsiadła do pociągu. Porucznik spotkał się z innym mężczyzną. Wspólnie z nim udał się do świetlicy ZZK. I tym razem członkowie Polskiej Organizacji Tajnych Partyzantów musieli zrezygnować z planu. Obawiali się, że mężczyzna może zaalarmować milicję. Na kolejny punkt penetracji wybrano zabawę. Na jakiegoś uzbrojonego mężczyznę wyczekiwali do 2.30. Na nic się zdało. Musieli zrezygnować. Uzgodnili, że kolejną próbę podejmą następnego dnia w Wiekowie.

Organa Bezpieczeństwa Publicznego zlikwidowały organizację 13 kwietnia 1953 r. Zatrzymano m.in. Bogumiła Karkowskiego, Bolesława Sugalskiego, a 13 czerwca Stanisława Wita. Wojskowy Sąd Rejonowy w Koszalinie pod przewodnictwem mjr Kazimierza Jankowskiego z ławnikami: szer. Stanisławem Mądrym oraz szer. Józefem Łukasikiem wyrok ogłosił 30 września 1953 r. Oskarżycielem publicznym był por. Kazimierz Tomczak. Bogumił Karkowski oskarżony został o popełnienie przestępstwa z art. 14 §1 i 2 mkk oraz 187 kk, Bolesław Sugalski z art. 14 §1 i 2 mkk, art. 24 §1 kkWP w zw. z art. 1 §2 i 3 mkk, art. 4 §1 dekretu z 13 czerwca 1946 r., a Stanisław Wit z art. 14 §1 i 2 dekretu z 13 czerwca 1946 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Koszalinie uznał oskarżonych za winnych zarzucanych im czynów i skazał Bogumiła Karkowskiego na karę 10 lat pozbawienia wolności z utratą praw publicznych i obywatelskich oraz honorowych na okres trzech lat, Bolesława Sugalskiego na karę 10 lat pozbawienia wolności, Stanisława Wita zaś na zasadzie art. 36 mkk na karę dwu lat więzienia, której wykonanie na zasadzie art. 61 §1 kk warunkowo zawieszono na okres trzech lat.

Od 1949 do 1950 r. w Pałótku pow. sławieński istniał oddział Armii Krajowej. Nastroje w Pałótku były nieprzychylnie dla komunistów. W listopadzie 1948 r. aresztowano

³ Stanisław Wit, ur. 6 maja 1934 r. w Ożarkowie pow. Łęczysca, zam w Sławnie przy ul. Gen. Świerczewskiego 68, pochodzenia robotniczego, z zawodu stolarz.

ks. Damiana Jędrzkiewicza, mieszkającego we Wrześnicy. Od września 1946 r. pełnił on obowiązki proboszcza Parafii Wniebowzięcia NMP⁴. Z inspiracją powołania konspiracyjnej organizacji wystąpił Kazimierz Wojciechowski. Jeszcze w 1949 r. Stanisław Mirocha idąc z Józefem Ramusem spotkali Tadeusza Kowala i Kazimierza Wojciechowskiego. Wspólnie wyszli za wioskę. Kazimierz Wojciechowski zaczął opowiadać o walkach partyzanckich. Przedstawił projekt powołania organizacji. W drugi Dzień Bożego Narodzenia doszło do kolejnego spotkania w mieszkaniu Wojciechowskiego. Obecni byli: Stanisław Mirocha, K. Wojciechowski, Tadeusz Kowal, Stefan Piotrowski. Wojciechowski poinformował o zamykaniu kościołów. Zadał pytanie: czy obecni na spotkaniu młodzieńcy chcą czynnie bronić świętego krzyża.

Dowództwo powierzono Kazimierzowi Wojciechowskiemu „Nieugiętemu Orłowi”, „12.247”⁵. Chociaż niekiedy sugerowano, że faktycznym dowódcą jest komendant MO ze Słupska lub też jakiś kapitan. Obowiązki zastępcy pełnił Tadeusz Kowal, a skarbnika - Stefan Piotrowski „Rosolek”⁶. Do organizacji należeli m.in.: Józef Ramus, Władysław Mirocha, Henryk Jachim⁷, Kazimierz Gołębiowski⁸. Organizacją powstała wiosną 1949 r. Cele jej działania zaproponował Kazimierz Wojciechowski. Wspominał on o obronie wiary katolickiej i przeciwstawieniu się totalitarnemu ustrojowi, narzuconemu Polsce, bojkotowanie spółdzielni produkcyjnych. Impulsem do założenia nielegalnej w obowiązującym wówczas systemie prawnym organizacji były audycje emitowane z Madrytu, „Głosu Ameryki” oraz „Wolnej Europy”. Wszyscy oni złożyli przysięgę 27 sierpnia 1950 r. przed Kazimierzem Wojciechowskim, który ustawił wszystkich za stołem w pozycji na baczność. Tekst przysięgi wypowiadali na krzyż oraz bagniet z orłem w koronie. Zobowiązali się do zachowania tajemnicy i wierności organizacji.

Oddział „Nieugiętego Orła” przygotowywał się do napadów na członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz akcji których celem było zdobycie pieniędzy potrzebnych do dalszego działania m.in. zakupu broni. Jedną z takich akcji zorganizowano na leśniczówkę Jeziornego. Zabrano dubeltówkę, mundur, spodnie, pas główny, raportówkę oraz 400 zł. Zamierzano wtargnąć do siedziby Urzędu Gminy we Wrześnicy, skąd planowano zabrać maszynę do pisania. 20 sierpnia 1950 r.⁹ zorganizowano napad na dom Wojciecha Dziwisza. Armia Krajowa z Pałówka zdobyła informacje, że posiada on pieniądze ze sprzedaży konia, a sam przebywał w kościele. Akcja powiodła się. Organizacja wzbogaciła się o 2.300 zł. Część przeznaczono na zakup mundurów i broni¹⁰. 27 sierpnia 1950 r, tuż po przysiędze. Henryk Jachim wraz z Kazimierzem Wojciechowskim i Tadeuszem Kowalem o godz. 11-12 udali się do Sycewic aby zdobyć broń i mundur leśniczego, który w tym czasie

⁴ . Schematyzm diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej 1987, Koszalin 1987, s. 466.

⁵ . Kazimierz Wojciechowski urodził się 16 kwietnia 1934 r. Ukończył 4 klasy szkoły powszechnej.

⁶ . GKBZpNP IP w Koszalinie. Akta GKBZpNP IP w Koszalinie w sprawie zbrodni przeciwko ludzkości w okresie od 4 kwietnia 1949 r. do maja 1949 r. i od 28 sierpnia 1950 r. do 27 listopada 1950 r. w Sławnie przez byłych funkcjonariuszu PUBP w Sławnie Michała B., Adama W. i Bogdana B., sygn. 5 S 13/98/UB. Protokół przesłuchania podejrzanego Jachima Henryka z 29 sierpnia 1950 r.

⁷ . ASW Koszalin. WSR w Koszalinie. Sprawa Stanisława Mirocha, sygn. Sr. 66/50.

⁸ . Kazimierz Gołębiowski prawdopodobnie nie należał do Armii Krajowej, chociaż wiedział o jej istnieniu. O tym, że złożył on akces do organizacji przekonany był sam komendant Kazimierz Wojciechowski.

⁹ AGKBZpNP IP w Koszalinie, sygn. 5 S 13/98/UB. Protokół zeznań Tadeusza Kowala z 19.09.1950 r.

¹⁰ Tamże.

przebywał w Słupsku. Podczas akcji pistoletem dysponował Henryk Józef Jachim, pozostali żołnierze Armii Krajowej z Pałówka uzbrojeni byli w bagnety. W trakcie podchodzenia do budynków zaczął ujadać pies. W ślad za tym wyszła młoda dziewczyna. Jachim trzymał pistolet w ręku, ale nie mierzył w stronę kobiety. Ta jednak przestraszyła się. Podeszli do niej Kowal i Wojciechowski, który spytał się: czy jest leśniczy. Odpowiedź była przecząca. Jachim pozostał z dziewczyną na korytarzu. Wojciechowski z Kowalem weszli do środka. Po chwili wrócili z bronią, mundurem i pasem wojskowym. Zdobyć ukryli. Napad na dom leśniczego stał się jednak bezpośrednią przyczyną ich aresztowania¹¹. Nastąpiło to 28 sierpnia 1950 r. Nazajutrz mieli werbować nowych członków. Ogarnął ich niepokój. Dowiedzieli się, że UB ma ich niebawem aresztować. Postanowili nie czekać biernie aż to nastąpi. Z bronią w ręku chcieli się przedostać do innej miejscowości. Po drodze zauważył ich jeden z funkcjonariuszy. Próbowali więc przedostać się do lasu. Ale okrążono ich. Ubowcy zaczęli strzelać w górę. Rozbroili ich, a następnie kazali iść przez wieś z rękoma w górze. Zawieziono do PUBP w Słupsku, a nieco później do Sławna, gdzie prowadzono śledztwo. Każdy z nich przebywał w osobnej celi. Przesłuchiwanie ciągnęły się do rana do późnej nocy.

W stan oskarżenia postawiono trzech członków oraz czterech pomocników. Czterech kolejnych członków zwolniono od odpowiedzialności karnej z uwagi na młody wiek sprawców. Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Koszalinie 25 stycznia 1951 r. pozostali członkowie otrzymali wyroki pozbawienia wolności na okres od 7 lat do półtora roku¹². Najwyższy wyrok zapadł w stosunku do Kazimierza Wojciechowskiego. Na podstawie art. 86 §2 kkWP skazano go na 6 lat pozbawienia wolności, z art. 48 §2 i 49 §22 kkWP na utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres dwóch lat, na mocy art. 4 §1 dekretu z 13 czerwca 1946 r. na pięć lat pozbawienia wolności. Łączna kara pozbawienia wolności wyniosła siedem lat. Sądowi przewodniczył mjr Waszkiewicz, ławnikami byli: kpr. Zbigniew Kryski oraz kpr. Franciszek Romanowski, adwokatami zaś byli: Tadeusz Nawrot oraz Tadeusz Tomicki¹³. Kazimierz Wojciechowski przyznał się do zarzucanych czynów. Wyjaśnił, „...że słuchając dzienników z Madrytu i Wolnej Europy dowiedział się, że w Polsce będzie bieda, gdy dojdzie do założenia spółdzielni produkcyjnej, że prędko będzie wojna i przyjdą Amerykanie. Słyszeli jak starsi rozmawiali, że w Ameryce jest dobrze, a tutaj będzie taka bieda jak w Rosji”. Organizacja nie chciała dopuścić do zakładania spółdzielni produkcyjnych.

O tym, że ustrój komunistyczny niewiele ma wspólnego z humanitaryzmem i demokracją mógł się Kazimierz Wojciechowski przekonać w jeszcze większym stopniu po aresztowaniu. W areszcie PUBP w Sławnie „Piękny Leoś” odprowadzając go do celi z przesłuchania ciągnął go za kołnierz lub za włosy. Jeden z funkcjonariuszy W. kazał robić i po 400 przysiadów. Aby utrudnić kazał je przy tym głośno liczyć i jednocześnie odpowiadać na pytania, a każda pomyłka rozpoczynała torturowanie od początku. Komendant B. bił go po twarzy, złamał mu przy tym nos. Stosował i inne tortury. Kazał Wojciechowskiemu stanąć pod ścianą, a następnie ugniatał mu kluczem mostek. Bił go kilkakrotnie linijką po piętach. Torturowano również innych członków „Armii Krajowej” z Pałówka. Mirosze W. kazał się- dzieć na nodze od stołka, przy czym musiał na niej siedzieć kością ogonową, a nogi trzymać

¹¹ Informator o nielegalnych i antypaństwowych organizacjach...s. 46.

¹² Ojczyźnie i społeczeństwu. Działalność Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa na Pomorzu Środkowym w latach 1945-1984, Koszalin 1995, s. 236

¹³ Protokół rozprawy głównej, sygn. Sr 3/51/ odpis w zbiorach autora/.

założone jedna na drugiej. Ten sam funkcjonariusz stosował wobec niego przymus psychiczny np. wskazując na żarówkę zadawał pytanie: „Co to jest?”, a gdy padała prawidłowa odpowiedź wściekał się i obrzucał zatrzymanego stekiem niewybrednych wyzwisk, twierdząc, że to jest...czołg. Innym razem gdy więzień odpowiedział, że jest to czołg, twierdził, że nie...

Typową organizacją poakowską był „Związek Bandy Lewickiego”, wykazujący aktywność w powiecie sławieńskim w latach 1950-1951, dowodzony przez Ryszarda Lewickiego „Sokole Oko”, który dowodził oddziałem składającym się z czterech członków¹⁴. Trudno jest natomiast sklasyfikować darłowską grupę „Zawiszy”. Pod koniec 1947 r. założył ją były oficer Wojska Polskiego, młynarz z Darłowa Jan Ch. Ps. „Zawisza Czarny”. Do organizacji przystąpili m.in.: Kazimierz Sz. Ps. „Twardy”, Henryk M. Ps. „Ordynans” i Bolesław K. Ps. „Kruk”¹⁵. Zorganizowali oni napad na posterunek w Rzeczenicy oraz sklep Gminnej Spółdzielni.

¹⁴ Informator o nielegalnych i antypaństwowych organizacjach....s. 83; M. Żukowski, Działalność opozycji w powiecie sławieńskim w latach 1945-1958, „Dorzecze”, 1998, nr 8, s. 21.

¹⁵ S. Sokołowski, Niebezpieczne posterunki....s. , /żuk/, Tropem „Zawiszy”, „Echo Darłowa”, 1994, nr 14/89/, s. 3.

Materiały źródłowe do dziejów Sławna

Opracowanie: wybór, tłumaczenie, przypisy
i objaśnienia Józef Lindmajer

A. Duchowni (protestanckiej) ewangelickiej^{1/} parafii Sławno^{2/} do I wojny światowej^{3/}.

I. Pastorzy i prepozyci^{4/}

1. THOMAS Q U A T Z E. Pastor od 1540 roku. W 1561 r. wymieniony w składzie szczecińskiego zgromadzenia synodalnego (Stettinschen Synodalversammlungen).

2. M. LUKAS V A N S E L O W. Student w Wittenberdze 1565 r. (?). Powołany na pastora: wtorek po palmowej niedzieli 1574 r. Pastorem do 1589 r. Żonaty – Christina Brede.

3. M. JOACHIM B O C H A T I U S. Ur. W Białogardzie. Studia w Wittenberdze. Przez 8 lat rektor szkoły łacińskiej w Słupsku. Na pastora w Sławnie powołany w 1589 r. 14 V 1590 r. wyświęcony (ordinirt) na kapłana przez prepozyta słupskiego. Pastor w Sławnie w latach 1590 – 1596. Zmarł 3 XI 1596 r.

4. M. MICHAEL E G G A R D, 1597 – 1619. Powołany na pastora 13 XII 1596 r. 1 V 1597 r. wprowadzony na urząd. Zmarł 9 V 1619 r. Żonaty, prawdopodobnie dwukrotnie: Christina, z domu Vanselow. Jako wdowa po nim jest też wymieniana Anna z domu Salomon.

5. PETRUS A L E X A N D R I, 1620 – 1649. Urodzony w mieście Usedom.^{5/} Syn tamtejszego prepozyta. Studia w Greifswaldzie. Od 1614 r. (?) w Sławnie jako diakon, od 6 III 1620 r. pastor. W 1649 r. przeszedł w stan spoczynku (Ruhestand). Żył jeszcze w 1660 r. Żonaty: Christina, z domu Eggard.^{6/}

6. ELIAS W O L D E R U S, 1649 - ... Przed 1649 r. jako pomocnik (Gehülfe) pastora P. Alexandri. Wyświęcony 13 XII 1649 r. Zmarł w 1658 r.

7. JOHANN C R A M E R, 1661 - ... Student teologii. Od 21 VI 1658 r. jako pomocnik pastora (Adjunkt). Wyświęcony 8 V 1661 r. – od tego czasu pastorem. Wymieniany w 1670 r.

8. PETRUS D R E N K H A N, 1690–1712. Wcześniej w Sławnie jako diakon. Pastorem wybrany 26 IX 1690 r. Na stanowisko prepozyta mianowany przez elektora brandenburskiego.^{7/} Zmarł 25 I 1712 r. Żonaty: ślub 14 X 1678 r. z Marie Riese.

9. JOHANN ANDREAS W A G N E R, 1713 – 1729. Ur. W Buschweiler (Elsass).^{8/} Przez krótki czas rektor szkoły łacińskiej w Darłowie. Od IX 1692 r. do 1712 r. pastor w Barzowicach.^{9/} Na pastora w Sławnie powołany 16 X 1712 r., wprowadzony na początku 1713 r. Pełnił obowiązki prepozyta. Zmarł 12 I 1729 r. Żonaty trzykrotnie: pierwsza: żona Anna Katharina Krüger, córka kupca ze Stargardu (zmarła 15 IV 1696 r.); druga żona: Ursula Drenkhan, córka poprzedniego pastora (ślub 31 X 1699 r.); trzecia żona: Dorothea Juliane Bartelt (ślub 17 VI 1722 r.; zmarła 9 III 1741 r.).

10. GEORG C R O W E C K E ,^{10/} 1729 (?) -1742. Student teologii. Od 1721 r. jako diakon. Pastorem w Sławnie od 1729 r. (?). Do 1741 r. piastował jednocześnie godność prepozyta. Od 1742 r. w stanie spoczynku. Zmarł 9 X 1762 r.

11. JOHANN HEINRICH H O M B U R G , 1742 – 1761. Ur. 18 VIII 1702 r. w Darłowie. Syn handlarza jedwabiem Johanna. Matka Maria z domu Voigt. Od 1736 r. diakon w Darłowie. Od 1742 r. pastor i prepozyt w Sławnie. Zmarł 19 II 1761 r. Żonaty (4 XI 1737 r.) z Helene Charlotte Fabricius (20 IV 1720 – 22 IX 1748), córką Joachima Friedricha – prepozyta w Darłowie.

12. JOHANN GOTTLIEB R I N G K , 1762 (?) – 1773 (?). Wcześniej kapelan pułku dragonów (Alt Platenschen ^{11/} Dragoner Regiment).

13. JOHANN CARL GOTTFRIED B L U H M , 1774 – 1801. Wcześniej kapelan wojskowy pułku huzarów von Bellinga (v. Bellingschen Husaren – Regiment).^{12/} Powołany przez ministerstwo (Königl. Regierung) na prepozyta synodu sławieńskiego 14 X 1774 r., a 28 X przez magistrat Sławna na pastora. Wprowadzony na urząd pierwszego dnia adwentu przez prepozyta synodu słupskiego, Christiana W. Hakena.^{13/}

14. JOHANN FRIEDRICH R U C C I U S , 1802 – 1813 (?). Ur. 25 III 1764 r. Syn pastora Jakuba Friedricha w Sobieradzu (domena państwowa w Kołbaczu).^{14/} Studia 2 lata w Halle, od 27 X 1786 r. Potem 3 lata pracy jako nauczyciel w królewskiej szkole kadetów w Słupsku. W latach 1797 (od 14 III) – 1802 jako diakon w Sławnie. 7 XI 1802 r. powołany na urząd pastora w Sławnie i prepozyta. Zmarł w 1813 r. (?). Żonaty z córką inspektora akcyzy w Koszalinie (Möller).

15. ERDMANN FRIEDRICH W E G N E R , 1814 – 1830. Ur. 21 IX 1776 r. w Darłowie. Syn archidiakona Erdmanna Friedricha i Henriette Duse. Nauka w szkole łacińskiej w Darłowie i w „wyższym zakładzie” (Weisenhaus) w Halle. Trzy lata studiów w Halle (teologia ? – przyp. J. L.). Cztery lata pracy jako nauczyciel domowy u kapitana von Kleista w Tychowie. Od 1803 r. pastor parafii Tychowo. Od 1814 pastor i superintendent w Sławnie. Od 10 X 1830 r. przeniósł się do Białogardu, obejmując stanowisko pastora i superintendenta. Zmarł 25 III 1840 r.

16. FRIEDRICH RICHARD K I R C H N E R , 1830 – 1836 (?). Pochodził z miejscowości Mallnow koło Lebus.^{15/} Wcześniej w Sławnie rektor szkoły miejskiej. Od 1814 r. diakon, od 1830 r. jako pastor w Sławnie.

17. HEINRICH H E R T E L L , 1836 – 1853. Ur. 16 V 1805 r. w Sierakowie Słupskim. Syn tamtejszego pastora. Uczęszczał do gimnazjum w Sulechowie.^{16/} Studia w Halle. Doktor filozofii. Od 1828 r. pastor w Polanowie, od 1836 r. pastor w Sławnie i superintendent. Od 1 X 1853 r. powołany na parafię w Mierzynie ^{17/} (wprowadzony tam 16 X). Od 1 IV 1865 r. w stanie spoczynku. Osiadł w Masłowicach koło Tuchomia.^{18/}

18. HERMANN FRIEDRICH MORITZ R O T H , 1854 – 1885. Ur. 11 VI 1815 r. w Gronowie.^{19/} Syn tamtejszego pastora Christiana Rotha, który później był pastorem w Chwalimie.^{20/} Uczęszczał do gimnazjum w Szczecinie.^{21/} Studia w Greifswaldzie. W okresie VII 1842 do VII 1843 wychowawca (Gouverneur) w szkole kadetów w Chełmnie. Od VI 1847 r. jako zastępca rektora (Konrektor) szkoły miejskiej w Darłowie oraz (od 15 VIII) kaznodzieja pomocniczy (Hilfsprediger). Od 1 IV 1850 r. na stanowisku archidiakona w Darłowie. Wprowadzony na pastora w Sławnie w XI 1854 r. Od 1 X 1885 r. w stanie spoczynku. Zmarł w Sławnie 30 XII 1888 r. Żonaty od 1847 r. z Otilie Kautz, córką właściciela majątku ziemskiego Gorzyno koło Lęborka.^{22/}

19. THEODOR WILHELM ALBERT P L A E N S D O R F, od 1885 r. Ur. 14 VII 1842 r. w Rarwinie.^{23/} Syn tamtejszego pastora. Uczęszczał do gimnazjum w Kołobrzegu. Studia w Berlinie. Od 18 II 1868 r. diakon i rektor w Bobolicach. Od 1 I 1874 r. pastor w Polanowie. Od 1 X 1885 r. pastor w Sławnie. Od 24 VI 1887 r. także superintendent. Żonaty.

X X X

II. Diakoni ^{24/}

1. PETRUS C U N D E U S, z Koszalina. Wyświęcony na kapłana w Kołobrzegu. Od maja 1587 r. w Sławnie. Zmarł 25 VII 1613 r. Żonaty – Dedala Niemann.

2. KASPAR E I C H M A N N, z Darłowa. Kapelan. Syn Joachima, który zmarł na ospę 17 X 1620 r. Nauczyciel pomocniczy w darłowskiej szkole miejskiej, przyjęty 13 I 1613 roku. Krótko w Sławnie (jako diakon ? – przyp. J. L.) – zrzekł się urzędu (resignierte) 7 VII 1614 r. 22 II 1620 r. mianowany kaznodzieją przez prepozyta synodu darłowskiego. Od 1626 r. jako archidiakon parafii kościoła NMP w Darłowie. Żonaty od 1614 r. Zmarł w 1630 r.

3. AMBROSIUS G E R H A R D I lub G E R T H, z Darłowa. Diakon w Sławnie od 30 III 1620 r. Wymieniany na tym stanowisku w 1636 r. Żona Margarete Sassenhagen, córka Theodora.

4. JAKOB F R I D E R I C I ^{25/}. Diakon w Sławnie od 21 V 1650 r. Wymieniany w 1652 r. i 1670 r. Zmarł prawdopodobnie w 1677 r.

5. PETRUS D R E N K H A N. Student teologii. Powołany na diakona w Sławnie 6 II 1678 r. Był nim do 1690 r. W latach 1690 – 1712 pastor w Sławnie (zob. wyżej – Pastorzy i prepozyci, poz. 8).

6. CARL WILHELM C A L B I U S, 1690 (?) – 1696. Ur. w 1665 r. w Szczecinie. Syn Adama, podsekretarza ze Szczecina, i Anny Stegemann. Prawdopodobnie w 1690 r. powołany na diakona w Sławnie. Od 24 IV 1696 r. w Stargardzie jako diakon w tamtejszym kościele św. Jana.

7. SAMUEL ERNST H A M I L T O N, 1696 – 1720. Ur. W 1662 r. w Darłowie (w księdze kościelnej imiona Samuel Johann). Prawdopodobnie młodszy syn z drugiego małżeństwa diakona i kaznodziei darłowskiego kościoła zamkowego (Schlosspredigers) Alexandra. Uczęszczał do szkoły w Kołobrzegu. 21 X 1694 r. mianowany pastorem pomocniczym (Pastor adj.) w Starym Krakowie.^{26/} Funkcję sprawował od początku 1695 r. Od 20 V 1696 r. diakon w Sławnie. Zmarł 20 XI 1720 r. Dwukrotnie żonaty: Susanne Wisäus, córka pastora w Starym Krakowie (od 6 VII 1695 r.) i Barbara Maria Salomon (zmarła 2 V 1738 r.).

8. JAKOB M I R O W, 1720 (?) – 1729 (?). Katecheta i przez 12 lat rektor szkoły łacińskiej w Sławnie, do 1716 r. Jednocześnie, od 1709 r., pełnił obowiązki pomocnika pastora (Adjunktus) za jego zgodą, przyzwoleniem władz miasta i jego „obywatelstwa” (Bürgerschaft) oraz na mocy decyzji pruskiego ministerstwa. W latach 1716 – 1739 z polecenia prepozyta kierował parafią w Kwasowie nie będąc pastorem (nadal z tytułem pomocnika pastora). Zmarł 25 IX 1739 r. w wieku 71 lat.

9. JOHANN FRIEDRICH S C H A F F N I C H T. W Sławnie od 1729 r. Jako tutejszy diakon wymieniany w 1737 r. Żonaty od 1731 r. – Maria Benkertin.

10. PHILIPP JAKOB C R O W E C K E, 1753 – 1796. Ur. 21 VII 1724 r. w Sławnie. Syn sławieńskiego pastora i prepozyta Georga C. Crowecke. Uczył się w miejscowej szkole, potem w Collegium Fridericianum w Królewcu. Trzy lata i kilka miesięcy studiów w Halle, od 1742 do 27 XI

1745 r. Pracował w Görlitz.^{27/} Pięć lat jako nauczyciel w szkole realnej dla chłopców w Berlinie. Powołany na diakona w Sławnie przez magistrat 30 XI 1752 r., zatwierdzony przez władze zwierzchnie (Königl. Regierung) 8 XII. Wyświęcony na kapłana 27 VII 1753 r. Zmarł w 1796 r. Trzykrotnie żonaty: - Agnes Tugendreich (ur. 3 VI 1733 r.), córka pastora w Malechowie (w latach 1714 – 1753), Carla Michaelisa; - Marie Elisabeth Ventzke, córka pastora w Niemicy^{28/}; ślub 28 IX 1762 r.; małżeństwo prawdopodobnie rozwiedzione (vermutlich geschieden); - Charlotte Ernestine Neumann, córka pastora w Słonowicach, Johanna Ephraima Neumanna.^{29/}

11. JOHANN FRIEDRICH R U C C I U S, od 14 II 1797 do 1802 r. diakon w Sławnie (dalsze informacje zob. wyżej – Pastorzy i prepozyci, poz. 14).

12. CARL IMMANUEL FRIEDRICH V E N T Z K E, 1803 – 1813. Ur. 2 IX 1760 r. w Niemicy. Syn tamtejszego pastora, Christiana Friedricha. Uczęszczał do szkół w Sławnie, Darłowie i Trzebiatowie. Od 1780 r. w gimnazjum akademickim w Szczecinie. Od IV 1782 r. na uniwersytecie w Halle. Powrót do domu rodzinnego, gdzie do 15 II 1787 r. pełnił funkcję kantora (Kantoramt).^{30/} 13 VI 1802 r. powołany na diakona w Sławnie. 23 II 1803 r. wyświęcony na kapłana. Funkcję diakona przejął formalnie od 17 IV 1803 r. Zmarł 25 IV 1813 r. Żonaty: Sophie Charlotte Wagener, córka sławieńskiego kupca Friedricha Conrada (ślub 15 II 1791 r.; żona zmarła 5 VIII 1824 r.).

13. FRIEDRICH RICHARD K I R C H N E R. Diakon w Sławnie w latach 1814 – 1830, potem pastor (zob. wyżej, poz. 16).

14. ALBERT HEINRICH THEODOR T H Y M, 1831 – 1835. Ur. 3 II 1803 r. Uczęszczał do gimnazjum w Szczecinie. Studia w Berlinie. Uzyskał tytuł doktora filozofii. 22 II 1831 r. wyświęcony na kapłana. Od 17 IV 1831 r. diakon w Sławnie.^{31/} Żonaty. Od 19 IX 1835 r. jako pastor parafii Garczegorze,^{32/} mianowany też superintendentem. Od 1 IV 1870 r. w stanie spoczynku. Wyjechał do Sulechowa.

15. WILHELM HEINRICH S I M O N, 1835 – 1873. Ur. 4 X 1808 r. w Koszalinie. Syn mistrza krawieckiego, Ernsta i Katharine, z domu Post. Uczęszczał do gimnazjum w Koszalinie. Studia w Berlinie. 12 VII 1835 r. wyświęcony na kapłana. Od 17 VIII 1835 r. wprowadzony na urząd diakona w Sławnie. Zmarł 27 II 1873 r.

16. KARL AUGUST W E N T Z E L, 1874 – 1885. Ur. 9 VI 1834 r. w Chojnicach. Syn mieszczanina – rolnika (Landwirt) i burmistrza. Ukończył gimnazjum w Chojnicach. Studia w Halle i Wrocławiu. 8 XII 1861 r. został pastorem w Karczynie^{33/} po wyświęceniu. Od V 1874 r. w Sławnie diakonem. Zmarł 29 I 1885 r.

17. HEINRICH ERNST CHRISTIAN B A A R S, 1886 – 1894. Ur. 25 XII 1843 r. w Stepnicze.^{34/} Syn tamtejszego zakrystianina i nauczyciela, Karla i Emilie, z domu Dinse. Nauka w gimnazjum w Gryficach. Studia w Berlinie. Od 1 IX 1871 r. jako zastępca rektora, a od 1 I 1872 r. rektor „wyższej szkoły miejskiej dla chłopców” (höheren Bürgerschule) w Darłowie. 8 XII 1880 r. wyświęcony na kapłana. Od 1 VII 1881 r. pastorem w Cisowie.^{35/} Od 1 V 1886 r. w Sławnie jako diakon. Przeniósł się do Babina,^{36/} gdzie od 1 X 1894 r. został pastorem.

18. WILHELM KARL F R I C K E, 1894 – 1903. Ur. 12 VII 1863 w Worbis.^{37/} Syn radcy wyższego sądu krajowego (Oberlandesgerichtsrat) w Szczecinie. Nauka w gimnazjum w Halberstadt,^{38/} Koszalinie i Szczecinie. Studia w Lipsku, Berlinie, Greifswaldzie. Od 6 VII 1890 r. wyświęcony, obejmuje stanowisko diakona w Polanowie. Od XII 1894 r. diakon w Sławnie. Od 1 XII 1903 r. pastor w Lassen.^{39/} Żonaty od 14 VI 1898 r. z córką nieżyjącego radcy konsystorsialnego i szkolnego w Szczecinie.

19. ERNST RUDOLF JOHANNES L O H O F F, 1904 – 1909. Ur. 4 VIII 1876 r. w Darłowie. Syn tamtejszego pastora, Juliusa i Marie Ölgarte. Nauka: gimnazjum w Białogardzie, studia w Erlangen^{40/} i Greifswaldzie. Wyświęcony na kapłana 18 II 1904 r. Od 1 III 1904 r. w Sławnie diakonem. Od 1 VIII 1909 r. zatrudniony w Hanshagen.^{41/} Żonaty od 28 IV 1904 r. z Liesbeth Müller, córką radcy sprawiedliwości (Justizrat) w Sławnie.

20. PAUL FRIEDRICH KARL T R E I C H E L, od 1910 r. Ur. 22 XII 1876 r. w Jastrowiu. Syn powiatowego inspektora szkolnego, Wilhelma i Emmy, z domu Seyring. Ukończył gimnazjum w Brodnicy. Studia w Halle, Greifswaldzie, Królewcu. Od 1 IV 1903 r. nauczyciel pomocniczy w progimnazjum w Iławie. Wyświęcony na kapłana 25 III 1904 r. Objął stanowisko kaznodziei pomocniczego (Hilfsprediger) w Iławie. Od 1 XII 1904 r. wikariusz prowincjonalny. Od 1 IV 1905 r. drugim pastorem w Jastrowiu. W Sławnie, jako diakon, od 1 I 1910 r.

X X X

Przypisy i objaśnienia

1. Obie nazwy – protestancka i ewangelicka – są właściwe dla określonego kontekstu historii nowego – wyznania w łonie chrześcijaństwa – Kościoła protestanckiego ; historii datowanej od wystąpienia Marcina Lutra w 1517 r. Przyjęcie reformacji luteranckiej na Pomorzu Zachodnim, w sposób oficjalny, nastąpiło w 1535 r., po obradach ogólnopomorskiego sejmiku w Trzebiatowie (przedstawiciele rycerstwa, miast i kleru z terenu całego księstwa). Dokumentem, na podstawie którego rozpoczęto dzieło zmiany stosunków wyznaniowych na Pomorzu Zachodnim, stała się ordynacja kościelna opracowana przez Jana Bugenhagena, głównego reformatora w państwie książąt pomorskich, wydana drukiem już wiosną 1535 r. W ciągu XVI wieku dokonane zostały na tym obszarze – pod patronatem, niekiedy przy osobistym udziale, książąt pomorskich – trwałe zmiany w zakresie organizacji luteranckiego Kościoła protestanckiego. Sławno należało do miast, w których najwcześniej, bo już w ciągu 1535 r., komisje kierowane przez Jana Bugenhagena przeprowadziły wizytacje. Za datę ostateczną przebudowy życia kościelnego w Sławnie uchodzi rok 1537.

Nazwa Kościół protestancki, działający i rozwijający się według struktury, a zwłaszcza zasad wytyczonych nauką M. Lutra (luterancki, luterski), utrzymywała się w państwie pruskim do 1817 r. W pruskim Kościele protestanckim, którego głową był panujący, do początku XIX wieku ugruntował się też odłam mniejszościowy – kalwiński, zwany reformowanym.

W marcu 1817 r., w związku ze zbliżającą się trzechsetną rocznicą ogłoszenia też przez M. Lutra, zarządzeniem króla Prus, Fryderyka Wilhelma III, protestanckiemu Kościołowi reformowanemu w tym państwie została narzucona unia z większościowym protestanckim Kościołem luteranckim. Od tego czasu działał w Prusach jeden kościół państwowy, w odniesieniu do którego przyjęto obowiązującą nazwę – Kościół ewangelicki. B. Wachowiak, (w:) *Historia Pomorza*. Opracowanie zbiorowe pod red. G. Labudy. Tom II do roku 1835. Część I (1464/66 – 1648/57), Poznań 1976, s. 813 – 818; L. Bończa Bystrzycki, *Gmina ewangelicka w Rzesznikowie w XIX wieku*, Koszalin 1995, s. 3-4, 13; S. Haffner, *Prusy bez legendy. Zarys dziejów*, Warszawa 1996, s. 129.

2. Parafia Sławno (gmina protestancka, później ewangelicka) przy kościele Mariackim, znajdowała się zawsze pod patronatem magistratu, obejmowała od czasu powstania w XVI wieku: administracyjny obszar miasta i posiadłości miejskie – Warszkowo, Bobrowice, Radosław, z czasem dwie nowe wsie – Warszkówko i Bobrowiczki. Prawo patronackie dawało magistratowi wyłączność wyboru obsady duchownych w parafii, których było dwóch – pastor i diakon. Ogólne przepisy kościelne z pierwszej połowy XVIII wieku, z 1763 r., oraz statut miasta, stanowiły o możliwości wypowiedzania opinii o kandydatach na pastora, diakona i prowizora kościelnego (administrator) pełnoprawnym obywatelom

Sławna (Bürgerschaft). Do magistratu należał też wybór kościelny, kantora, organisty i innych osób zaliczanych do służby kościelnej.

Według „porządku kościelnego” (Kirchenordnung) z 1563 r. od 15 do 20 parafii tworzyło okręg kościelny (Kirchenkreise). Odpowiednikiem okręgu od XVIII wieku w pruskim Kościele protestanckim był synod. Obszar utworzonego sławieńskiego okręgu kościelnego, a następnie synodu, nie uległ zmianie przez około 200 lat. W połowie XVIII wieku synod ten tworzyło 18 parafii – razem z parafią w Sławnie, w 1782 r. 19 (nowa w Wielinie). Ta liczba parafii utrzymywała się do 1840 r. Siedzibami parafii synodu Sławno były wówczas wsie – Barcino, Krag, Dretyń, Ostrowiec, Kwasowo, Tychowo, Żukowo, Wielim, Miłocice, Przytocko, Słonowice, Pieszcz, Rzyszczewo, Świeszyno, Osowo, Świerzno, i miasta – Sławno, Miastko, Polanów. Większy synod darłowski obejmował 21 parafii i 22 probostwa (dwa w Darłowie). W 1840 r. utworzony został synod miastecki, do którego przyłączono 8 parafii z synodu sławieńskiego (Miłocice, Przytocko, Świeszyno, Świerzno, Dretyń, Wielin, Trzcinno i Miastko). Wskutek tego synod sławieński zmniejszył się do 11 parafii (12 probostw, 19 kościołów). W połowie lat osiemdziesiątych XIX wieku i na początku XX wieku synod sławieński tworzyło 12 parafii: Barcino, Krag, Pieszcz, Kwasowo, Rzyszczewo, Słonowice, Żukowo, Tychowo, Osowo, Ostrowiec, Polanów, Sławno. L. Bończa – Bystrzycki, *Gmina ewangelicka*, s. 11; tenże, *Lokalia i kuracja katolicka św. Antoniego w Sławnie (1924-1945)*, Sławno 1997, s. 13; Heimat – Beilage. Sonderbeilage der „Pollnower Zeitung”. Juni 1933, s. 525; Heimat – Beilage. Sonderbeilage der „Schlawer Zeitung”. April 1932, s. 476; W. v. Schulmann, *Einwohnerverzeichnisse von Hinterpommern nach den Steuererhebungen von 1655 und 1666*, Köln – Graz 1966, s. 162 – 170; Jahrbuch der Provinz Pommern, 1828, s. 158; 1831, s. 163; 1840, s. 147; 1843, s. 152; 1855, s. 47; 1885, s. 621-622; E. Müller, II (jak przypis 3), s. 387 i 426-450 (passim).

3. Podstawą wyboru materiału jest publikacja źródłowa: *Die Evangelischen Geistlichen Pommerns von der Reformation bis zur Gegenwart. Auf Grund des Steinbrück'schen Manuskriptes bearbeitet von Ernst Müller. II. Teil: der Regierungsbezirk Köslin*, Stettin 1912, ss. 624 (dalej skrót: E. Müller, II./ Wybór źródłowy tu zamieszczony znajduje się na s. 3, 126, 250, 328, 341, 367, 426-430, 440, 456, 581.

4. Prepozyt (Präpositus, Präpositi): w dawnym Kościele protestanckim proboszcz – rozumiany jako przełożony wszystkich duchownych na terenie podlegającego mu synodu. Od lat dwudziestych XIX w. na czele synodu stał pastor z tytułem superintendenta. Każdy pierwszy kaznodzieja (Prediger) w parafii sławieńskiej, który obejmował stanowisko pastora był zarazem prepozytem. W XIX w. superintendencja synodu Sławno nie była administracyjnie przypisana pastorom parafii sławieńskiej, największej w synodzie, ale to im, poza jednym przypadkiem, taką funkcję władze państwowo – kościelne powierzały. W latach 1864–1884 synodem kierował pastor z Tychowa, Eduard w. Lindemann. Heimat – Beilage. Sonderbeilage der „Schlawer Zeitung”. April 1932, s. 476; E. Müller, II, s. 366.

5. Miasto na wyspie Uznam.

6. Prawdopodobnie córka poprzedniego pastora.

7. Był nim książę elektor Fryderyk III. W dniu 18 I 1701 r. koronował się on w Królewcu na króla „w Prusiech” jako Fryderyk I.

8. Brak pewnej identyfikacji. Jest miasto Elsaff na południowy – wschód od Bonn.

9. Synod darłowski.

10. Także inna pisownia nazwiska : C r o w e k e. Zob. E. Müller, II, s. 590 (indeks osobowy).

11. Jest miasto Plate koło Schwerina.
12. Sztab pułku mieścił się w Słupsku. Jeden ze szwadronów tego pułku stacjonował w Sławnie. Bliżej o tym J. Lindmajer, *Wojsko w dziejach Sławna 1718-1901. Część pierwsza: od początku 1718 do końca wojen napoleońskich, Część druga: od końca wojen napoleońskich do likwidacji garnizonu dla huzarów w 1901 roku*, „Dorzecze” Nr 6, Sławno 1966, s. 20-43.
13. Ch. W. Haken to humanista i badacz dziejów Słupska (zgromadził bogatą bibliotekę), członek Akademii Nauk w Berlinie. Por. Z. Szultka, (w:) *Historia Słupska*, pod red. S. Gierszewskiego, Poznań 1981, s. 249 i tamże: *Bibliografia*, s. 586.
14. Powiat gryficki.
15. Lebus, miasto na północ od Frankfurtu na Odrą.
16. Niem. Züllichau.
17. Powiat kołobrzeski.
18. Powiat bytowski.
19. Powiat drawski.
20. Powiat szczecinecki.
21. Było to najstarsze (jedyne do 1821 r.) gimnazjum w rejonie wschodnim pruskiej prowincji Pomorze (rejencja koszalińska). Zostało ufundowane przez księżną Jadwigę a działało od połowy X 1640 r.
22. Miejscowość w powiecie słupskim.
23. W powiecie białogardzkim.
24. Diakon – w Kościołach protestanckich to pastor zajmujący się akcją charytatywną. Diakonat jest (był ?) wyłącznie urzędem obsadzonym przez gminę; w naszym przypadku przez magistrat Sławna, przy współudziale „obywatelstwa”.
25. Także pisownia: Friederici. E Müller, II, s. 581.
26. Synod darłowski. E. Müller, II, s. 358 i 359 – gdzie jest określony jako pastor zastępczy (Substitut).
27. Miasto na górą Nysą Łużycką.
28. Synod darłowski. E. Müller, II, s. 371. Pator Christian Friedrich Ventzke sprawował urząd w Niemicy przez 53 lata, 1738 – 1791. Tamże , s. 372.
29. Synod sławieński. Pastorem był w latach 1743-1787. E. Müller, II, s. 443.
30. Kantor – śpiewak kościelny.

31. Podczas pobytu i pracy w Sławnie był też członkiem miejskiej deputacji szkolnej, przewodniczył komisji sprawdzającej kwalifikacje nauczycieli. Por. J. Lindmajer, *Sławińskie szkolnictwo prywatne w XIX wieku*. Artykuł zamieszczony w niniejszym numerze „Dorzecza” (s.4-18). Tamże podstawa źródłowa informacji.

32. Synod lęborski. E. Müller, II, s. 249-250.

33. Prawdopodobnie chodzi o miejscowość Karczyn (Karzen) leżącą niedaleko Strzelina.

34. Miejscowość niedaleko Kamienia Pomorskiego.

35. Synod darłowski. E. Müller, II, s. 384-387.

36. Miejscowość w powiecie pyrzyckim.

37. Miasto w środkowych Niemczech, na południowy wschód od Getyngi.

38. Miasto na południowy zachód od Magdeburga.

39. Miasto koło Anklam, nad brzegiem Piany, oddzielającej stały ląd od wyspy Uznam.

40. Miasto na północ od Norymbergii.

41. Zapewne nie chodzi o wieś Domachowo (Hanshagen) w powiecie sławińskim, gdyż nie było tam siedziby parafii. Przyjmujemy, że to miejscowość koło Greifswaldu (Hanshagen Gut).

B. Statut lokalny miasta Sławna z 22 grudnia 1885 roku dotyczący brukowania, naprawy nawierzchni ulic oraz zakładania, naprawy i utrzymywania chodników^{1/}

Na podstawie § 11. Ordynacji Miejskiej z dnia 30. maja 1853r.^{2/} (...) oraz na podstawie decyzji zgromadzenia radnych miejskich z 8. Grudnia 1853r. uchwalony zostaje niniejszy Statut dla okręgu gminy miasta Sławno.

§ 1.

Magistrat wraz ze zgromadzeniem radnych miejskich decyduje, po wysłuchaniu opinii komisji budowlanej i przy uwzględnieniu konkretnych potrzeb, o położeniu nowego bruku, jego naprawie lub regulacji.

§ 2.

Jeżeli koszty niniejszego statutu ponieść musi gmina, zostają one włączone do jej wydatków stanowiących część budżetu gminy przy uwzględnieniu decyzji komisji miejskiej.

§ 3.

Przeprowadzanie prac w związku z brukowaniem ulic oraz ich regulacją przekazuje się komisji budowlanej.

Do jej kompetencji należy też przeprowadzenie prac w związku z zakładaniem, uzupełnianiem, regulacją lub wymianą nawierzchni oraz utrzymywaniem chodników, do którego na podstawie Rozporządzenia policji z 22. grudnia 1885 r. na własne koszty zobowiązani są właściciele posesji. Rozporządzenie to oparte jest na Ustawie o powszechnej administracji krajowej z 30 lipca 1883r., który orzekł ostatecznie, że obowiązki utrzymywania chodników przypadają właścicielom działek.

§ 4.

Na podstawie prawa zwyczajowego zobowiązani właściciele posesji muszą wnieść wkład w koszty zakładania, uzupełniania, regulacji lub wymiany nawierzchni oraz utrzymywania chodników w następującym zakresie:

- a) wykonywane przy użyciu kostki brukowej:
 - 1. połowa kosztów zużytych materiałów,
 - 2. połowa kosztów robocizny,
 - 3. połowa kosztów krawężników,
 - 4. połowa kosztów instalacji kanalizacyjnej, względnie rynien żelaznych;
- b). wykonane przy użyciu płyt chodnikowych:
 - 1. połowa kosztów zużytych materiałów,
 - 2. połowa kosztów robocizny,
 - 3. połowa kosztów krawężników,
 - 4. połowa kosztów towarzyszących pracom brukarskim

Do kosztów tych, związanych z umocnieniem chodników, nie należą koszty dostarczania piasku lub żwiru i będą one ponoszone przez gminę miasta Sławno. Koszty bruku, który nie wchodzi w obręb chodników będą również wyłącznie ponoszone przez gminę miasta.

§ 5.

Te koszty, do ponoszenia których zobowiązani są właściciele gruntów, będą im tymczasowo wypłacane w formie pożyczki z głównej kasy miejskiej. Będą one następnie, na podstawie dotychczasowych norm obliczane przez komisję budowlaną, zatwierdzane przez magistrat, egzekwowane do zapłaty i w razie konieczności ściągane przez postępowanie administracyjno-komornicze.

W nieprzekraczalnym terminie dwóch tygodni przeciw decyzji magistratu dotyczącej obliczenia kosztów odwołać się można na podstawie § 18. Ustawy o kompetencjach urzędów administracyjno-sądowych.

§ 6.

Powyższy statut wchodzi w życie dnia 1 kwietnia 1886r.

Sławno, dnia 22 grudnia 1885.

Magistrat

Stoebbe. Prahlow. Syring

C. Rozporządzenie policji dla miasta Sławna z 22 grudnia 1885 roku^{3/}

§ 1.

Każdy posiadacz gruntu zobowiązany jest, niezależnie od tego, czy jest on zabudowany czy nie, do zakładania nowego, naprawy oraz utrzymania chodnika przed swoją posesją na podstawie zasad opisanych poniżej.

§ 2.

Jeżeli zgodnie ze Statutem lokalnym z 22 grudnia 1885 r. będzie przeprowadzane zakładanie, uzupełnianie, naprawa lub regulacja bruku ulicznego, wszyscy właściciele posesji graniczących z ulicą zobowiązani zostają jednocześnie do założenia, uzupełnienia, naprawy lub regulacji chodnika o ile jest to niezbędne do stworzenia przejścia zgodnego z normami.

§ 3.

Również w innych przypadkach, niż opisane w § 2, dla dobra publicznego i w celu ułatwienia ruchu ulicznego, właściciele graniczących posesji zobowiązani są dbać o stan chodników.

§ 4.

Zakładanie, uzupełnianie, naprawa lub regulacja chodnika polega najczęściej na układaniu bruku, o ile nie został zatwierdzony wyjątek na podstawie §§ 5. i 6. Rozporządzenia policji.

§ 5.

Na ulicy Koszalińskiej^{4/} wykonano wyłożenia chodnika przy pomocy płyt z piaskowca i w przyszłości należy stosować nadal ten sam surowiec. Jeżeli płyty te miałyby okazać się nietrwałe, co już częściowo daje się zauważyć, należy, zależnie od zalecenia urzędu policji, wymienić je na trwalsze płyty z piaskowca, płyty cementowe lub granitowe.

§ 6.

Urząd policji w porozumieniu z magistratem i przy poparciu zgromadzenia radnych miejskich będzie zarządzać i decydować o wyborze ulic oraz materiałów na podstawie ich właściwości i jakości w celu położenia na chodnikach odpowiednich płyt. Stosowanie materiału użytego po raz pierwszy na danym chodniku powinno być w przyszłości kontynuowane.

§ 7.

Zobowiązanie właścicieli działek do partycypowania w kosztach zakładania, uzupełniania, naprawy lub regulacji chodników oparte jest na Statucie lokalnym miasta Sławna z 22. grudnia 1885 r.

§ 8.

Zasady zakładania, uzupełniania, naprawy lub regulacji chodników opisane są przy pomocy poniższych wytycznych:

1. Przekrój podłużny chodników powinien być zgodny z profilem ulicy. Wysokość chodnika w stosunku do ulicy powinna wynosić 10-15 cm i nie może przekraczać 20 cm.
2. Przejazdy należy wykonać z kocich łbów i muszą one leżeć na wysokości chodnika.
3. Woda deszczowa musi być sprowadzana do kanałów poprzez rury spadowe o przekroju minimum 8-10 cm. Kanały muszą być wykonane jako murowane i kryte lub na ich miejsce zastosowane żelazne rynny szczelinowe.
4. Rampy lub inne wyniosłości uniemożliwiające lub utrudniające ruch drogowy nie powinny znajdować się na ulicy.
5. Słupy kamienne, kamienie narożne (odbijaki) lub inne utrudnienia dla ruchu należy zlikwidować w miejscach gdzie stoją, jeżeli nie zezwoliła na nie policja.
6. Brzeg chodnika graniczący z ulicą opatrzyć trzeba w krawężniki, muszą być one prosto ociosane, posiadać gładką powierzchnię górną i boczną, odpowiednią masę i wysokość; ta ostatnia zależy z kolei od wysokości chodnika w stosunku do jezdni (punkt 1.). Jeżeli chodnik posiada opisaną w § 9. minimalną szerokość 1,20 m, należy wyłożyć go kocimi łbami, których boki nie mogą mieć więcej niż 6 cm; jeżeli chodnik jest szerszy, to część leżąca przy budynkach może zostać wyłożona zwykłą kostką brukową.
7. Płyty chodnikowe muszą posiadać gładką, niespaczoną i pozbawioną zagłębień powierzchnię. Ich szerokość i długość powinna wynosić po 0,57 m; a grubość 12 cm w środku płyty oraz minimum 6 cm na jej brzegach. Płyty wymagają spodniej warstwy żwirowej o minimalnej grubości 8 cm oraz takiego sposobu ułożenia, że nie będą się one chwiały przy nastąpieniu na nie.
8. Chodniki układać należy na poziomej powierzchni o maksymalnym nachyleniu 1:20. W swej długości i szerokości chodnik tworzyć musi całość, tzn. nie może posiadać wzniesień, zagłębień itd.

§ 9.

Szerokość chodników ustalana jest przez policję na podstawie danych warunków terenowych i potrzeb w określonym miejscu. W interesie publicznym szerokością minimalną jest najczęściej 1,20 m, a maksymalną 2,50 do 3 m. Użyteczna szerokość chodnika wynosi minimalnie 1,14 m.

Tylko tam, gdzie ze względu na szerokość samej ulicy niemożliwe jest spełnienie tych wymogów, dopuszcza się położenie węższego chodnika.

§ 10.

W kwestii pozostałych praw i obowiązków właścicieli gruntów wobec sąsiadujących z nimi chodników rozporządzenie niniejsze nie wnosi żadnych zmian.

§ 11.

Decyzje policji podjęte na podstawie niniejszego rozporządzenia zaskarżyć można na podstawie §§ 127 i kolejnych Ustawy o powszechnej administracji krajowej względnie Ustawy o kompetencjach organów administracyjnych i administracyjno – sądowych.

§ 12.

Powyższe rozporządzenie wchodzi w życie dnia 1 kwietnia 1886r.

Sławno, dnia 22 grudnia 1885.
Zarząd policji

Przypisy

- ^{1/} *Orts – Statut der Stadt Schlawe, betreffend die Pflasterung, Regulierung des Strassen – Pflasters und die Anlegung, Verbesserung und Unterhaltung der Bürgersteige.*
Beilage zum „Schlawer Kreisblatt” nr 14 pro 1886, s. 1-3
- ^{2/} Ustawa o ustroju miast w sześciu wschodnich prowincjach monarchii pruskiej z 30 V 1853 r. (*Die Städte-Ordnung für die sechs östlichen Provinzen der Preussischen Monarchie vom 30. Mai 1853*) nawiązywała do zasad większego zakresu autonomii miejskiej w tym państwie gwarantowanej już ustawą o samorządzie miejskim z 19 XI 1808r. (*Ordnung für sämtliche Städte der Preussischen Monarchie v. 19. November 1808. Nebst Instruction Behufs der Geschäftsführung der Stadtverordneten bei ihren ordnungsmäßigen Versammlungen*). Bliżej na ten temat A. *Wielopolski*, *Ustrój polityczny Pomorza Zachodniego w XIX wieku*, Poznań 1965, s. 52-55, 93-95.
- ^{3/} *Polizei – Verordnung; dalszy ciąg Orts – Statutu...*, jak przypis 1, s.4-8. Rozporządzenie wydane na podstawie § 5 Ustawy o zarządzie policyjnym dla państwa pruskiego z 11. marca 1850 r. (Gesetz – Sammlung 1850, s.265) oraz § 143 Ustawy o ogólnej administracji krajowej z 30 lipca 1883. (*Gesetz über die allgemeine Landesverwaltung. Vom 30. Juli 1883*)
- ^{4/} Dzisiejsza ulica Jedności Narodowej.
- ^{5/} August Stoebbe – burmistrz Sławna w latach 1879 – 1906.

Bibliografia wydawnictw dotyczących Sławna za lata 1997-2000 (wybór)

- Andrzej Słowik: Okna–Kaszy–Papiery. Katalog wystawy. Sławno 1998. Sławieński Dom Kultury.
- Battek Marek, Szczepankiewicz–Battek Joanna: Słownik nazewnictwa Krajoznawczego polsko - niemiecki i niemiecko–polski. Śląsk. Ziemia Lubuska. Pomorze Zachodnie. Warmia i Mazury. Wrocław 1998.
- Bator Jacek, Kiszowski Przemysław, Sadlik Ewa: Badania metodą elektrooporową kościoła parafialnego pw. Św. Piotra i Pawła Apostołów w Sławsku, woj. Słupskie (w:) Materiały Zach.-Pom., T 40, 1994, s. 211-227.
- Beata Orlikowska: Nie dotykając ziemi. Katalog wystawy. Sławno 2000, Sławieński Dom Kultury.
- Bogusław Migel: Nie tylko rzeźby. Katalog wystawy. Sławno 1998. Sławieński Dom Kultury.
- Bończa-Bystrzycki Lech: Studia i materiały do dziejów Kościoła Katolickiego na Pomorzu Zachodnim (1871-1945). Koszalin 1997.
- Bończa – Bystrzycki Lech: Lokalia i kuracja katolicka św. Antoniego w Sławnie (1924-1945), Sławno, Sławieński Dom Kultury, 1997, il., bibliografia.
- Bunalski Marek, Rączkowski Włodzimierz: Materiały archeontologiczne ze stanowiska we Wrześnicy (gm. Sławno) i próba ich wykorzystania w archeologii. (w:) Acta Archaeologica Pomoranica I, Szczecin 1998, s. 195-198.
- Dorzecze, Nr 8 (1998), Sławno, Sławieński Dom Kultury.
- W numerze: Józef Lindmajer: Z życia politycznego w Sławnie i powiecie sławieńskim w latach 1890-1898; Marek Żukowski: Działalność opozycyjna w powiecie sławieńskim w latach 1945-1958; Stanisław Poprawski: W blasku harcerskiej lilijki – rzecz o organizacji i działalności drużyn harcerskich na terenie powiatu Sławno w latach 1945-49 (il.) ; Piotr Wawrzyniak: Odkrycie reliktów miejskich umocnień obronnych w Sławnie. Badania archeologiczne na Starówce sławieńskiej w 1997 r (il.); Materiały źródłowe do dziejów Sławna: Policyjne rozporządzenie drogowe dla m. Sławna z 1880 r.
- Dorzecze, Nr 9 (1999), Sławno, Sławieński Dom Kultury.
- W numerze: Eberhard Le Coutre: Heinrich Eugen von Zitzewitz – artysta między teologią a satyrą; Józef Lindmajer: Rzecz o Franzu Mehringu (1846-1919), Brygida Jerzewska : Szkolnictwo z niemieckim językiem nauczania na Pomorzu w latach 1951-1957; Jan Sroka : Wilhelm Gross (1883-1919); Marek Żukowski: Mieszkańcy powiatu sławieńskiego przed Wojskowym Sądem Rejnowym w Koszalinie w latach 1950-1955; Derk Steggewentz: To były czasy (fragment pamięnika); Materiały źródłowe do dziejów Sławna: Regulamin ogniowy dla m. Sławna z 1810 r.
- Kruk Janina: Aleja Bukowa w Naclawiu (gm. Polanów) (w) Nowoczesne Rol., 1998 , nr 4, s. 46.
- II Polsko-Niemiecki Plener Malarski (katalog wystawy poplenerowej polsko niemieckiego pleneru w Jarosławcu w 1999 r.). Sławno 1999, Sławieński Dom Kultury.
- Florek Elżbieta, Florek Waław, Kaczmarzyk Jacek: Studia nad paleohydrologicznymi zmianami koryta Wieprzy i jej równi zalewowej w okresie subatlantyckim w kontekście funkcjonowania wczesnośredniowiecznego grodziska we Wrześnicy (w:) Acta Archaeologica Pomoranica I, Szczecin 1998, s. 185-194.

- Gazeta Sławieńska. Miesięcznik. Sławno. Sławieński Dom Kultury. 1997, nr 1-12 (49-60), 1998, nr. 1-12 (61-72), 1999, nr 1-12 (73-84), 2000 nr 1-12 (85-96).
- Kazimierz Babkiewicz–malarstwo (katalog wystawy), Sławno 1998, Sławieński Dom Kultury.
- Kirchenstein Jarosław: Ewolucja palekryt Wieprzy w okolicach Wrześnicy (gm. Sławno) w świetle granulometrii budujących je osadów. (w:) Słupskie Pr. Matem.-Przyrod. Nr 10: 1995, s. 23-46.
- Kreft Anna, Truchman Mariola: Zespoły roślinne strefy brzegowej Jeziora Łętowskiego w woj. Słupskim. (w:) Bad. Fizjogr. Pol. Zach. T. 45, 1996, s. 167-179.
- Krzysztof Urbanowicz: Pastele. Katalog wystawy. Sławno 1999. Sławieński Dom Kultury.
- Kuźmin Aleksander: Monety Pomorza Wschodniego (w:) Szkice Człuchowskie T. 2/6, 1996, s. 5-12. [m.in. monety Księstwa Sławieńsko- Słupskiego].
- Lindmajer Józef: Epidemie cholery na terenie rejencji koszalińskiej w XIX wieku (1831 – 1892). (w:) Rocznik Koszaliński. Nr 26, 1996, s. 23-38.
- Lindmajer Józef: Przyczynek do monografii gospodarczej małych rzek Pomorza Zachodniego na przykładzie Wieprzy w trzecim ćwierćwieczu XIX stulecia (w) Rocznik Koszaliński, nr 27 (1997), s. 33-53.
- Lindmajer Józef: Kupiectwo i administracja prowincjonalna Pomorza Zachodniego a plany buwowy kolei między Kołobrzegiem i Gdańskiem w latach 1850-1875 (w:) Przegląd Zachodniopomorski, T. XIII, 1998, z. 4, s. 111-135.
- Lindmajer Józef: Z historii dawnych cmentarzy {o cmentarzach Sławna}, (w) Gazeta Sławieńska, 1999, nr 11(83), s. 1, 14-15.
- Lindmajer Józef: Wybory do Reichstagu w latach 1867 i 1871 roku na przykładzie okręgu bytowsko-miasteczko-sławieńskiego (w:) Słupskie Studia Historyczne, Nr 7, s. 81-100. Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Słupsku. Instytut Historii, Słupsk 1999.
- Lidmajer Józef: O wykonawstwie i odbiorze muzyki Fryderyka Chopina na przykładzie małych miast prowincji pomorskiej w końcu XIX i początkach XX wieku. (w:) Przegląd Zachodniopomorski, T. XV, Rok 2000, Z. 1, s.79-92.
- Malaszka Monika: Zespół odważników ze stanowiska wczesnośredniowiecznego Wrześnica 7, gm. Sławno, woj. Słupskie (w:) Acta Archaeologica Pomoranica I, Szczecin 1998, s. 177-184.
- Marek Łęgowski: Malarstwo dobrej energii. Katalog wystawy. Sławno 1998. Sławieński Dom Kultury.
- Niesyty Maciej, Hoppel Piotr: Konstrukcja obronna wczesnośredniowiecznego grodziska we Wrześnicy, stan. 7, gm. Sławno, woj.. słupskie (w:) Acta Archaeologica Pomoranica I, Szczecin 1998, s. 167-176.
- Nitkowska-Węglarz Jolanta: Tajemnice kościółka w Sławsku g. Sławno (w:) Pomerania, 1998, nr 1, s. 54-55
- Otto Priebe. 1886-1945. Katalog wystawy w 110 rocznicę urodzin. Tekst: Isabel Seltheim, Alicja Konarska. Słupsk 1996. Muzeum Pomorza środkowego.
- Parnas (czasopismo Stowarzyszenia Twórczego "Parnas" przy Liceum Ogólnokształcącym w Sławnie). Z 1, XII. 1997, Z. 2, II. 1998, Z. 3, V. 1988, Z. 4, I 1999, Z. 5, II 2000, Z. 6, III 2000.
- Pejzaż i architektura Pomorza (katalog wystawy poplenerowej polsko-niemieckiego pleneru plastycznego w Sławnie w lipcu 1998 r), Sławno 1998, Sławieński Dom Kultury.
- Plan Sławna, Sławno 1999, Sławieński Dom Kultury

Pommern in 1440 Bildern. Herausgeben von Klaus Grazow. Leer 1993. (Landkreis Schlawe, s. 171-192). Album ze zdjęciami Pomorza sprzed 1945 r.

Popielas-Szultka Barbara: Związki polityczne Pomorza Słupsko-Sławieńskiego z Polską od X do poł. XVII w. (w:) Supskie Prac. Hum. Nr 14a, 1995, s. 145-158.

Popielas – Szultka Barbara: Stosunki społeczno-gospodarcze w miastach Ziemi Sławieńskiej w XIV w. (w:) Studia Bałt., Hist. T 2, 1996, s. 52-69.

Poprawska Maria, Jan Sroka: Sławno 1994-1998. Sławno 1998, Sławieński Dom Kultury, il.

Powiat Sławieński – folder. Bydgoszcz 1999

Powiat Sławieński – folder. Bydgoszcz 2000

Rączkowski Włodzimierz: Ikara czy Dedala przypadek: zdjęcia lotnicze w archeologii Pomorza (w:) Acta Archaeologica Pomoranica I, Szczecin 1998, s. 145-156.

Rączkowski Włodzimierz: Między programem a przypadkiem . Badania osadnicze w dorzeczu środkowej Wieprzy, (w:) Acta Arch. Pom. I Szczecin 1998, s.157-166

Rączkowski Włodzimierz: Sobota na grodzisku, Sławno 1999, il.

Rączkowski Włodzimierz: Osadnictwo a proces urbanizacji wczesnośredniowiecznych społeczności Pomorza Środkowego (w:) Zeszyty Kulickie Nr. 1 Początki miasta Słupska. Kulice 1999, s.63-86.

Richard Zenke – portret artysty (katalog wystawy). Autorzy: Izabela Legierska, Konstanty Kontowski, Jan Sroka. Sławno 2000, Sławieński Dom Kultury.

Renate Zenke Mortensen – Malarstwo (katalog wystawy), Sławno 2000, Sławieński Dom Kultury.

Sławno – oczyszczalnia ścieków. Sławno 1998.

Sławno, folder. 1999, Sławieński Dom Kultury

Sławno. Folder . Wersja polska i niemiecka. Tekst i zdjęcia Jan Sroka. Sławno 2000, Sławieński Dom Kultury.

Sławno na starych pocztówkach. Schlawe auf aleten Postkarten (reprodukcje 10 pocztówek Sławna sprzed 1945 r.). Sławno 2000. Sławieński Dom Kultury.

Sroka Jan: Kunst als Aufgabe. Begegnungen mit Heinrich Eugen von Zitzewitz in Pommern. (w:) Pommern. Kultur und Geschichte. 1998, nr.4, s.13-15.

Sroka Jan: Panorama powiatu Sławno. Serce wybrzeża. Historyczna stolica (w:) Poznaj swój kraj , 1999, nr 6, s. 13-15.

Sroka Jan: W drodze do Itaki (“Wędrujący czeladnicy” w Sławnie) (w:) Głos Pomorza, 4 X 2000.

Sroka Jan: Sławno (przewodnik po mieście i gminie Sławno), Sławno 2000, Sławieński Dom Kultury, il., plany.

100 dni Powiatu Sławieńskiego. Biuletyn informacyjny. Sławno 1999.

Śliwiński Błażej: Gniazdo rodu Święców (na Pomorzu Sławieńsko-Słupskim). (w:) Studia Bałt., Historia t. 2, 1996, s. 35-51.

Świetlicka Alicja, Wiśławska Elżbieta: Słownik Historyczny Miast i Wsi Województwa Słupskiego. Przewodnik bibliograficzny. Słupsk 1998.

Todor Dimczewski-Pastele i ikony/Pastellmalerei und Ikonen (katalog wystawy), Sławno 1998, Sławieński Dom Kultury.

Studia Historyczne Uniwersytetu Szczecińskiego Nr 9 (1955), s. 99-115.

Waldemar Jarosz: Santorini wyspa kontrastów. Katalog wystawy. Sławno 1999. Sławieński Dom Kultury.

Wybranowski Dariusz: Przyczynek do genezy i rozwoju Komandorii joanitów w Sławnie do połowy XIII w. (w:) Zeszyty Naukowe, Szczecińskie.

Wystawa sekcji plastycznych SDK. Katalog wystawy. Sławno 1999. Sławieński Dom Kultury.

Žitzewitz Heinrich Eugen: Z pędzlem przez Pomorze / Mit dem Pinsel durch Hinterpommern. Przekład z nienieckiego B. Jerzewska. Sławno, 1998, Sławieński Dom Kultury, s. 62, il.

Žukowski Marek: Polska Organizacja Wojskowa 1948-1949 (w pow. Sławno). (w:) Przegl. Zach.-Pom. 1996 z. 1, s. 163-174.

Žukowski Marek: Kluby Młodej Inteligencji w woj. koszalińskim. (w:) Rocznik Koszaliński nr 26, 1996, s. 143-155.

Zum Inhalt:

Józef Lindmajer, – Das private Schulwesen im Schlawe des 19. Jh.

Jan Sroka – Günter Machemehl ein Künstler aus Schlawe.

Fragmente aus dem Tagebuch Alexander Tarnowskis „12 Jahre auf dem Schloss“. A. Tarnowski leitete in den Nachkriegsjahren das Museum in Schloss der Pommernherzöge in Darłowo/Rügenwalde.

Marek Žukowski – Konspiration im Kreis Sławno/Schlawe in den Jahren 1949-1952.

Aus dem Zyklus „Geschichte der Stadt Schlawe“, zusammengestellt von Dr. Józef Lindmajer:

1. Evangelische Geistliche der Schlawer Gemeinde bis zum I. Weltkrieg.
 2. Auszug aus der Stadtsatzung vom 22. 12. 1885 in Sachen Strassonpflasterung und ausbesserung , Anlegen von Bürgersteigen und ihre Pflege.
 3. Anordnung der Polizei für die Stadt Schlawe vom 22. 12. 1885.
- Veröffentlichungen über die Stadt Sławno in den Jahren 1997-2000.

(Übersetzung: B. Jerzewska)

